



*Jayne Ann*  
**KRENTZ**



**WAKACJE NA  
HAWAJACH**

tytuł oryginału: Body Guard

## ***ROZDZIAŁ PIERWSZY***

Na pierwszy rzut oka Jake Devlin nie wyglądał na zawodowego ochroniarza.

Sabrina McAllaster, marszcząc czoło, spojrzała na trzymaną w ręku fiszkę. Na odwrocie miała zapisany w pośpiechu adres. Nazwisko się zgadzało, adres też. A zatem dobrze trafiła.

Stojąc w drzwiach frontowych, uważnym spojrzeniem obrzuciła wnętrze dużej sali. Leciutko ściągnęła płowe brwi, przymrużyła jasne orzechowe oczy. Na podłodze leżały maty do ćwiczeń, a na środku pomieszczenia siedział po turecku mężczyzna, którego wskazano jej przed chwilą jako Jake'a Devlina.

Naprzeciw niego w dwóch rzędach siedziała dwunastka dzieciaków w wieku sześciu, może siedmiu lat. Dzieci miały na sobie luźne białe stroje przypominające ubiór dżudoków. Ale to nie były zajęcia z dżudo. Jake Devlin uczył jakiejś wschodniej sztuki samoobrony, tak przynajmniej głosiła kartka na drzwiach wejściowych. Nazwa brzmiała dla Sabriny obco. Dziwne, że nigdy wcześniej się z nią nie spotkała. Przez lata zebrała mnóstwo rozmaitych informacji, być może błahych i banalnych, ale często fascynujących. To była jedna z ciekawszych stron jej pracy w bibliotece w college'u.

- Niewiarygodne, prawda? - szepnęła jedna z matek siedzących w niewielkiej poczekalni przed wejściem do sali ćwiczeń. - To jedyny moment w tygodniu, kiedy Blake jest w stanie usiedzieć spokojnie dłużej

niż pięć sekund - rzekła, obserwując swoją pociechę. - Chętnie bym się dowiedziała, co ten instruktor robi, że ma u nich taki posłuch.

Sabrina odwróciła się do atrakcyjnej młodej kobiety i popatrzyła na nią z uśmiechem.

- Rzeczywiście dzieci są dosyć skupione - odparła cicho.

- To jeszcze mało powiedziane! One go uwielbiają. Chłoną każde jego słowo. Co dziwniejsze, wydaje się, że rozumieją sens tego, co im mówi. To oczywiste, że dzieci w tym wieku lubią ruch i ćwiczenia, ale żeby z taką uwagą słuchały filozoficznego wywodu! - Kobieta stłumiła śmiech. - Proszę mi wierzyć, nie mam nic przeciwko. Życzyłabym sobie tylko, żeby Blake z równą uwagą słuchał mnie i nauczycieli w szkole.

- A o czym on im opowiada? - zainteresowała się Sabrina, wracając wzrokiem do sali. Nie docierały do niej słowa Devlina, słyszała tylko niski, zdecydowany męski głos. Nastawiła uszu.

Kobieta za jej plecami z żalem wzruszyła ramionami.

- Właściwie nie wiem. Ilekroć pytam Blake'a, odpowiada mi tylko, że pan Devlin uczy ich, jak być silnym. Nie chodzi tylko o siłę fizyczną, lecz o siłę ducha. Dzieciak nie potrafi dokładnie mi tego wytłumaczyć, ale widzę, że te zajęcia bardzo mu służą.

- Nie boi się pani, że któregoś dnia syn pobije wszystkie dzieci w klasie? - spytała Sabrina.

Matka Blake'a potrząsnęła głową.

- To prawda, że bardzo wcześnie zaczyna uczyć się radzenia sobie, ale równocześnie instruktor wbija mu do głowy, że zdobyte umiejętności musi wykorzystywać bardzo rozsądnie. - Kobieta uśmiechnęła się. - Jak

dotąd nie otrzymałam żadnych sygnałów od jego nauczycieli, kolegów z klasy czy ich rodziców, że zachowuje się nieodpowiednio.

Do dyskusji włączyła się inna matka.

- Moja córka uczestniczy w tych zajęciach, a syn chodzi z grupą starszych dzieci, i do tej pory nie miałam żadnych problemów. Syn oznajmił mi, że dałby radę wszystkim kolegom z klasy, ale ponieważ o tym wie, nie musi im nic udowadniać.

Sabrina zerknęła na rudowłosą kobietę o ujmującej okrągłej twarzy, która wypowiedziała te słowa. W poczekalni było dużo matek, a wszystkie sprawiały wrażenie dumnych i mile zaskoczonych postępami swoich dzieci.

- Nie wiedziałam, że pan Devlin prowadzi zajęcia dla dzieci - zauważyła Sabrina. Widok tego mężczyzny z tuzinem dzieciaków poważnie zmienił jej wyobrażenie o nim. Do tej pory sądziła, że ochroniarz to typowy macho.

- On uczy wyłącznie dzieci - wtrąciła kolejna matka. - Nie prowadzi zajęć z dorosłymi.

- Ja bym zwariowała po całym dniu z tymi małymi bestiami - stwierdziła pierwsza rozmówczyni Sabriny i przeniosła wzrok na salę. - Chyba że znałabym te wszystkie sztuczki, dzięki którym Devlin potrafi utrzymać dyscyplinę.

- Mnie najbardziej zadziwia, że on nigdy nie podnosi głosu - włączyła się inna pani. - Od trzech miesięcy przyprowadzam mojego Johnathana na zajęcia i nigdy nie słyszałam, żeby Devlin krzyknął, nie wspominając już o klapsie. Zawsze wygląda to właśnie tak, jak teraz. Idealna dyscyplina.

Kilka matek pokręciło głowami z podziwem. Sabrina z namysłem zmrużyła oczy.

- Może on budzi w dzieciach strach? - zasugerowała.

Jej słowa wywołały gromki wybuch śmiechu.

- Ależ skąd! Niech pani zaczeka i zobaczy, co dzieje się po zajęciach.

W tym momencie Devlin klasnął w dłonie, raz, ale mocno, i natychmiast cała dwunastka poderwała się na nogi. Instruktor wstał razem z nimi. Sabrina zafascynowana obserwowała dzieci, które z powagą skłaniały głowy przed Devlinem, a ten z równą powagą im się odkłaniał.

Potem, jakby na sygnał, zapanował wesoły gwar i wszystko wróciło do normalności. Na twarzy Sabriny pojawił się półuśmiech. Dwunastka pokornych uczniów zamieniła się w dwunastkę hałaśliwych, podnieconych dzieci, które wypuszczono z klasy. Kilkoro podbiegło do swoich matek, ale reszta wciąż kręciła się wokół Devlina, który ruszył do drzwi. Przyjaźnie i czule głaskał po włosach chłopczyka, który z wielkim poruszeniem opowiadał mu o swojej nowej zabawce. Kiedy kolejny malec próbował chwycić go za rękę, Devlin podał mu ją. Dwunastka dzieciaków tańczyła i podskakiwała wokół mężczyzny, który szedł naprzód, otoczony gromadką szkrabów.

Devlin nie miał na sobie białego stroju, jaki nosiły dzieci. Był ubrany w wyblakłe džinsy i bawełnianą czarną koszulę z długimi rękawami i stójką. Obcisła koszula podkreślała atletyczny tors, nadając mu wygląd gibkiego drapieźnika, który wybrał się na polowanie. To nie było ciało człowieka, który podnosi ciężary czy mozolnie pracuje nad rzeźbą mięśni. Przypominał dzikiego kota i emanował jakąś wewnętrzną siłą. Dżinsy z niskim stanem opinały płaski brzuch, wąskie biodra i kształtne uda.

Mężczyzna był boso. Sabrina oceniała go na jakieś trzydzieści pięć lat.

Przyglądała mu się bacznie. Przyszła tutaj - co prawda niechętnie - żeby zaangażować Devlina do pracy. Właściwie nie miała pojęcia, jak powinien wyglądać ochroniarz; spodziewała się niezbyt rozgarniętego atlety. Poczwała ulgę, że się pomyliła, a równocześnie wcale nie była pewna, czy wyjdzie jej to na dobre. Gdyby okazał się dokładnie taki, jak sobie wyobrażała, wiedziałyby, na co mogłaby liczyć. Prosty napakowany facet z rewolwerem nie stanowi zapewne idealnego towarzystwa, za to przypuszczalnie łatwo dojść z nim do ładu. Jake Devlin, co stwierdziła pośpiesznie, sprawiał wrażenie osoby, która nie pozwala sobą dyrygować.

Wystarczyło zobaczyć te jego szare oczy. Chłodne spojrzenie wbite w nią w chwili, gdy wyczuł jej zainteresowanie. Zdawało jej się, że patrzy w nieodgadnioną głębię w kolorze deszczu. Nie, z tym człowiekiem nie pójdzie jej łatwo.

Inteligentny, pewny siebie i potencjalnie śmiertelnie niebezpieczny - to pierwsze określenia, jakie przebiegły jej przez myśl. Dobry Boże! W co ona się pakuje? Albo, mówiąc dokładniej, w co wpakowała ją matka?

Mężczyzna zlustrował ją, osądził, po czym przeniósł spojrzenie na uniesioną buzię małego blondynka, który niecierpliwie ciągnął go za spodnie. Wyglądało to, jakby jakiś waleczny, lecz bardzo nierozważny kociak usiłował zwrócić na siebie uwagę lwa, pomyślała Sabrina.

Jake Devlin opuścił wzrok na chłopca i w jednej sekundzie wszystko się zmieniło. Sabrina nie posiadała się ze zdumienia. Chłodna szarość jego oczu, przywołująca na myśl deszcz w środku zimy, przeistoczyła się w delikatną pastelową szarość letniej mgły. Kąciki jego warg, dotąd

zaciśniętych, uniosły się, tworząc uderzająco pobłażliwy uśmiech. Te drobne zmiany nie ociepliły całkiem jego wizerunku, jednak Sabrina doszła do wniosku, że zignoruje ciemną stronę tego mężczyzny. Chciała, tak samo jak dzieci, widzieć w nim tylko to przelotne ciepło.

Gdy Devlin popatrzył na chłopca, światło górnej lampy na moment rozświetliło jego krótko ostrzyżone ciemne włosy. Na pierwszy rzut oka zdawały się czarne; teraz Sabrina spostrzegła, że tak naprawdę miały ciemny odcień brązu.

Kiedy uniósł znów głowę, by porozmawiać z czekającymi na dzieci matkami, serdeczna nuta znikła równie nagle, jak się pojawiła. Znów był chłodny, zdystansowany i bardzo uprzejmy, co wzbudzało wyłącznie powierzchowną życzliwość. Raptem Sabrina uświadomiła sobie, dlaczego żadna z tych kobiet ani słowa nie poświęciła samemu mężczyźnie, a tylko jego umiejętności radzenia sobie z dziećmi. Natychmiast się domyśliła, że związek tych kobiet z nauczycielem ograniczał się do omawiania postępów ich pociech.

W tym momencie założyłaby się nawet, że na całym świecie tylko parę osób mogłoby się pochwalić bliższą znajomością z Devlinem. Niestety jej matka najwyraźniej przypadkiem spotkała jedną z tych osób.

Dopiero gdy ostatnie rozentuzjasmowane dziecko wraz ze swą matką zniknęło z horyzontu, Jake cicho zamknął drzwi i odwrócił się do swojego gościa.

- Nie widzę, żeby zostało jeszcze jakieś dziecko - zauważył niskim, nieco zachrypłym głosem. Z jakiegoś powodu ten głos wprawiał jej nerwy w dziwny stan. Sabrina spochmurniała. - Jak się więc domyślam, przyszła pani do mnie?

- Jestem Sabrina McAllaster, panie Devlin - zaczęła, wyciągając rękę, jak jej się zdawało, z powagą. - Zapewne został pan uprzedzony o mojej wizycie?

Skinął głową, jeden jedyny raz, uściskał jej dłoń. Sabrina natychmiast pożałowała uprzejmego gestu. Kiedy Devlin zamknął jej drobną dłoń w swojej dłoni, coś się nagle stało z koniuszkami jej palców. Straciła w nich czucie. Najpierw poczuła ciarki, a potem jej dłoń zupełnie odrętwiała.

Uścisk dłoni wiele mówi o człowieku. Tak zawsze powtarzała jej matka. Cóż, pomyślała Sabrina, czym prędzej cofając rękę, trzeba przyznać, że Jake Devlin bez skrupułów popisuje się przed swoimi potencjalnymi klientami. Co on, do diabła, zrobił z jej biedną ręką?

- Nie prosiłam, żeby zademonstrował mi pan swoje możliwości. - Zaciśnęła zęby i poruszyła palcami, żeby sprawdzić, czy jeszcze w ogóle są do tego zdolne.

Mężczyzna zdawał się nieco zaskoczony.

- To nie była żadna demonstracja, panno McAllaster. Chciałem być tylko uprzejmy. Zrobiłem pani krzywdę? - dodał z niewinną troską.

- Proszę się nie przejmować - wydusiła. - Wymoczę sobie rękę w soli po powrocie do domu.

- Jest pani zła.

- Powiedzmy, że nie przepadam za ludźmi, którzy tak mocno ściskają dłonie. Proszę mi tylko nie mówić, że pan robi to nieświadomie - rzuciła cierpko. - Widziałam, jak pan traktował dzieci. Żadnemu z nich ani przez moment nic nie groziło, a są o wiele mniejsze ode mnie. - Opadła na



sfatygowane krzesło stojące obok wysłużonego metalowego biurka na końcu poczekalni.

- Dzieci mnie lubią - wyjaśnił łagodnie, wyciągając zza biurka obrotowe stare krzesło. Pochylił się i oparł ręce na blacie. - Odnoszę wrażenie, że pani nie darzy mnie sympatią.

Przez chwilę patrzyła na niego zaskoczona. Na jakiej podstawie tak twierdzi? Skłamałaby mówiąc, że go nie lubi, ale nie mogła też zaprzeczyć, że jej reakcja była natychmiastowa i silna. Czowała się nieswojo i była spięta, bo chciała panować nad sytuacją. W tych okolicznościach nie widziała w tym nic dziwnego. Nie mogła jednak definitywnie stwierdzić, że nie lubi Devlina.

- Przykro mi, jeśli odniósł pan takie wrażenie. Trudno, bym podchodziła do pana z takim uwielbieniem jak te dzieciaki, ale dotąd nie miałam do czynienia z zawodowym ochroniarzem. Proszę więc wybaczyć, jeśli nie zachowuję stosownej etykiety. Być może najlepiej będzie, jak przejdziemy do interesów. Trochę się spieszę.

- Przepraszam, jeżeli panią zabolalo - mruknął, zerkając z zaciekawieniem na jej dłoń spoczywającą na modnej torbie z czarnej skóry.

- Doprawdy? - spytała sceptycznie. Szczerze mówiąc, ręka już nie bolała. Sabrina przypuszczała, że Devlin świetnie to wie. W końcu zdawał sobie sprawę, jakiej siły użył i jakie mogą być tego konsekwencje. Właściwie nie potrafiłaby powiedzieć, skąd miał taką pewność. Podpowiadał jej to instynkt. Ale na skutek tego stała się jeszcze bardziej ostrożna i rozdrażniona.

- Tak - odparł z westchnieniem, siadając na krześle. Zaskrzypiało pod jego ciężarem. - Zwykle nie uciekam się do takich głupstw. Ale pani sprawiała wrażenie, jakby konieczność rozmowy ze mną była pani wyjątkowo przykra. Więc pewnie chciałem pani pokazać, że potrafię być przykry. To się więcej nie powtórzy - dodał rzeczowo.

- Liczę na to - powiedziała oschle Sabrina. Zrozumiała, że Devlin miał sobie za złe, że uległ pokusie, by w odwecie za jej wyraźny afront użyć siły. - A teraz, jeśli można, porozmawiajmy o interesach.

Niezglębione szare oczy zlustrowały ją po raz kolejny. Sabrina miała poczucie, że Devlin zobaczył już wszystko, co chciał zobaczyć, przyglądając się jej, gdy opuszczał salę ćwiczeń. Teraz wyglądało na to, że mu się nie spieszy.

Z trudem znosiła jego przeszywające spojrzenie. Świetnie wiedziała, co ujrzał. Nie miała złudzeń co do swojej powierzchowności. Nie była królową piękności. Kiedy była dla siebie dość łaskawa, mówiła, że jest w miarę atrakcyjna. Żadna tam olśniewająca piękność, tylko dość atrakcyjna. Łatwiej byłoby jej wymienić długą listę swoich wad niż atutów.

Pośród owych wad pierwsze miejsce zajmowały wzrost i figura. Mogłaby być wyższa. Mając sto pięćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, zmuszona była kupować większość ubrań w małych rozmiarach, podwijając nogawki dżinsów i podnosić wzrok na każdego mężczyznę, z którym się spotykała, również na tego, którego przez pomyłkę poślubiła. Nieraz marzyła o kilku dodatkowych centymetrach i choć odrobinie więcej siły.

Zastrzeżenia budziły też piersi. Kupowanie stanika w rozmiarze 32 A nie należało do jej ulubionych zajęć. Zwykle rezygnowała z tej części garderoby. Zresztą ogólnie była drobna i krucha. Szczupłą talię

równoważyły łagodnie zaokrąglone biodra i zgrabne uda ukryte w tej chwili pod szykownymi czarnymi dżinsami. Pomimo drobnej budowy nie zasługiwała jednak na miano chudej czy kościstej.

Miała na sobie wąskie i opięte spodnie rurki. Nosiła je z krótkimi skórzanymi botkami, białą bluzką z długimi rękawami i dopasowaną czarną zamszową kamizelką. Ten strój dodawał jej pewności siebie, niezbędnej w kontakcie z zawodowym ochroniarzem.

Tyle że wrażenie, jakie pragnęła osiągnąć przy pomocy swojego efektownego ubioru, kłóciło się z burzą jasnobrązowych włosów wymykających się ze spinającej je z tyłu kłamry. Pojedyncze kosmyki wyslizgnęły się spod niej, a koński ogon przemieścił się lekko na bok.

Zaczesane do tyłu kręcone włosy odsłaniały drobną twarz. Dominowały w niej duże, orzechowe, lekko skośne oczy, które przywoływały na myśl oblicze baśniowego elfa. Mały nos był wąski i kształtny, zaś ekspresyjne wargi z łatwością wyginały się w uśmiech lub w podkówkę. Była to interesująca twarz pełna życia i inteligencji, jeżeli nie piękna. Stanowiła znakomite odzwierciedlenie kobiety, która się za nią kryła.

Pół roku wcześniej Sabrina skończyła dwadzieścia osiem lat. Do momentu, gdy sytuacja, w jakiej się znalazła, zmusiła ją do poszukiwania ochroniarza, miała absolutną kontrolę nad swoim życiem.

Dotyczyło to zarówno mężczyzn, pracy zawodowej, jak jej możliwości intelektualnych. Prawdę mówiąc, z dwiema ostatnimi sprawami nigdy nie miała kłopotu. To ze swoim życiem uczuciowym nie potrafiła sobie poradzić. Odsunęła od siebie te przykre rozważania. To już przeszłość. Teraz była już inną kobietą.

- No i jak? - spytała uszczypliwie. - Przyjmie pan taką klientkę jak ja?

Devlin zmrużył szare oczy.

- Mówiąc szczerze, w tej chwili nie jestem specjalnie wybredny. Potrzebuję pieniędzy.

- Mnie, niestety, też nie stać na grymasy - odparowała ze złością. - Nie mam na to czasu. Nie mogę biegać po całym mieście w poszukiwaniu kogoś, kto spodoba się mojej matce.

- Więc chyba jesteśmy na siebie skazani. Sabrina usłyszała w tym stwierdzeniu cień humoru. Zdawało jej się nawet, że jego twarz złagodniała.

- Będzie mnie pani tolerować ze względu na matkę?  
Skrzywiła się.

- Tak, bo robię to wyłącznie dla jej spokoju. Jest tak pochłonięta pracą i finalizacją kontraktu dla swojej firmy, że nie chcę dokładać jej zmartwień. Czy ten pan Teague, który zajmuje się jej ochroną, wprowadził pana w szczególności sprawy?

- Powiedział, że firma, dla której pani matka pracuje w Los Angeles, w zeszłym tygodniu otrzymała pogróżki dotyczące osób z najwyższego kierownictwa. Po konsultacji z agencją pana Teague'a postanowiono potraktować te groźby bardzo poważnie. Członkowie kierownictwa, tacy jak pani matka, dostali całodobową ochronę do czasu sfinalizowania kontraktu dla wojska.

- Ale ta ochrona nie obejmuje członków rodziny, którzy nie mieszkają już w domu rodzinnym. Część kierownictwa postanowiła zatrudnić prywatną ochronę dla swoich dzieci, nawet tych dorosłych. Na

wszelki wypadek. Moja matka, jak widać, podjęła taką decyzję, chociaż nie mam pojęcia dlaczego - oznajmiła Sabrina, marszcząc znów czoło na myśl o potężnym zamieszaniu, jakie wprowadzi to w jej życiu.

- Ja widzę w tym pewną logikę - zauważył Devlin. - Teague twierdzi, że nie wolno lekceważyć tych pogroźek. To raczej nie są żarty. Ludzie, którzy za tym stoją, próbują wykorzystać firmę pani matki. Chcą, żeby projekt został wstrzymany i żeby odbiło się to jak największym echem. Wtedy inni zastanowią się dwa razy, zanim zabiorą się za coś podobnego.

- To idiotyczne. Poważne firmy i rząd Stanów Zjednoczonych nie wstrzymują istotnych projektów z powodu jakichś tam pogroźek.

- Nie, ale jeżeli ci ludzie zdecydują się na dalsze kroki, byle tylko zyskać rozgłos, nie da się przewidzieć, kto przy okazji ucierpi.

- Cóż, jutro będę na Hawajach, tysiące kilometrów od Zachodniego Wybrzeża i pewnie tysiące kilometrów od potencjalnych szaleńców - powiedziała Sabrina. - Ochrona dla mnie to strata czasu i pieniędzy.

Jake uniósł brwi.

- Proszę wybaczyć, ale dla mnie to nie jest strata pieniędzy. - Przebiegł wzrokiem po swoim skromnym gabinecie połączonym z poczekalnią. - Mam tutaj dużo do zrobienia. Potrzebuję kapitału, a jeśli mam być szczery, pani matka dobrze płaci. Szkoła tak czy owak będzie teraz zamknięta przez dwa tygodnie, więc jeśli chodzi o mnie, nie mogło się lepiej złożyć.

- Bardzo się cieszę, że ktoś jest zadowolony.

- Pani naprawdę jest zła? - zauważył irytująco beznamiętnie. - To pokrzyżuje pani plany?

- Świadomość, że chodzi za mną uzbrojony ochroniarz, raczej nie umili mi wakacji, prawda? - burknęła.

Uniósł ręce, otwartymi dłońmi w jej stronę.

- Proszę zobaczyć, nie mam broni. Staram się nie wyglądać jak goryl z filmu gangsterskiego.

- Albo kung-fu? - W jej oczach zabłyśły iskierki rozbawienia, kiedy uświadomiła sobie śmieszność sytuacji, w jakiej się znalazła.

- Jeżeli szczęście nam dopisze, nie pozostawimy za sobą trupów. Lubię czystą robotę.

Zamyśliła się przez chwilę nad jego słowami, przekrzywiając głowę i odruchowo przygryzając dolną wargę. Nie bardzo wiedziała, co na to odpowiedzieć. Jak należy prowadzić rozmowę z ochroniarzem? Zwłaszcza gdy nie ma się wyboru?

- Miło mi to słyszeć. Jest pan dobry w swym fachu?

- Skoro nie spodziewa się pani kłopotów, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? - odparował chłodno.

- Moja matka chce wiedzieć, za co płaci. Nie lubi tracić pieniędzy - odparła natychmiast Sabrina. - Dlaczego ten Teague zarekomendował właśnie pana? Skąd pan go zna?

- Poznałem go dawno temu. Wie, że mieszkam w Portlandzie, więc kiedy pani matka prosiła, żeby jej kogoś polecił, był tak miły, że pomyślał o mnie.

- To niewiele wyjaśnia. - Jakieś to wszystko wydało jej się zbyt proste. Prawie nic nie wiedziała o tym mężczyźnie, a przecież miała odbyć w jego towarzystwie dziesięciodniową wycieczkę na Hawaje.

- Proszę wybaczyć, ale nie dysponuję wydaniem krytycznym mojej biografii, które mógłbym wręczać klientom, panno McAllaster. Obawiam się, że będzie pani musiała mi zaufać i zdać się na rekomendację Teague'a.

Umilkł, a ona uznała to za wyzwanie. Stwierdziła, że najwyższa pora wyjaśnić kilka spraw. Jeżeli mają spędzić razem najbliższe dwa tygodnie, Jake Devlin powinien wiedzieć, kto tu rządzi.

- Wcale nie muszę pana ze sobą zabierać. Mogę wsiąść jutro rano na pokład samolotu i polecieć na Hawaje sama. Przy odrobinie wysiłku znajdę kogoś, kto chętnie podejmie się tej pracy i przedstawi mi do wglądu swoją biografię.

Devlin wysłuchał tego z obojętną miną.

- Za późno. Teague prosił pani matkę, żeby wysłała mi wynagrodzenie za dwa tygodnie pracy z góry. Dzisiaj rano wpłynęło na moje konto. Zaczynam moje obowiązki dzisiaj o szóstej po południu, tuż po zamknięciu szkoły.

- Jest pan bardzo pewny siebie - skrzywiła się.

- Kiedy przyjmowałem zlecenie przez telefon, Teague dał mi do zrozumienia, że umowa jest podpisana i przypieczętowana. Pani matka była zadowolona.

- Bo to nie jej będzie pan deptał po piętach przez następne dwa tygodnie. Nie odpowiedział pan na moje pytanie - stwierdziła ponuro. - Czy jest pan dobry?

- Chce pani wiedzieć, czy osłonię panią przed kulą własnym ciałem?

Zaszokowana tą sugestią, Sabrina oparła plecy o krzesło. Przeraziła ją sama myśl, że ktoś mógłby coś takiego dla niej zrobić. Spojrzała na niego, szeroko otwierając oczy.

- Ale skąd! To ostatnia rzecz, jakiej od kogokolwiek bym wymagała.

Co za upiorny pomysł!

- Uważa pani, że pani matka nie zapłaciła za taką usługę? - spytał uprzejmie.

- Niech pan nie będzie śmieszny.

- Więc czego dokładnie oczekuje pani od swojego ochroniarza, panno McAllaster?

Bezradnie wzruszyła ramionami, zniecierpliwiona i zagubiona.

- Nie wiem. Przypuszczam, że będzie pan obserwował, czy w pobliżu nie ma kogoś podejrzanego.

- Dla ochroniarza wszyscy są podejrzeni.

- No to nie zabraknie panu zajęć. Panie Devlin, proszę posłuchać, to prowadzi donikąd. Nie mam pojęcia, jak z panem rozmawiać, a nawet gdybym miała, pewnie okazałoby się to stratą czasu. Ten Teague przekonał moją matkę, że jest pan odpowiednią osobą do tej pracy, więc nie mam wyjścia. Muszę pana zaakceptować. - Podniosła się z krzesła. Devlin natychmiast poderwał się na nogi i na bosaka okrążył biurko.

- Jestem wdzięczny za pani nieograniczoną wiarę w moje umiejętności. - Z półuśmiechem odprowadził ją do drzwi. - Zrobię, co w mojej mocy, żeby nie zawieść pani oczekiwań.

- Pomimo że są niekonkretne - dokończyła za niego i odwróciła się do niego twarzą. - Ale pan też wyraża się dosyć mętnie. Czy pan w ogóle zajmował się już czymś takim?

- Ochroną ludzi? Nie. - Ani trochę nie przejmował się swoim brakiem doświadczenia. - Wolę uczyć dzieciaki technik samoobrony.

- Rozumiem - odparła sztywno. - Ale za ochronę lepiej płacać?



- O wiele lepiej.

- A pan potrzebuje kasy. No cóż, faktycznie chyba jesteśmy na siebie skazani. Prawda, panie Devlin?

- Tylko proszę się tym za bardzo nie przejmować. Jestem pewien, że na Hawajach będzie fantastycznie, nawet w moim towarzystwie. Aha, proszę mi mówić po imieniu, skoro już mamy się zaprzyjaźnić.

Sabrina nieufnie spojrzała na jego uprzejmą twarz, przypominając sobie swoje wcześniejsze refleksje na temat jego ograniczonych kontaktów z ludźmi.

- W porządku, Jake - zgodziła się. Potem coś sobie uprzytomniła. - Powinnam zatelefonować do hotelu na Hawajach i zarezerwować dla ciebie pokój.

- Teague zajął się wszystkim - odparł gładko Jake.

- Sprawnie działa ten twój Teague. No więc do zobaczenia, jak rozumiem - powiedziała, nie wiedząc dokładnie, jak należy umawiać się z ochroniarzem.

- Tak, do zobaczenia - rzekł. - Około szóstej po południu.

Popatrzyła na niego zakłopotana, świadoma jego siły i pewności siebie. Z jej perspektywy większość mężczyzn była za wysoka.

Przytłaczali ją fizycznie.

Ale Jake Devlin miał w sobie coś jeszcze, i to coś budziło w niej większe obawy. W końcu czasami trzeba mocno wyciągać szyję, by spojrzeć mężczyźnie w twarz, ale nie musi temu towarzyszyć lęk, że zostanie się psychicznie czy emocjonalnie zdominowanym. Jake Devlin budził w niej niepokój, którego nie potrafiła zdefiniować. Powinna się

cieszyć, że przynajmniej nie był potężny. Na oko miał mniej więcej metr osiemdziesiąt wzrostu. Swoją drogą dla niej to i tak za dużo.

- O szóstej? - powtórzyła. - Chcesz spotkać się ze mną o szóstej po południu?

- O tej godzinie zaczynam pracę-przypomniał jej.

- Nie musisz się fatygować tak wcześnie -zapewniła go beztrąsko. - Spotkajmy się jutro rano na lotnisku. Wystarczy, jeżeli wtedy rozpoczniesz tę swoją pracę. Aha, i weź ze sobą spodenki kąpielowe. Na Hawajach nie będziesz miał wiele do roboty. To wspaniała okazja, żeby popływać. Umiesz pływać, prawda? - dodała z niepokojem.

- Jako tako. Chyba nie rozumiesz, na czym polega moje zadanie - zaczął Jake ostrożnie, jakby szukał słów, którymi wyjaśni jej swoją rolę. - Mam cię chronić dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zaczynam dzisiaj po zakończeniu ostatniej lekcji.

- Nie martw się. - Uśmiechnęła się, zdając sobie sprawę, co go tak niepokoi. - Nie powiem Teague'owi, że przesunęliśmy termin na jutro rano. Nikt nie uszczknie ani grosza z twojej zapłaty.

Spojrzał na nią takim wzrokiem, jakby miał do czynienia z osobą niezbyt rozgarniętą.

- Dzisiaj o szóstej. Mam twój adres - oznajmił, podkreślając każde słowo.

Irytacja Sabriny zamieniła się w kipiącą złość. Dotarło do niej, że stoi przed nią człowiek zupełnie bez polotu.

- Jake, dzisiaj wieczorem jestem zajęta - oświadczyła. - Wrócę do domu bardzo późno. Jeśli chcesz, zadzwonię do ciebie po powrocie, żebyś miał pewność, że jestem cała i zdrowa, ale niczego więcej nie mogę ci

obietcać. Ten wieczór spędzam z przyjaciółmi, więc nie martw się o mnie. Chyba powinniśmy sobie coś wyjaśnić. To ty pracujesz dla mnie, a nie na odwrót. Postaram się z tobą współpracować w granicach rozsądku, ale nie pozwolę, żeby z powodu absurdalnego strachu mojej matki moje życie zostało wywrócone do góry nogami.

Pchnęła drzwi i wyszła do holu. Zarzuciła torebkę na ramię i odwróciła się do Devlina. Stojąc na lekko rozstawionych nogach, z rękami wspartymi na biodrach i ściągniętymi brwiami, wyglądała jak mały Robin Hood w czerni i bieli. Brakowało jej tylko łuku i kapelusza z piórem. Devlin patrzył na nią jak na istotę z innej galaktyki.

- Zakładam - podjęła stanowczo - że wszechmocny pan Teague załatwił ci także bilet na samolot.

- Owszem.

- A zatem nie ma absolutnie żadnej potrzeby, żebyśmy spotykali się wcześniej niż jutro rano. Przepraszam, że nasza znajomość nie zaczęła się najlepiej, Jake - ciągnęła, ustępując nieco, gdyż zreflektowała się, że to naprawdę nie jego wina. - Ale to chyba dobrze, że wszystko sobie wyjaśniliśmy. Ani przez chwilę nie uwierzyłam, że coś mi grozi, więc nie wysilaj się specjalnie. Jestem pewna, że jeśli oboje się postaramy, uda nam się w przyjaźni przetrwać te dwa tygodnie. Najważniejsze, żebyś pamiętał, że to ja wydaję polecenia.

- Stawiasz sprawę jasno - rzekł nieco zbyt łagodnie.

Sabrina zignorowała cichy głos, który zalecał jej ostrożność.

- Tak. I nie widzę powodu, żeby nam się nie ułożyło. Na Hawajach będę bardzo zajęta. Łączę wakacje z seminarium, które będzie odbywać się w hotelu. Nie zabraknie ci czasu na korzystanie z wakacyjnych

uroków. Jeżeli tylko nie będziemy wchodzić sobie w drogę, wszystko powinno ułożyć się bez zgrzytów.

- Nie dostrzegasz żadnej sprzeczności w tym, że mam cię chronić, a jednocześnie trzymać się od ciebie z daleka?

- Znajdziemy jakieś rozwiązanie. W samolocie przedyskutujemy szczegóły. To długa podróż. - Zakreśliła się na pięcie i ruszyła przed siebie stanowczym krokiem, z powagą i z godnością.

Kiedy znalazła się na zewnątrz budynku, wygrzebała z czarnej torebki kluczyki i pomaszerowała do swego czerwonego samochodu zaparkowanego przy krawężniku. Rozmowa nie poszła dobrze, a wina przynajmniej częściowo leżała po jej stronie. Starczyło jej szczerości, by się do tego przyznać. Zaciskając zęby w milczeniu, wśliznęła się na siedzenie i uruchomiła silnik, energicznie przekręcając kluczyk.

Do diabła! No dobrze, podczas długiego lotu na Hawaje postara się jakoś załagodzić sytuację. Jeśli to jej się nie uda, najbliższe dwa tygodnie mogą okazać się najdłuższymi dwoma tygodniami w jej życiu. A tak cieszyła się na tę wycieczkę! Będzie wściekła i zawiedziona, jeśli obecność ochroniarza zepsuje jej tę przyjemność.

Dla jej zapracowanej i operatywnej matki ochroniarz nie stanowił wielkiej niedogodności. Podczas ostatnich gorących dni pracy nad projektem pani McAllaster niemal cały czas spędzała w biurze. Człowiek, który ją chronił, stał sobie przed drzwiami jej gabinetu, nikomu nie wadząc, przez szesnaście godzin na dobę, a potem jechał za nią do domu i sprawdzał zainstalowany tam system alarmowy.

Ochroniarz w życiu Sabriny oznaczał same komplikacje. Wakacje z natury są pełne wydarzeń. Sabrina była przekonana, iż cała ta afera była

mocno naciągana. Duże firmy zawsze przyciągały szaleńców rozmaitego autoramentu, stanowiły wymarzony cel ich ataków. Osobista ochrona dla szefa firmy była wręcz oznaką prestiżu, wyznacznikiem pozycji w korporacyjnej hierarchii. Tak samo jak własny klucz do łazienki dla kierownictwa firmy.

Mimo wszystko spokój ducha matki był dla Sabriny ważny. Były zżyte i bardzo sobie bliskie, choć Sabrina żyła już na własne konto. Łączyły je dobre relacje, poza tym Sabrina darzyła matkę wielkim szacunkiem. Ta kobieta, opuszczona przez męża, gdy Sabrina miała ledwie dziesięć lat, osiągnęła prawdziwy sukces w biznesie. Szacunek i miłość stanowiły wystarczający powód, by postąpić zgodnie z życzeniem matki.

A jednak Sabrina obiecała sobie, że zrobi to na własnych warunkach. Musi to wbić Jake'owi Dev-linowi do głowy. Z pasją uruchomiła samochód i ostro zjechała z krawężnika.

Trzy piętra wyżej Jake stał przy oknie i obserwował, jak Sabrina manewruje jasnoczerwonym sportowym autem i włącza się do ruchu, kompletnie ignorując zasady bezpieczeństwa na drodze. Jechała, mówiąc wprost, na złamanie karku. Jake nachylił się i oparł dłonie na parapecie. Miał przeczucie, że Sabrina wszystko robi tak samo, jak prowadzi samochód. Z brawurą i niepohamowaną energią.

Ochronę takiej osoby można porównać do pościgu za uciekającym motylem, by złapać go w siatkę. Na dodatek ten motyl uważa, że to on ustala zasady postępowania obowiązujące człowieka z siatką.

Zapatrzył się na rozciągające się w dole miasto. Portland w stanie Oregon. Patrzył tak długo, dopóki czerwony samochód nie zniknął mu z oczu. Jeszcze nigdy nie próbował pochwycić w siatkę uciekającego

motyla. Dla własnego spokoju, a także ze względu na bezpieczeństwo tej dziewczyny podczas dwóch kolejnych tygodni, musi znaleźć sposób, by przekonać ją, że nieszczęsny gość z siatką to siła, z którą należy się liczyć.

To będzie długa noc, pomyślał, odwracając się w końcu od okna. Ale prawie wszystkie jego noce były długie. O wiele za długie.

Tej nocy przynajmniej będzie miał powód, by nie spać, podczas gdy cały świat pogrąży się we śnie. Czekало go ważne zadanie.



## **ROZDZIAŁ DRUGI**

Rick Shepherd dawał jej się we znaki. Sabrina rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie, kiedy otoczył ją ramieniem i pociągnął na pograżony w ciemności koniec dużej werandy. Z wnętrza dobiegały dźwięki przyjęcia. Stali, patrząc w dół wzgórza na morze świateł Portlandu. W oddali liczne mosty na Willamette River lśniły niczym sznury koralu. Apartamentowiec, w którym mieszkała Sabrina, położony był w pobliżu jednego z owych mostów, okna jej mieszkania wychodziły na rzekę. Tego wieczoru zdawało jej się, że od domu dzieli ją ogromny dystans. Niedługo będzie musiała poszukać jakiejś wymówki i wracać do siebie. Robiło się późno.

- Będę za tobą tęsknił przez najbliższe dziesięć dni, kochanie - powiedział cicho Rick. Poruszył przy tym palcami obejmującej ją ręki i pewnie zdawało mu się, że ją w ten sposób uwodzi.

- Chciałbym z tobą pojechać.

- Zanudziłbyś się na śmierć, Rick, przecież wiesz. Dziesięć dni seminariów! - zadrwiła z niego delikatnie. Rick był przystojny, musiała przyznać bezstronnie. Starannie zaczesane jasne włosy, seksowne spojrzenie oczu w kolorze nasyconego błękitu i ten surowy męski profil! Większość kobiet w mgnieniu oka odwołałaby dla niego dziesięciodniową wycieczkę na Hawaje. Mężczyźni w rodzaju Ricka nie mają w zwyczaju czekać, aż kobieta wróci z długiej wyprawy.

Ale Sabrina nie zmieniała już planów ze względu na mężczyzn, niezależnie od tego, jak bardzo byli atrakcyjni. Nie pozwalała, by ich

wpływ na jej życie przekraczał ściśle określone granice. Tak było o wiele bezpieczniej.

- Zawsze łączysz wakacje z jakimś nudnym programem edukacyjnym? - spytał Rick z niesmakiem. Przytulił ją mocniej, chociaż się opierała.

- O ile mnie pamięć nie myli, podczas przerwy świątecznej na Boże Narodzenie wybrałaś się w rejs po Morzu Karaibskim. Były tam jakieś warsztaty z dramatów Szekspira, tak?

- To była fantastyczna wycieczka! - odparła Sabrina z entuzjazmem, a jej orzechowe oczy zalśniły. - Organizatorzy warsztatów zaprosili na pokład aktorów. Każdego wieczoru grano inną sztukę.

W ciągu dnia omawialiśmy sztukę, która miała być wystawiana wieczorem. Tyle się nauczyłam!

- Przychodzi mi do głowy całe mnóstwo rzeczy, które wolałbym robić na takim statku, zamiast oglądać przedstawienia. W zeszłym miesiącu na długi weekend uciekłaś do Kalifornii na seminarium połączone z degustacją win. Lubię wino, ale żeby całe trzy dni poświęcić na studiowanie takich rzeczy?

- Teraz mam pewność, że już nigdy nie skompromituję się w restauracji - poinformowała go z powagą. Usiłowała się od niego odsunąć, a kiedy wyczuła opór, ściągnęła brwi zirytowana. Tak, Rick naprawdę dawał jej się we znaki. - Maklerzy giełdowi nie uczęszczają na żadne kursy albo seminaria, żeby się rozwijać i doskonalić?

- Tylko na takie, które gwarantują zdobycie nowych klientów i promocję sprzedaży. Wiesz, gdzie spędziłem w tym roku Boże



Narodzenie? W Meksyku. Byczyłem się na plaży w Acapulco, sącąc margaritę.

- Mam nadzieję, że na Hawajach znajdę chwilę na szklaneczkę mai tai.

- Gdybym się z tobą wybrał, znaleźlibyśmy sobie więcej rozrywek - rzekł, pochylając głowę, żeby szeptać jej do ucha. Sabrina poczuła, że chwyta ją jeszcze większa złość.

- Ale przecież nie jedziesz ze mną, prawda? Więc nie ma znaczenia, co robilibyśmy tam razem. A teraz wybac, powinnam już wracać do domu. Muszę się spakować. Wylatuję jutro rano.

- Sabrino, co się z tobą dzieje? Myślałem, że stąd pojedziemy do mnie. - Nuta rozdrażnienia w jego głosie i zmieniony dotyk jego ręki, w odpowiedzi na jej próby wyrwania się z uścisku, wywołały w Sabrinie irytację, którą Rick dojrzał w jej zniecierpliwionym wzroku.

- Może innym razem. Mówiłam ci, że dziś wieczór to niemożliwe. Dlatego postanowiłam przyjechać sama na to przyjęcie. Przepraszam cię, muszę już lecieć.

Szarpnęła się i skutecznie uwolniła się z jego objęcia, po czym zwawo pomaszerowała do drzwi balkonowych prowadzących do zatłoczonego salonu. Jej drobna postać, gibka i sprężysta, tym razem przypominała matadora. Sabrina miała na sobie turkusowe aksamitne spodnie do kolan, bolero naszywane srebrnymi cekinami i bluzkę ze złotej lamy. Stopy w czarnych pantoflach na srebrnych obcasach wybijały niecierpliwy rytm na deskach ganku. Jasne włosy upięte z tyłu głowy załśniły w świetle, gdy prześlizgiwała się przez drzwi. Czuła na sobie

tęskne spojrzenie Ricka. Z przyjemnością wkroczyła w radosny hałaśliwy tłum.

Wyprawa na Hawaje przytrafiła jej się w wyjątkowo dobrym momencie. Pomoże jej rozluźnić związek z Rickiem, pomyślała, uśmiechając się na pożegnanie do gospodyni przyjęcia. Rick zaczął oczekiwać pogłębienia ich zażyłości, Sabrina zaś nie miała najmniejszej ochoty pozwalać na to żadnemu mężczyźnie. Życie nauczyło ją, że jedynym sposobem na zachowanie kontroli w związku jest poczucie emocjonalnego bezpieczeństwa. Nie wolno okazać mężczyźnie swoich słabości. Mężczyźni nie szanują ani nie otaczają czułą troską bezradnych kobiet. Wykorzystują je. Sabrina już się o tym przekonała.

- Przykro mi, że już nas opuszczasz - powiedziała z żalem Maggie Compton, kiedy Sabrina podziękowała jej za zaproszenie. - Mam nadzieję, że będziesz się świetnie bawiła na Hawajach. Co będzie tym razem? Wykłady na temat egzotycznych kwiatów? - dodała z wieloznacznym uśmiechem.

- Legendy związane z królem Arturem i epoką rycerstwa - odparła Sabrina. - Szkoda, że nie widziałas tej sterty książek, które musiałam kupić. Zajmują całą walizkę.

- Pamiętaj, że plaża to nie tylko miejsce do czytania - powiedziała stanowczo Maggie. - To mają być wakacje.

- Tak, wiem. Takie wakacje, jakie najbardziej lubię.

Maggie potrząsnęła głową.

- Ty i te twoje kursy! Nie nadążam za tobą, co tydzień co innego. Nie zapomnij chociaż przyjrzeć się swoim kolegom z kursu. Może napotkasz

prawdziwego rycerza w lśniącej zbroi? Chyba nigdzie łatwiej takiego nie znajdziesz, jak na seminarium na temat rycerskich legend?

Sabrina uśmiechnęła się cierpko.

- Maggie, w naszych czasach rycerze w lśniących zbrojach występują równie rzadko jak jednorożce. Ale obiecuję ci szczegółowy raport z wykładów, jeśli chcesz.

- Łaski! Oszczędź mi tego. Nie mam tak bogatych zainteresowań jak ty: od degustacji win po legendy króla Artura, i co tam jeszcze. Jak ty właściwie wykorzystujesz całą tę niepotrzebną wiedzę?

- Bibliotekarzowi przydają się rozmaite ciekawostki. Poza tym to świetny materiał do rozmów z nieznanymi na takich przyjęciach jak twoje! Dobranoc, Maggie. Przyślę ci pocztówkę z Hawajów.

Sabrina pomachała na pożegnanie i wyszła przez frontowe drzwi eleganckiego domu na wzgórzu. Przyjęcie należało do udanych, Maggie Compton była jej dobrą przyjaciółką. A jednak Sabrina czuła się zmęczona tym wieczorem. No i powinna się szybko spakować. Kiedy zbiegała ze schodów w stronę rzędu samochodów zaparkowanych wzdłuż krętej ulicy, zdała sobie sprawę, że nie jest specjalnie ciekawa, z kim Rick Shepherd wyjdzie z przyjęcia. Kiwnęła głową z cichą satysfakcją. Przebyła długą drogę od tamtej brzemiennej w skutki decyzji sprzed dwóch lat, kiedy postanowiła traktować mężczyzn w ten sam sposób, w jaki traktowała swoje rozmaite zainteresowania. Podobnie jak różne kursy i seminaria, w których brała udział, jej obecne związki z mężczyznami były ograniczone w czasie. Pozbawione głębokiego emocjonalnego zaangażowania służyły raczej rozrywce.

Wyciągając z torebki kluczyki, pomyślała, że jej życie nigdy nie było lepsze. Miała właściwie wszystko, czego zapragnęła. Oczywiście, że narzucony jej przez matkę ochroniarz nie należał do tej kategorii. Cóż, trudno. Jeśli jej zapracowana mama będzie spokojniejsza, wiedząc, że córka leci na Hawaje w towarzystwie bohatera filmu kung-fu, ona jakoś to zniesie. Sprawa pogroźek, które dotarły do zajmującej się nowoczesnymi technologiami firmy jej matki, wkrótce zostanie rozwiązana. Była o tym przekonana. Przez dziesięć dni jakoś wytrzyma niedogodności związane z posiadaniem opiekuna. A może Devlin zajmie się uczeniem samoobrony dzieci na plaży?

Na tę myśl uśmiechnęła się. Ciekawe, ilu profesjonalnych ochroniarzy zarabia na życia, pracując z dziećmi? Wciąż z uśmiechem na twarzy dotarła do samochodu i pochyliła się, żeby włożyć kluczyk do zamka.

Nie słyszała kroków. Nagle tuż za nią z ciemności wyłoniła się jakaś postać. Poczowała na ramieniu czyjąś rękę. Chciała krzyknąć, ale nie zdążyła, bo jakaś zgrubiała dłoń zasłoniła jej usta.

W panice zaczęła wierzgać i kopać, broniła się zaciekle niczym drobne zwierzę, które walczy o życie, przyparte do muru. Ale napastnik pokonał ją z przerażającą łatwością. Nie uderzył jej, a mimo to w ciągu paru sekund znalazła się w jego sidłach.

Jakaś szmatą związał jej ręce na plecach, drugą zakneblował usta, a potem przewiązał oczy opaską. Nie odezwał się ani słowem, nie tracił sił na próżne ostrzeżenia. Sabrina odniosła wrażenie, że było mu obojętne, czy się opierała, czy pozostawała bierna. Tak czy owak koniec był przewidywalny.

W ciągu kilku następnych sekund mężczyzna wziął ją na ręce i wrzucił na siedzenie pasażera w jej samochodzie. Drżąc z wściekłości graniczącej ze strachem, próbowała wydostać się z samochodu na chodnik. Jak to możliwe, żeby coś takiego spotkało ją przed domem Maggie Compton? Na pewno za moment któryś z gości pojawi się i podniesie alarm. Przecież takie rzeczy nie zdarzają się zwyczajnym ludziom.

Jej nieudolne próby ucieczki z samochodu zakończyło zamknięcie drzwi. Znalazła się w pułapce, nic nie widziała, nie mogła ruszyć rękami ani nogami. Siedziała skulona na fotelu, czekając, co będzie dalej. Nie było sensu wszczynać walki. W tej chwili była bezbronna. Mogła jedynie zbierać siły i modlić się o jakąś szansę ucieczki.

Ale dlaczego ten człowiek wsadził ją do jej własnego samochodu? Odpowiedź przyszła niemal natychmiast. Poczowała, że mężczyzna zajmuje fotel kierowcy. Po chwili usłyszała, że wkłada kluczyk do stacyjki i zapala silnik. Samochód powoli ruszył. Powoli, pomyślała bliska hysterii. Została porwana przez człowieka, który działał przerażająco skutecznie i w ciągu paru sekund pozbawił swoją ofiarę wszelkich szans obrony. A potem wpakował ją do jej auta, które prowadził, jakby to było rodzinne kombi.

Przestań, rozkazała sobie w duchu. To nie pora na histerię. Mój Boże. Matka miała rację. Ten człowiek, z którym się dzisiaj spotkała, ten Jake Devlin, on też miał rację. Na Boga, gdzie podziewa się jej ochroniarz, kiedy jest jej potrzebny? Siedziała nieruchomo, zdruzgotana. Chciała zebrać myśli, opanować się, nie poddać się lękowi, nim całkiem ją obezwładni.

Samochód sunął wijącą się drogą do śródmieścia. Jej samochód, prowadzony przez nowego kierowcę, zjeżdżał w dół z mniejszym

entuzjazmem, niż jakiś czas temu wspinał się do góry. Jechał ostrożnie, powoli, z należnym szacunkiem dla pozostałych uczestników ruchu.

Sabrina próbowała zorientować się, gdzie jest. Czekwała, aż poczuje, że są już na prostej drodze. Trudno jej będzie zgadnąć, w którą stronę się kierują. Zanim jednak zjechali na dół, samochód zwolnił.

Miała wrażenie, że przestała oddychać. Nie było żadnego powodu, żeby się tutaj zatrzymali, chyba że... Przełknęła z trudem, serce jej waliło, skoczył poziom adrenaliny. Chyba że mężczyzna, który prowadził samochód, postanowił pozbyć się zbędnego bagażu.

Nie, to niemożliwe. Nieżywa byłaby bezużyteczna, na co komu jej śmierć? Ale przecież ten wariat, który wysyłał listy z pogrózkami, był szalony. Ma tylko jedną szansę - musi z nim porozmawiać. Może przekona go, że żywa bardziej mu się przyda. Gdyby tylko wyjął z jej ust tę wstrętą szmatę.

Samochód zatrzymał się na poboczu, silnik zgaśł. Sabrina zeszywniała ze strachu. Czekwała, co teraz z nią będzie.

Kiedy silna ręka dotknęła jej głowy, wzdrygnęła się, ale zaraz potem ta sama ręka zdjęła jej opaskę z oczu. Sabrina zamrugła powiekami i spojrzała na swojego porywacza.

- Widzisz, jakie to dziecinnie łatwe? - Jake Devlin oparł się o drzwi od strony kierowcy. Jedną rękę położył leniwie na kierownicy. Drugą wyjął jej knebel. Sabrina osłupiała, widząc, kim okazał się jej rzekomy porywacz.

- Devlin - wyszeptała. - Devlin! - Tym razem zabrzmiało to jak przekleństwo, co bynajmniej nie zrobiło na nim wrażenia. Siedział bez ruchu w półmroku samochodu. Jego twarz w bladym świetle księżyca

wydawała się pozbawiona emocji. Miał na sobie ten sam strój co wcześniej, džinsy i bawełnianą koszulę, ale nie był już bosy. Nosił miękkie zamszowe buty przypominające mokasyny. Sprawiał wrażenie niebezpiecznego drania, który stanowi naturalną część otaczającej go nocy. Sabrina po raz pierwszy w życiu przekonała się, co znaczy prawdziwy strach. Teraz już z niej sphywał, zastąpiony przez napad furii.

- Przepraszam za to przedstawienie, Sabrino - podjął cicho Jake, nachylając się, by uwolnić jej skrepowane dłonie. - Ale uznałem, że przyda ci się lekcja pogładowa.

- Lekcja pogładowa? - powtórzyła oniemiała. Potrząsnęła głową. - Zrobiłeś to, żeby dać mi lekcję pogładową? - Mając już wolne ręce, odsunęła się od niego jak najdalej. - Lekcję?

- Dałaś mi dzisiaj jasno do zrozumienia, że tych pogroźek nie traktujesz poważnie. Uznałem, że powinnaś się przekonać, że nikt nie jest absolutnie bezpieczny.

Sabrina chciała coś powiedzieć, ale zaschło jej w ustach. Zwilżyła wargi czubkiem języka, wzięła głęboki oddech i zaczęła:

- Więc to nie było porwanie? Tylko jakiś durny plan, żeby mnie o czymś przekonać? - Wciąż nie mogła w to uwierzyć.

- Tak, zamierzałem ci udowodnić, że ktoś może cię bez problemu znaleźć, porwać i wykorzystać - odparł rzeczowo. - Chciałem, żebyś zrozumiała, dlaczego Teague i twoja matka doszli do wniosku, że potrzebny ci ochroniarz.

Sabrina wciągnęła powietrze i wyrzuciła z siebie pierwsze słowa, jakie przyszły jej na myśl:

- Zwalniam cię!

Devlin wpatrywał się w nią krótką chwilę. Potem jego wargi mimowolnie ułożyły się w krzywy uśmiech.

- Nie możesz mnie zwolnić.

- Bo co? Bo sam odejdziesz? - odparowała, bardzo na to licząc.

- Nie łudź się. Mówiłem ci, że pieniądze twojej matki wpłynęły na moje konto. Przyjąłem to zlecenie i będę cię chronił. Zrobię, co w mojej mocy. Pomyślałem tylko, że będzie nam łatwiej, jeżeli dzisiaj wieczorem ustalimy kilka zasad.

- Ja jestem twoją klientką. To ja ustanawiam zasady gry - oburzyła się.

- To niemożliwe, jesteś zupełnie bezbronna. Dzisiaj to mógł być ktoś inny, nie ja. Nie rozumiesz? Każdy mógł jechać za tobą na to przyjęcie, a jeszcze prostsze było złapanie cię na ulicy. Każdy mógł zrobić to samo, co ja zrobiłem. Do diabła, nawet się porządnie nie rozejrzałaś, zanim ruszyłaś z domu do samochodu. Dlaczego ktoś cię nie odprowadził?

- Ponieważ byłem bardzo zmęczona kimś, kto mógł to zrobić.

Zresztą ciebie też mam już dość - powiedziała przesadnie słodko. - Jeżeli sądzisz, że po tym idiotycznym występie zabiorę cię na Hawaje, to znaczy, że praktykując te swoje sztuki walki, o jeden raz za dużo upadłeś na głowę.

Jake milczał, przesunął się tylko na siedzeniu, żeby włączyć silnik. Bez słowa ruszył w stronę miasta.

- Mówię poważnie, Devlin - rzuciła ostro Sabrina. - Jeśli sądzisz...

- Porozmawiamy o tym u ciebie. Robi się późno.

- Nie mamy o czym rozmawiać! Jeżeli nie pojmujesz, że cię zwalniam, zadzwonię do mojej matki, i ona to zrobi.



- Tylko tego jej teraz trzeba, prawda? Już i tak śmiertelnie się o ciebie boi. Gdybyś wybrała się na Hawaje bez ochrony, miałyby się czym zadręczać.

Sabrina przygryzła wargę i przełknęła ciętą ripostę, świadoma, że Devlin trafnie oceniał stan rzeczy. W końcu zgodziła się na wynajęcie ochroniarza ze względu na matkę. Zwalnianie go w przeddzień wyprawy na Hawaje nie przyczyniłoby się do spokoju matki. Sabrina zamknęła oczy. Czuła, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia.

- Twój dzisiejszy wyczyn był zupełnie nieusprawiedliwiony - powiedziała po paru minutach, patrząc przed siebie na nadjeżdżające z przeciwka samochody.

- Musiałem ci uświadomić, jaka jesteś w rzeczywistości bezradna. - W jego niskim, lekko ochrypłym głosie nie słyszała cienia przeprosin.

- Wykonujesz tylko swoją pracę, tak? - mruknęła. Co za ironia, że wspomniał o jej bezbronności. Zawsze postrzegała bezbronność w kategoriach emocjonalnych. I po latach, kiedy zbyt się odsłaniała, skrupulatnie naprawiła swój błąd. Tak, była kiedyś zbyt otwarta. Za bardzo liczyła na to, że znajdzie prawdziwą miłość. Najpierw oczekiwała jej od ojca, który ją opuścił, a potem od męża, który ją wykorzystał. Teraz, kiedy mogła już sobie pogratulować, że otoczyła swoje emocje potężnym murem, stanęła twarzą w twarz z nowym niebezpieczeństwem. Tym razem było to fizyczne zagrożenie, bardzo prawdziwe i namacalne. Żadne emocjonalne bariery nie ochronią jej przed szaleńcami i porywaczami. Ani przed mężczyzną, który miał ją przed nimi uchronić.

- A kto będzie mnie bronił przed moim ochroniarzem? - spytała złośliwie, nie otrzymawszy odpowiedzi na swoją poprzednią uwagę.

Jake zeszywniał, musiał nad sobą zapanować. Czują to bardzo wyraźnie w ciasnym wnętrzu samochodu.

- Nie jestem groźny, Sabrino.

- A to, co się właśnie stało? Chyba żartujesz.

- Nic się nie stało. Najadłaś się tylko porządnego strachu. Za kilka minut znajdziesz się w domu, cała i zdrowa, we własnym łóżku.

- A ty co zamierzasz? Będziesz stał całą noc pod moimi drzwiami? - burknęła.

- Mniej więcej.

Czyżby go to rozbawiło? Odwróciła się gwałtownie.

- O nie! Dość tego. Nie będziesz w nocy krążył pod moimi drzwiami. Co pomyśleliby sąsiedzi? - wybuchnęła.

Rzucił jej lekko zaciekawione spojrzenie, po czym wrócił wzrokiem na drogę.

- Nie przejmuj się. Nie będę trzymał warty przed twoimi drzwiami.

- To gdzie będziesz? - warknęła. Ani trochę mu nie wierzyła.

- Jaką długość ma twoja sofa?

- Moja sofa? Spodziewasz się, że pozwolę ci spać na sofie? - zdenerwowała się nie na żarty.

- Chyba nie rozumiesz, na czym polegają obowiązki ochroniarza - zaczął ostrożnie, jakby mówił do niezbyt bystrej osoby. - Muszę być cały czas tak blisko ciebie, żebym cię słyszał. Za to mi płacą. A to oznacza, że dzisiaj przenocuję w twoim salonie albo w drugiej sypialni, jeśli taką masz. Masz?

- Nie, nie mam.

- W takim razie pozostaje sofa, prawda? Chyba że ty wolisz spać na sofie i odstąpisz mi swoje łóżko?

Sabrina, która już spodziewała się bezczelnej propozycji dzielenia z nim łóżka, w duchu doceniła, że jednak się pohamował. Powoli się przekonywała, że jej ochroniarz poważnie traktuje swoją pracę. A ona szanowała profesjonalizm. Oczywiście do pewnego stopnia.

- Jesteś pewien, że tak ma to wyglądać? Mówię o ochronie - spytała podejrzliwie, zerkając na jego profil.

- Według mnie tak - odparł, nonszalancko wzruszając ramionami.

Sabrina osunęła się na siedzeniu i przygarbiła, splotła ramiona na piersi. Przyglądała się światłom miasta za oknami.

- To będą najdłuższe dwa tygodnie w moim życiu - oznajmiła w końcu.

Czuła, że Jake zamyka się w sobie, wycofuje, kryje się za uprzejmą fasadą.

- Postaram się nie zepsuć ci wakacji na Hawajach - rzekł cicho.

Z jakiegoś idiotycznego, szalonego powodu Sabrina miała chęć go przeprosić.

- Co do dzisiejszego wieczoru... - zaczęła pogodnie.

- Tak? - zerknął na nią.

- Kiedyś się z tobą policzę. Prędzej czy później wyrównam rachunki za ten pokaz, który mi urządziłeś. - Powiedziała to jakby mimochodem. Mógł wziąć to za żart, brawurę albo stanowczą obietnicę. Niech sam sobie to zinterpretuje.

- Dzięki, że mnie uprzedziłaś - odparł przeciągle. - Teraz przynajmniej będę przygotowany.

Za jej na pozór obojętną pogroźką krył się fakt, że godzi się na swój los. Przyjęła do wiadomości, że Jake wygrał. Miała przeczucie, że był tego świadomy. Trudno nazwać tę sytuację komfortową, ale Sabrina była wystarczająco inteligentna, by zrozumieć, że dalsza walka doprowadzi tylko do równie żenujących i przerażających scen, jak ta, która miała miejsce niedawno. Jedyne, co mogła zrobić, to pozbyć się Jake'a, ale na to było za późno, nawet gdyby przekonała matkę, że ten ochroniarz jej nie odpowiada.

Matka musiała przeżyć najbliższe tygodnie w możliwie jak największym spokoju, wolna od trosk. A to zostawiało Sabrinę na łasce jej ochroniarza.

- Przemyślałaś sobie już wszystko? - odezwał się, zwalniając przed wjazdem do podziemnego garażu w apartamentowcu Sabriny. Nie pytała, skąd znał jej adres. Na pewno dostał go od Teague'a. Tajemniczy Teague działał nadzwyczaj skutecznie.

- Chcesz wiedzieć, czy zaakceptuję opiekuna, którego wybrał mi niejaki Teague i moja matka? - Nie udawała, że nie wie, o co chodzi.

- Coś w tym rodzaju. Które miejsce parkingowe jest twoje?

- Trzydzieści cztery. Tak, póki co postaram się to znieść. Nie mam wyboru, prawda?

- Nie - stwierdził krótko.

Ta lakoniczność i rzeczowość zirytowała ją o wiele bardziej, niż gdyby rozwinął swoją wypowiedź. Sabrina przygryzła wargę, żeby nie rzucić mu prosto w twarz paru słów, na które jej zdaniem zasługiwał. Coś jej mówiło, że Devlin odparuje każdy atak. Jest w końcu profesjonalistą, pomyślała, jęknąwszy w duchu, i wysiadła z samochodu.

W milczeniu wjechali windą na jedenaste piętro. Sabrina była ponuro zadumana, twarz Jake'a nie wyrażała żadnych emocji. Wziął od niej klucz i otworzył drzwi. Przez dłuższą chwilę stał w ciemnym wnętrzu. Następnie skinął głową do Sabriny, która weszła posłusznie do środka, wznosząc oczy do nieba. Tak ma żyć przez dwa tygodnie? Chyba oszaleje!

Mieszkanie urządziła podług własnego gustu.

Teraz nie musiała już nikomu schlebiać ani nikogo zadowalać. Główne nuty kolorystyczne stanowiły jasna zieleń, jasny beż i brzoskwinia, tworzące w salonie ciepły przyjazny klimat. Na niskim szerokim stoliku naprzeciw brzoskwiniowej sofy stały przepiękne gladiole o długich łodygach. Stół był biały, na wysoki połysk, leżały tam książki o królu Arturze i historii średniowiecza.

Książki przypomniały Sabrinie o planach na resztę wieczoru.

- Muszę się spakować - oświadczyła, podchodząc do stolika, żeby zebrać książki. - A ty?

Jake wzruszył lekceważąco ramionami.

- Wpadnę po swoje rzeczy jutro rano, w drodze na lotnisko.

- Gdzie masz samochód?

- Stoi pod moim domem. Kiedy dowiedziałem się, gdzie odbywa się przyjęcie, pojechałem do siebie, zostawiłem auto i zamówiłem taksówkę do domu twojej przyjaciółki.

- Rozumiem. - Sabrina rozejrzała się niepewnie. - No to cóż, rozgość się - powiedziała niezbyt uprzejmie. - Idę się pakować.

Pakowała się przez całą godzinę. Do jednej walizki wrzuciła książki, do drugiej ubrania. Kiedy krążyła po mieszkaniu, Jake nie zwracał na nią uwagi, przeglądał jedną z jej książek o średniowieczu. Wydawał się

zaabsorbowany lekturą. Nawet nie podniósł wzroku, gdy Sabrina przechodziła przez salon, niosąc wyjętą z suszarki bieliznę. Bardzo poważny facet, westchnęła w duchu. Wielka szkoda, że Teague nie znalazł kogoś innego, człowieka z poczuciem humoru, z którym można się dogadać.

Obecność Devlina niespecjalnie jej przeszkadzała, pewnie dlatego, że siedział tak cicho. Nie robił żadnych osobistych wycieczek, nie rzucał dowcipów z podtekstem erotycznym. Musiała przyznać, że w dłuższej perspektywie jego profesjonalne podejście może okazać się najlepszym rozwiązaniem. Nie będzie jej zabawiał, ale za to ona nie będzie zmuszona do odpierania ataków.

- Skończyłam - oznajmiła w końcu, zamykając walizkę. Stała w drzwiach sypialni. - Idę spać. Wyłącz światło, dobrze? Aha, nie zapomnij zamknąć drzwi na klucz - dodała z cierpkim humorem.

Jake podniósł wzrok, ich spojrzenia się spotkały. Jeśli zdawał sobie sprawę z jej kpiącego tonu, nie okazał tego.

- Postaram się zapamiętać. Dobranoc, Sabrino i...

- Tak? - Przekrzywiła głowę jak zaciekawione dziecko.

- Przepraszam za dzisiejszy wieczór.

- Wykonywałaś tylko swoją pracę, prawda? - Stanowczym ruchem zamknęła drzwi sypialni.

Po kwadransie zgasło światło w holu. Sabrina odpływała w sen. Słyszała jeszcze jakieś szelesty z salonu, kiedy Jake układał sobie pościel i koce, które mu naszykowała. Potem zapadła cisza.

Po dwóch godzinach Sabrina obudziła się gwałtownie. Przez chwilę leżała nieruchomo, patrząc w ciemność i usiłując zgadnąć, co właściwie

wyrwało ją ze snu. Czyżby obecność obcego człowieka w domu aż tak ją niepokoiła?

Potem dojrzała smugę światła pod drzwiami i powoli odsunęła kołdrę. Sięgnęła po żółty aksamitny szlafrok. Co robi Jake? Położył się prawie równocześnie z nią. Dobry Boże, pomyślała, zerkając na zegarek. Dochodziła druga w nocy, a oni mieli przed sobą długą, męczącą podróż.

Zawiązała pasek szlafroka i na bosaka podreptała do drzwi. Otworzyła je ostrożnie. Jeśli Jake nie spał, nie chciała go zaskoczyć. Tacy mężczyźni jak on pewnie sypiają nago.

Z tą myślą zawołała go cicho, zanim wyszła do przedpokoju.

- Jake?

Pojawił się bezszelestnie na drugim końcu długiego przedpokoju. Stwierdziła z ulgą, że miał na sobie dzinsy, chociaż nic poza tym. W miękkim świetle lampy skóra na jego ramionach lśniła. Ciemne kręcone włosy ocieniały atletyczny tors, sięgając aż do paska od spodni. Był boso, a zmierzwione włosy świadczyły, że dopiero co wstał z łóżka.

Przez pełną niepokoju chwilę Sabrina miała wrażenie, że do swojego przytulnego gniazdka zaprosiła niebezpiecznego i nieprzewidywalnego samca.

Jake odezwał się niskim, łagodnym głosem, jakby wyczuł jej obawy.

- Wszystko w porządku. Wracaj do sypialni. Przepraszam, jeśli cię obudziłem.

- Coś się stało?

- Nic się nie stało.

- To dlaczego nie śpisz? - spytała, robiąc krok naprzód. Włosy opadały jej kaskadą na ramiona, a jej orzechowe oczy były jednocześnie zaspane i zaciekawione. Mrużyła je jak sowa i czekała na wyjaśnienia.

- Nie jestem śpiący - mruknął, idąc do salonu. - Wracaj do łóżka, Sabrino.

- Dlaczego nie jesteś śpiący? Należysz do tych, którym wystarczą dwie godziny snu? Czy to jedna z cech ochroniarzy? - Powłócząc nogami, szła naprzód, aż zobaczyła, że oszklone drzwi na balkon są szeroko otwarte.

- Dobry Boże, ależ tu zimno! Czemu otworzyłeś drzwi?

- Potrzebowałem świeżego powietrza - wytłumaczył się krótko, czym prędzej przemknął do drzwi i zamknął je jednym ruchem. - Przepraszam.

Sabrina zwróciła uwagę, że mówił jakoś dziwnie i poruszał się niezwykle.

- Nic ci nie jest, Jake?

Obejrzał się i obrzucił ją nieprzenikniętym wzrokiem.

- Nic mi nie jest.

- Cierpisz na bezsenność?

- Nie. - Zaprzeczył z rozdrażnieniem i natychmiast tego pożałował. -

Nie cierpię na bezsenność

- powtórzył stanowczo.

- Dzięki Bogu. Chybabym zwariowała, gdybyś przez dwa tygodnie łąził po nocy i zakłócał mi sen - stwierdziła, po czym skierowała się do kuchni.

- Koszmary, tak?



- Słucham? - Patrzył za Sabriną, która zniknęła w małej, lśniącej czystością kuchni i otworzyła lodówkę. Podeszedł i oparł się o framugę. - Co robisz?

- Przygotuję ci lekarstwo. - Wyjęła mleko z lodówki i zaczęła szukać w szafce garnka.

- Sabrino - rzekł powoli, zgadując jej zamysł.

- Nie mam koszmarnych snów. W nowym miejscu często nie można zasnąć - dodał z roztargnieniem.

- Nic nie szkodzi, nie musisz się tego wstydzić. Jestem ekspertem, jeśli chodzi o koszmary. - Nalała mleko do garnka i zaczęła podgrzewać je na ogniu. Pilnowała, żeby nie wykypiało. Zasłoniła usta, powściągając ziewnięcie.

- Tak? - zdawał się zakłopotany.

- Dręczyły mnie, jak miałam dziesięć lat. To było straszne. Doszło do tego, że nie pozwalałam gasić światła w mojej sypialni. Ale w końcu wymyśliłyśmy z mamą lekarstwo. - Wyłączyła gaz i nalała mleko do dwóch kubków. - Chodź. To jest krok numer jeden. Krok numer dwa to telewizja.

Odsunął się, kiedy go mijala w drzwiach, żółty szlafrok ciągnął się za nią jak tren sukni. Jake, nie wiedząc, co innego mógłby zrobić, ruszył za nią. Sabrina usiadła na jednej z brzoskwiniowych sof, ale nie tej, na której spał.

- Najpierw poszukamy czegoś w telewizji. - Sabrina włączyła odbiornik i skakała po kanałach, aż trafiła na musical sprzed lat. - Idealnie pasuje! Dokładnie to, co przepisał lekarz. Nawet nie będziesz wiedział, kiedy zaśniesz.

Poklepała sofę, zapraszając go, by usiadł obok.

- Oprzyj nogi na stole - poinstruowała, podając mu kubek z mlekiem.

- I wypij to.

- Sabrino, ja... - urwał, nie wiedząc, co powiedzieć. - To nie koszmary sen mnie obudził. Doceniam twoje wysiłki, ale nie ma potrzeby...

Pociągnęła go za rękę, ostrożnie, żeby nie wylać mleka. Kiedy go dotknęła, poczuła, jakby poraził ją prąd. Jake usiadł posłusznie i wyciągnął nogi obok jej nóg, opierając stopy na niskim białym stoliku. Naprzeciw nich na ekranie odgrywano jakiś kompletnie idiotyczny musical. Sabrina szybko cofnęła rękę. Jej paznokcie były pomalowane na rdzawo-czerwony kolor. Na pozór zasnana, oprzytomniała, znajdując się tak blisko mężczyzny.

- A teraz oprzyj się o poduszki i patrz na ekran. To działa cuda.

- Aha. - Po raz pierwszy w jego głosie pojawiła się nuta rozbawienia.

Z powagą wypił łyk mleka. - Wstrętne.

- Traktuj to jak lekarstwo.

- Czy tak robiłaś, kiedy miałaś dziesięć lat?

- Owszem. Nie znosiłam mleka, ale bywa bardzo pomocne w takich sytuacjach. W mleku jest jakiś specjalny enzym, który powoduje senność. Gdzieś o tym czytałam - wyjaśniła ogólnikowo. To była jedna z tych wielu błażostek, których skądś się dowiedziała.

- Dlaczego miałaś koszmary w wieku dziesięciu lat? - spytał delikatnie.

- Przeżywałam kryzys dziesięcioletki - odparła żartobliwie.

- Nieodwzajemniona miłość? - Uśmiechnął się.

- Coś w tym rodzaju. Mój ojciec zostawił matkę i mnie.

- Och, wybacz. Nie żartowałbym z tego, gdybym wiedział -  
przeprosił natychmiast.

Zamilkła i przesunęła się, zerkając na niego z ukosa.

- Nie szkodzi. Już mi przeszło. Po skończeniu jedenastu lat, kiedy w pełni zaakceptowałam tę sytuację, koszmary zniknęły.

Jake skinął głową bez słowa. Popijał mleko. Przez kilka minut siedzieli ze wzrokiem wlepionym w ekran, w niemal przyjacielskiej atmosferze. W jakimś momencie Sabrina poczuła, że powieki znowu jej opadają. Ziewnęła przeciągle.

- I jak? Dasz sobie radę? - spytała.

- Tak, dziękuję. Będzie dobrze.

- Cieszę się, bo ja zaraz się kładę. - Powinna bezzwłocznie wstać i ruszyć do sypialni. Coś ją jednak kusilo, by pozostać jeszcze moment. Dziwny jest ten Jake. Emanowało z niego jakieś miłe ciepło. Czuła, że niczym jej nie zagraża, pomimo tego durnego przedstawienia, które urządził wcześniej. Teraz, kiedy się dowiedziała, że nie jest wolny od ludzkich słabości, pomyślała, że może lepiej zniesie jego towarzystwo przez kolejne dwa tygodnie. Jest ciepły i daje poczucie bezpieczeństwa. Takich mężczyzn lubiła. Powieki jej opadły i niemal natychmiast zasnęła.

Jake przełknął ostatni łyk mleka, krzywiąc się z obrzydzenia, po czym cicho odstawił kubek na stolik i zerknął na swoją niechętną mu gospodynię. Wyjął z jej ręki kubek, odstawił go. Więc tak wyglądają motyle podczas snu. Ciepłe, bezbronne, potrzebujące męskiej opieki.

I seksowne jak diabli.

Aż wzdrygnął się na tę myśl. Niewykluczone, że Sabrina nie bez racji zapytała, kto będzie ją bronił przed jej ochroniarzem. Do tej chwili nie wpadło mu do głowy, że naprawdę będzie miał problem. Był przekonany, że nie przekroczy granicy, jaka dzieli ochroniarza od jego klientki.

Że też musiała mu przyrządzić lekarstwo na koszmary! Jake wyciągnął rękę i dotknął palcem policzek Sabriny. Spała z głową opartą o brzoskwiniową poduszkę. Lekko się poruszyła, ale nie obudziła się. Powinien wziąć ją na ręce i zanieść do łóżka. I tam ją zostawić.

Za chwilę, obiecał sobie i usiadł wygodnie. Niewiele myśląc, otoczył Sabrinę ramieniem, oparł znów nogi na białym stoliku, a głowę o poduszkę. Ciekaw był, czy lekarstwo Sabriny podziała.

Ostrożnie sięgnął po pilota, żeby wyłączyć telewizor. Sabrina lekko się poruszyła, położyła głowę na jego ramieniu. Zupełnie jakby spędzali tak wszystkie wieczory. Przyciągnął ją bliżej. Potem wziął głęboki oddech i zgasił lampkę stojącą obok sofy. W jednej sekundzie pokój załała ciemność.

Jake czekał.

Ale nic się nie wydarzyło. Panika wywołana klaustrofobią nie wróciła. Westchnął nieświadomie, z wielką ulgą. Mocniej przytulił siedzącą obok kobietę.

Za kilka minut zanieś ją do sypialni i położy do łóżka. Ale jeszcze nie teraz. Dlatego, że doskonale wiedział, co dzisiaj nie dopuszczało do niego nocnych lęków. Nie było to gorące mleko ani bzdurny telewizyjny show.

Zawdzięczał to wtulonej w niego kobiecie.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

Świt z wolna rozświetlał zachmurzone niebo nad miastem, kiedy Sabrina poruszyła się lekko, moszcząc się w zagłębieniu męskiego ramienia. Przez sen szukała wygodniejszej pozycji.

Dopiero po jakiejś minucie do jej zaspanego umysłu dotarło, gdzie się znajduje. Męskie ramię? Kiedy spróbowała wyciągnąć nogę, okazało się, że przygniatają inna, cięższa noga. Z wolna wracała jej pamięć, powoli przytomniała. Zagrzała mleko dla swojego ochroniarza, a potem zasnęła na sofie. Najwyraźniej on zapadł w sen obok niej. Cóż, jej kuracja okazała się skuteczna, może nawet za bardzo.

Podjęła kolejną próbę wydostania się spod ciężaru męskich rąk i nóg, lecz znajdowała się w pułapce bez wyjścia, między nim a oparciem kanapy. Dzielili jedną poduszkę. Delikatnie pchnęła rozgrzane snem ciało Jake'a.

Kiedy jej ostrożne próby nie odniosły skutku, spróbowała tak się obrócić, by ułożyć się do niego twarzą. Gdy już przekreśliła się na bok i podniosła wzrok, napotkała przenikliwe spojrzenie Jake'a, który patrzył na nią spod przymkniętych powiek.

Napotkać o brzasku spojrzenie tych oczu w kolorze deszczu to był dla niej większy szok, niż mogłaby się spodziewać. Zamarła w bezruchu.

Za to w jej głowie kłębiły się gorączkowe myśli. Rozpaczliwie szukała jakichś inteligentnych słów, które pomogłyby jej przerwać gęstą atmosferę. Czuła się obezwładniona. Ale to męskie spojrzenie szarych oczu, tak świadome i bystre, tak wszechobejmujące i niebezpieczne, nie pozwalało jej obrócić tej sytuacji w żart, co przyszłoby jej łatwo w

towarzystwie innego mężczyzny. Nie żartuje się z mężczyzną, który patrzy na ciebie z takim żarem. Przed kimś takim trzeba uciekać.

Tylko że on ją trzymał i o ucieczce nie było mowy.

Jeszcze mocniej przycisnął jej nogę swoją nogą, wplótł palce w jej włosy i powoli zacisnął pięść. Potem uniósł głowę i pochylił się nad jej wargami.

Jej zmysły, jeszcze częściowo uśpione, pogodziły się z nieuchronnością pocałunku i uległy.

Bładym świtem, w pułapce ramion obcego mężczyzny, Sabrina nawet nie próbowała opierać się szturmowi, jaki przypuściły jego wargi. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyła.

Nie było w tej pieszczocie zabawy, żartu, sondowania. Jake nie posłużył się żadną ze znanych jej technik uwodzenia, którym mogłaby się oprzeć. Leżała wbita w poduszki, przyciśnięta mocnym ramieniem mężczyzny, który zaspokajał swoje elementarne żądze i nie uwzględniał żadnych zwyczajowych gier, w których mężczyźni są tacy dobrzy.

A kiedy mężczyzna nie bawi się w żadne gierki, kobieta jest całkowicie bezbronna.

Jake rozchylił jej miękkie zaspane wargi, szukając ciepła i znajdując je. Jego palce przesunęły się na szyję Sabriny, a ją przeszedł dreszcz podniecenia. Gdy wyczuł ten dreszcz, całował jeszcze namiętniej.

Sabrina mimowolnie wbiła paznokcie w jego ramię, znów wstrząsnął nią dreszcz. Dłoń Jake'a wędrowała wzdłuż jej ręki, odnajdując po chwili, przez materiał szlafroka, jej delikatne piersi.

Tak niecierpliwie do nich dążył, że z całej siły przygniótł jej biodra swoimi biodrami. Natychmiast poczuła, jak bardzo jest podniecony. Nawet

warstwy ubrań nie pozostawiały co do tego żadnych wątpliwości. Ta świadomość niemal pozbawiła ją tchu.

W końcu Jake niechętnie oderwał wargi od jej warg i całował koniuszek jej ucha. Sabrina z trudem łapała powietrze, była jak sparaliżowana, nie wiedziała już, co się z nią dzieje.

- Jake, proszę, co ty wyprawiasz? Poczekaj, przestań. - Ze zdumieniem stwierdziła, że mówi bez przekonania. Za oknem pojaśniało, światło dnia pomogło jej zebrać siły. Odepchnęła Jake'a, najpierw lekko, potem nieco mocniej. Trzeba z tym skończyć.

Spodziewała się, że czeka ją długa walka, którą przegra, tymczasem Jake wyszeptał jej imię. Z jego gardła wydobył się jeszcze jakiś pomruk, niczym zdławione przekleństwo. Był zły, ale nie na nią, tylko na siebie. Odsunął się i puścił ją.

Unosząc głowę, spojrzał na Sabrinę. Jego dłoń wciąż spoczywała na jej piersi. Sabrina przełknęła ślinę, patrzyła na niego pełna wątpliwości. Była wystarczająco dorosła, by rozumieć, skąd wziął się pocałunek. Nie pojmowała za to swojej reakcji.

W oczach Jake'a dojrzała rezerwę i niepewność.

- To moja wina, nie powinienem był cię wykorzystać. Na Boga, Sabrino, ja mam cię przecież chronić. - Zawahał się, po czym spytał, trochę się broniąc: - Zrobisz mi awanturę? Powiesz, że takiemu ochroniarzowi nie można ufać? Zadzwonisz do Teague'a i do swojej matki z żądaniem, żeby poszukali kogoś innego na moje miejsce?

Sabrina usiłowała zebrać myśli.

- A mogę?

- Co? - spytał niecierpliwie, mierząc ją poważnym, szacującym spojrzeniem.

- Ufać ci jako ochroniarzowi? - spytała lekkim tonem. Nie chciała, żeby zmusił ją do powiedzenia czegoś więcej, niż miała ochotę powiedzieć w tej chwili. Prawdę mówiąc, nie wiedziała, czego chce. Była wytrącona z równowagi, jakby nagle jej świat lekko, a jednak zauważalnie się przechylił. Zmiana nie była tak duża, by wywołać panikę, ale wystarczająca, by wzbudzić niepokój.

Należałoby postąpić dokładnie tak, jak mówił Jake. Oznajmić matce, że kategorycznie życzy sobie innego ochroniarza.

A jednak sama myśl o tym, że więcej go nie zobaczy, była zadziwiająco przygnębiająca. Powinien przejmować ją strachem, a przynajmniej budzić w niej ambiwalentne uczucia. Od jakiegoś czasu nie dopuszczała mężczyźni tak blisko. To było zbyt ryzykowne.

Mimo wszystko jeszcze nad sobą panowała. W końcu to ona zakończyła w porę tę krytyczną sytuację. Po chwili mogłoby już być za późno. A Jake jej posłuchał. Trzymała się mocno tej ostatniej myśli. Wysłuchał jej prośby, by zaprzestali pieszczot.

- Możesz mi ufać - rzekł w końcu. - Jako ochroniarzowi.

- W takim razie, jak kiedyś zwięźle zauważyłeś - stwierdziła, stając obok kanapy - nadal jesteśmy na siebie skazani, tak?

Chciała schronić się w łazience, ale Jake złapał ją za rękę.

- Sabrina! Zaczekaj. Czy ty... boisz się mnie? Spuściła wzrok na swoją rękę.

- Trudno bać się mężczyzny, który zasypia po kubku gorącego mleka.



Patrzył na nią przez ułamek sekundy, po czym jego surowe rysy rozjaśnił lekki uśmiech.

- Od wieków tak dobrze nie spałem, to naprawdę fantastyczne uczucie.

- Często miewasz koszmary? - spytała ze współczuciem.

Pokręcił głową.

- To nie są koszmary. - Puścił jej dłoń, wykrzywając twarz. - Trudno to wytłumaczyć, zresztą to bez znaczenia. Ale jestem ci wdzięczny.

Sabrina ruszyła w stronę łazienki. Jakaś jej część pragnęła pozostać z nim, usiąść i poprosić o wyjaśnienia. Pragnęła go pocieszyć. To dziwne. Nigdy nie знаła mężczyzny, który by tego potrzebował. A jeszcze dziwniejsze, że kiedy już poznała kogoś takiego, okazało się, że ten człowiek zarabia na życie, ucząc samoobrony i pracując jako ochroniarz. To bardzo męskie zajęcia. Zanim dotarła do przedpokoju, odwróciła się i powiedziała:

- Jedną sprawę musimy postawić jasno.

- Wiem - odparł cicho. - Nie życzysz sobie, żeby to się powtórzyło?

- Właśnie. Zdaję sobie sprawę, że ja też jestem za to odpowiedzialna.

Nie powinnam była tutaj zasypiać. Mimo wszystko chcę, żeby sytuacja była jednoznaczna. Nie szukam kochanka ani wakacyjnego romansu.

- Zrozumiałem. Weź prysznic - odparł. Sabrina pospieszyła przed siebie. Nigdy w życiu nie czuła się tak zażenowana.

Pół godziny później, gdy wyszła spod prysznicza i sięgnęła po ubranie przygotowane na podróż, wciąż nie mogła zapomnieć o minionym wieczorze. Włożyła białe bawełniane spodnie, zwężane do dołu, z eleganckimi zaszewkami na biodrach, i białą bawełnianą bluzkę, która

podkreślała figurę. Do tego białe sandały i delikatny złoty naszyjnik, który połyskiwał na dosyć wyeksponowanym dekolcie częściowo rozpiętej bluzki.

Spojrzała w lustro na luźno związane włosy, wzięła białą płócienną torbę na ramię i po raz ostatni rzuciła okiem na sypialnię. Była gotowa do drogi. Gdy przeszła do salonu, zobaczyła, że ślady po nocowaniu na kanapie zniknęły. Koce i pościel zostały ułożone na białym stoliku. Pano-  
wał ład i porządek. Dobiegający z łazienki szum wody podpowiedział jej, gdzie podział się ochroniarz.

- Zanim pojedziemy po twoje rzeczy i na lotnisko, zdążymy zjeść śniadanie - zawołała z kuchni kilka minut później, gdy woda przestała lecieć.

- To dobrze. Wczoraj nie jadłem kolacji - rzekł Jake, zjawiając się w drzwiach kuchni. Wciągnął przez głowę czarną koszulę, a kiedy Sabrina znowu na niego spojrzała, widziała tylko jego szare przenikliwe oczy. -  
Byle nie gorące mleko - dodał.

- Nie jadłeś kolacji? Dlaczego? Często tak robisz? - spytała z dezaprobatą.

- Tylko wtedy, gdy włączę się za upartą klientką, która z rozmysłem utrudnia mi pracę. - Uśmiechnął się, a ona obrzuciła go nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Postaram się pamiętać, żeby lepiej troszczyć się o swojego pracownika - odparła. - Siadaj i jedz.

Jake usiadł i dosłownie pochłoniął płatki z mlekiem, jakby to był elegancki omlet i francuski rogalik.

- Trzeba opróżnić lodówkę, skoro nie będzie mnie przez dziesięć dni.  
- Musiała się wytłumaczyć, że ona także zjadła porządną porcję płatków z mlekiem. Na domiar złego miała wyrzuty sumienia, że poprzedniego wieczoru pozbawiła Jake'a kolacji. Ale w końcu sam był sobie winny.

Kiedy ruszyli do wyjścia, Sabrina sięgnęła po swoją białą torbę i zarzuciła ją na ramię. Pasek torby pociągnął materiał bluzki, poszerzając dekolt w kształcie litery V.

Jake zerknął na nią i przystanął w pół kroku. Groźnie ściągnął brwi.

- O co chodzi? - Podniosła na niego pytający wzrok.

- Dokończ ubieranie - burknął i wyciągnął rękę, żeby zapiąć trzy guziki przy dekolcie Sabriny.

Zaskoczona jego zaborczym traktowaniem, na moment oniemiała.

- Przestań. Co ty sobie wyobrażasz? – Chciała się cofnąć, ale było już za późno. Jake dokładnie zapiął jej bluzkę.

- Dbam, żeby współpasażerowie nie dowiedzieli się, że kupno biustonosza to dla ciebie wyrzucanie pieniędzy. - Odwrócił się i podniósł jej walizkę. Sabrina tak osłupiała, że ją zamurowało.

- Nie masz pojęcia o modzie - wydusiła w końcu, gdy trzymając już jedną walizkę, schylił się po drugą.

- Być może, za to wiem, co to znaczy ostentacja - odparł gładko.

- Ostentacja? - Sabrina obrzuciła go nienawistnym spojrzeniem. - Kobiety, które noszą mój rozmiar, nie mają czym się popisywać! - I kto by pomyślał, że coś takiego jest możliwe, przyszło jej do głowy.

- Kobiety, które noszą twój rozmiar, są jak kształtne zmysłowe kociaki, tak się kojarzą facetom - rzekł, zbierając resztę bagaży. - To

bardzo seksowne wyobrażenie. Wierz mi, jak wejdiesz do samolotu z rozpiętą do połowy bluzką, wszyscy faceci będą cię pożerać wzrokiem.

- Chyba tacy jak ty.

- No właśnie. Co ty napchałaś do tej cholernejszej walizki? - dodał, patrząc na walizkę, którą właśnie dźwignął.

- Książki na seminarium. - Uśmiechnęła się z zadowoleniem. - Za ciężkie dla ciebie? - dodała głosem ociekającym fałszywą słodyczą. Zasłużył sobie na to swoimi ostatnimi uwagami.

- Dam radę - mruknął ponuro. - A nie przyszło ci czasem do głowy, żeby połowę książek spakować do jednej walizki, a połowę do drugiej? - Ruszył do drzwi.

- Przyszło, ale potem sobie przypomniałam, że mam silnego ochroniarza, który poniesie moje bagaże. - Sprawdziła, czy światło jest wszędzie zgaszone i zamknęła za sobą drzwi.

W podziemnym garażu uświadomiła sobie, że Jake nie oddał jej kluczyków do samochodu.

- Co zrobiłaś z moimi kluczykami, jak mnie wczoraj porwałaś? - Usiadła za kierownicą i wyciągnęła rękę.

- Wciąż je mam. - Jake stanął obok drzwi od strony kierowcy, patrząc chłodno na jej otwartą dłoń. - I zatrzymam je, bo zamierzam prowadzić. Przesiądź się - polecił jej grzecznie.

Zastanawiała się, jak mu się sprzeciwić. Postukiwała palcem w kierownicę i piorunowała go wzrokiem.

- Okropnie się rządysz - zauważyła.

- Widziałem, jak prowadzisz.

- A ja widziałam, jak ty prowadzisz. Siadaj obok albo pojedę bez ciebie. Mam w torebce zapasowe kluczyki.

- Sabrino - zaczął stanowczo.

- Mówię serio, Jake.

Chyba wyczuł jej determinację. Uniósł brwi, jakby rozważał jakąś alternatywę, po czym bez słowa zamknął drzwi z jej strony, obszedł samochód i zajął fotel pasażera.

Sabrina uśmiechnęła się; znowu panowała nad sytuacją. Zapaliła silnik. Kiedy radośnie wyprzedzała małe sportowe samochody, Jake podał jej swój adres i zamilkł. Znosił tę brawurową jazdę z miną fatalisty. Sabrina spojrzała na niego śmiejącymi się oczami, gdy zatrzymała samochód przed starym ceglany budynkiem, w którym mieszkał Jake.

- Jesteśmy kwita? - spytał uprzejmie, gdy wysiedli i szli do drzwi.

- Kwita? - spytała niewinnie.

- Wczoraj wieczorem oznajmiłaś, że zemścisz się za lekcję, którą ci dałem - przypomniał, gdy wspinali się po wysłużonych schodach. - Chciałem tylko wiedzieć, czy mogę uznać, że już zostałem ukarany.

- Tą jazdą? Boże, nie. Zawsze tak jeżdżę! - zaśmiała się i weszła do niewielkiego mieszkania, które Jake nazywał swoim domem.

- Jedną chwileczkę - rzekł i pochylił się, żeby wyciągnąć spod kozetki płócienną torbę.

Sabrina rozejrzała się zaskoczona. Mieszkanie było dosyć puste i chłodne. Panował porządek, było nieskazitelnie czysto, ale Jake nie zadał sobie trudu, by jakoś ocieplić to skromnie umeblowane wnętrze.

Brakowało domowego ciepła. Widać gospodarza nie stać na takie rzeczy,

pomyślała. W jednej chwili ogarnęła ją skrucha. Jake Devlin naprawdę potrzebował pracy.

- Gotowy? - spytała z udawaną wesołością, gdy wrzucił do torby kilka par skarpetek, jakieś drobiazgi i zasunął suwak.

- Tak. Ale tym razem ja poprowadzę. Dość tej kary - stwierdził nieugięcie.

Sabrina nie dyskutowała.

Po godzinie lotu Sabrina podniosła wzrok znad romansu rycerskiego Thomasa Malory'ego o królu Arturze i spostrzegła, że jej ochroniarz czyta jej przez ramię.

- Będiesz to studiować na Hawajach? - zainteresował się, gdy spojrzała na niego pytająco. - Legendę o królu Arturze?

- Uhm. Również to, jak wykorzystywano ją w średniowieczu, by podtrzymać ideę rycerstwa. Fascynujące. Znasz tę legendę?

Jake wzruszył ramionami.

- Wszyscy ją znają mniej więcej. To część naszej zachodnioeuropejskiej kultury. Ale czytałem to bardzo dawno temu. Pamiętam sporo przygód rycerzy i poszukiwanie świętego Graala.

- A romantyczną historię Lancelota i Ginewry? - spytała żartobliwie.

- Czy mężczyźni koncentrują się wyłącznie na rycerskich wyczynach?

Jake spojrzał na nią.

- Pamiętam historię Lancelota i Ginewry. Artur powinien był trzymać krótko tę swoją małżonkę. Przez nią i przez tego jej gacha wszystko, co zbudował, zostało zrujnowane.

- Zaraz, chwileczkę - zaprotestowała Sabrina.

- To niesprawiedliwe. Skończyło się tragicznie, ale nie z winy Lancelota i Ginewry.

- A właśnie że tak. Gdyby Ginewra była wierna Arturowi, zamiast zabawiać się z Lancelotem... - zaczął z powagą.

- Ona nie zabawiała się z Lancelotem - zawołała Sabrina oburzona. - To była wielka miłość. Każdy rycerz służył jakiejś damie. Lancelot był najważniejszym rycerzem w królestwie rządzonej przez Artura. Nie ma nic złego w tym, że służył największej damie królestwa.

- Która przypadkiem była żoną króla? - zauważył cierpko Jake. - Żoną jego pana i przyjaciela.

- Cóż, takie to były czasy - starała się wyjaśnić Sabrina. - Rycerz wielbił damę z daleka, niezależnie od tego, czy była mężatką, czy nie. Ważne, że pragnienie spełnienia zachcianki ukochanej popychało go do wielkich czynów. Rycerz pragnął się doskonalić, zostać wielkim bohaterem, wyróżnić się wśród rycerstwa. Średniowieczny rycerz zawsze służył jakiejś damie, ale chodziło o to, by wielbić ją na dystans, żeby stanowiła dla niego inspirację. Nie o to, żeby się z nią przespać.

- Lancelot - stwierdził Jake z przekonaniem - spał z Ginewrą.

- Malory nic nie wspomina na ten temat - sprzeciwiła się Sabrina. - Píše, że nie wie, czy znajdowali się w jednoznacznej sytuacji, kiedy Mordred zaskoczył Lancelota w komnatach królowej. Ważne, że Mordred powiedział królowi, że znalazł ich razem, i że Ginewra zdradziła Artura z jego ulubionym rycerzem. Artur musiał działać, kiedy reputacja królowej doznała takiego uszczerbku. Musiał ją skazać na śmierć, ponieważ takie prawo obowiązywało w tamtych czasach. A Lancelot, o czym Artur doskonale wiedział, musiał ją ratować.

- No i doprowadzili do rozbitcia królestwa - skonkludował Jake. -  
Mówiłem, że Artur powinien był bardziej pilnować żony.

- Przestań, nie można sprowadzać tej historii do takiego banału.  
Lancelot i Ginewra prawdopodobnie nigdy nie zostali kochankami.

- Zostali.

Sporunowała go wzrokiem.

- Nie możesz tego wiedzieć.

- Znam facetów. Zapomniałaś, że też jestem facetem? Faceci nie mają zwyczaju zbyt długo wielbić kobiety na odległość, zwłaszcza jeśli mają dostęp do jej komnat. Lancelot i Ginewra zdradzili Artura. Uwierz mi.

- Mam ci wierzyć? - zdenerwowała się. - Dlaczego miałabym ci wierzyć? Czyżbyś studiował dzieło Malory'ego? Prowadziłeś badania średniowiecznego rycerstwa? Jakie ty masz pojęcie o rycerskiej miłości?

Jake odwrócił głowę i spojrzał na nią z absolutną pewnością.

- Wiem - rzeki cicho - że mężczyzna może pożądać kobiety, nie będąc ani trochę zaangażowany emocjonalnie. Wiem także, że jeśli czuje coś do swojej partnerki, jeśli chce jej służyć, to pragnie też ją posiadać. Dlatego cała ta rycerska miłość nie sprawdziła się w praktyce.

Sabrina poddała się i głośno zamknęła książkę.

- Ta dyskusja nie ma sensu. Przepraszam cię na chwilę, muszę rozprostować nogi i trochę po-myszkować.

- Toaletka - poinformował ją z lekkim uśmiechem - jest jakieś piętnaście rzędów za nami.

- Dzięki - rzuciła, przeciskając się przed nim.



Prawdę mówiąc, po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią, zabrakło jej argumentów w dyskusji. Zdawała sobie z tego sprawę, ale nic nie mogła poradzić. Dyskusja przybrała zbyt poważny ton. Kiedy Jake przedstawiał całą sprawę z punktu widzenia mężczyzny, Sabrina myślała tylko o jego zachowaniu tego ranka na kanapie w jej salonie. A była to ostatnia rzecz, jaką chciała pamiętać, ponieważ równocześnie przypominała sobie swoją reakcję na jego pełne żaru pieszczoty. Przyspieszyła kroku.

Celowo wracała z toalety jak najwolniej. Naraz, idąc między fotelami, dostrzegła mężczyznę w okularach w rogowej oprawce, który siedział dziesięć rzędów za nimi. Zwrócił jej uwagę, gdyż on także czytał pracę Malory'ego. Ten zbieg okoliczności dało się wyjaśnić tylko w jeden sposób. Sabrina nachyliła się nad fotelem nieznanego i uśmiechnęła się radośnie.

- Przepraszam, czy pan przypadkiem nie leci na Hawaje na seminarium na temat średniowiecznego rycerstwa?

Młody mężczyzna podniósł wzrok ze zdziwieniem. Zdjął okulary w rogowej oprawce i zaczął je polerować. Uśmiechnął się wstydliwie.

- Tak, zgadza się. Pani też?

Sabrina wyciągnęła rękę, a on ujął ją uprzejmie i lekko ścisnął przez parę sekund. Kiedy się przedstawiła, stwierdziła w duchu, że tym razem jej dłoń nie ucierpiała tak jak ostatnio, gdy podała ją innemu mężczyźnie.

- Miło mi panią poznać, Sabrino. Jestem Perry Dryden. - Wstał z fotela, choć nie było to łatwe; najwyraźniej dobre maniery nie były mu obce.

Gdy tylko się podniósł i stanął obok niej, Sabrina uśmiechnęła się szeroko. Od razu wiedziała, że polubi tego Drydena. Był od niej wyższy ledwie ze trzy centymetry. A ponieważ włożyła sandały na obcasie, w tej chwili byli równi wzrostem. Jaka to radość, kiedy nie trzeba wyciągać szyi, by spojrzeć mężczyźnie w twarz! Jak przyjemnie nie czuć się zdominowaną. Co za satysfakcja spotkać mężczyznę swojego wzrostu!

- Widzę, że pan się przygotowuje. - Wskazała na książkę, którą odłożył na siedzenie. - Właśnie to samo czytałam. To będą fascynujące wakacje, nie sądzi pan?

Uprzejmy, odrobinę nieśmiały, ale chętny do nawiązania znajomości, Perry Dryden skwapliwie podjął rozmowę na temat czekającej ich przygody. Sabrina dowiedziała się, że był urzędnikiem bankowym i zajmował się funduszami powierniczymi oraz że legenda króla Artura i epoka średniowiecza pasjonują go od czasów liceum. Miłe pogaduszki przerwał im twardy głos Jake'a.

- Tutaj jesteś, Sabrino. Nie do wiary, że ktoś może się zgubić między swoim fotelem a toaletą.

- Nie do wiary, że ktoś może uznać za konieczne szukanie mnie w takich okolicznościach - odparowała. - Chyba nie da się tutaj zgubić, prawda? Jake, poznaj Perry'ego Drydena. Perry wybiera się na to samo seminarium co ja.

Jake powściągliwie skinął głową niższemu mężczyźnie i wziął Sabrinę pod ramię.

- Wracajmy na miejsce. Podają kawę i przekąskę.

Perry miał zmieszaną minę.

- Podróżujecie razem? - spytał i odchrząknął. Nie oczekiwał odpowiedzi od Jake'a, ale to Jake się odezwał.

- Tak - oznajmił chłodno. - Owszem. Chodźmy, Sabrino.

- Zaraz przyjdę - odparła stanowczo, po czym odwróciła się do Perry'ego. - Proszę nie zwracać na niego uwagi, to tylko przyjaciel rodziny. Postanowił ze mną jechać, bo musi odpocząć - wyjaśniła non-szalancko.

- Rozumiem - rzekł Perry bez emocji.

- Właśnie nadjeżdża wózek z kawą - zauważył Jake, zerkając w stronę ich foteli. Niespodziewanie nacisnął palcami rękę Sabriny tuż nad łokciem. Sabrina wstrzymała oddech, nie z bólu, raczej z powodu szoku. Wzdrygnęła się. Chwilę później szła posłusznie na swoje miejsce.

- Co ty mi zrobiłeś? - wysyczała, rozmasowując łokieć.

- Bolało? - Jake nagle okazał jej troskę.

- Nie, właściwie nie, ale... - Zerknęła na niego z ukosa. Jej łokieć był już w porządku. Może to przypadek, że palce Jake'a znalazły to określone miejsce i wywołały takie dziwne odczucie. Tak czy owak podejrzewała, że Jake do niczego się nie przyzna.

- Nieważne. - Opadła na fotel. - Musiałeś być taki niesympatyczny wobec Perry'ego? Jest bardzo miły.

- Czy nikt ci do tej pory nie mówił, że nie wolno rozmawiać z nieznajomymi? - Usiadł ciężko i zapiął pas.

- Ostrzegano mnie tylko przed wysokimi, ciemnowłosymi nieznajomymi - rzekła cierpko, sięgając po książkę. - Takimi jak ty. Niscy mężczyźni, jak Dryden, nie są groźni.

- Nawet tak cnotliwy rycerz jak Lancelot okazał się groźny. Spytaj króla Artura.

- Lancelot na pewno był wysoki - oświadczyła Sabrina.

RS

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Wspaniały kurort na jednej z wysp rozciągał się wzdłuż nieskończenie długiej plaży. Okazały luksusowy hotel, oddalony wiele kilometrów od najbliższego miasta, lśnił w zachodzącym słońcu późnego popołudnia. Gwarantował swoim gościom zaciszne odosobnienie i wszelkie udogodnienia, o jakich mogliby zamarzyć. Były tam tereny do gry w golfa, restauracje, korty tenisowe, baseny, pierwszorzędna obsługa i oczywiście fantastyczna plaża, a wszystko zaplanowane tak, by zadowolić najbardziej wymagających. Rozległe, puste tereny wokół hotelu dawały gościom iluzję, że przebywają naprawdę w innym świecie.

- Bez problemów dostałeś pokój na moim piętrze? - Sabrina spytała Jake'a, kiedy boy hotelowy prowadził ich do jej drzwi.

- Tak, ale niełatwo było dostać sąsiedni pokój. - Jake wszedł za nią do środka i natychmiast powędrował wzrokiem ku wewnętrznym drzwiom, łączącym oba apartamenty.

- Połączone pokoje! - Sabrina odwróciła się gwałtownie, zaskoczona, po czym zamilkła, dopóki boy nie wziął napiwku i nie oddalił się. - To konieczne?

- Muszę być tak blisko, żeby cię słyszeć w razie czego - rzekł Jake i zaczął krążyć po pokoju, obejrzał dokładnie okna i zamki.

- Wierz mi, potrafię bardzo głośno krzyczeć. Nie musisz być aż tak blisko.

- Wczoraj wieczorem, kiedy cię porwałem spod domu twojej przyjaciółki, nawet nie pisnęłaś. - Zbadał zamek w przesuwanych

oszkłonnych drzwiach wychodzących na balkon. Znajdowali się na trzecim piętrze, z okien rozciągał się widok na plażę.

- Bo zatkaleś mi usta - przypomniała mu zirytowana.

- No właśnie. A teraz, wybacz, przebiorę się na to powitalne przyjęcie zapoznawcze przed kolacją, na które się wybierasz. - Poszedł do siebie, nie zamykając drzwi łączących pokoje.

- Pewnie powinnam być ci wdzięczna, że nie schowasz kabury pod tę hawajską koszulę - westchnęła.

- A ja jestem ci cholernie wdzięczny, że to Hawaje i że nie muszę ubierać się formalnie! - zawołał.

- W innym wypadku Teague musiałby prosić twoją matkę, żeby kupiła mi odpowiednią garderobę.

Sabrina stanęła w drzwiach zaciekawiona.

- Nie masz żadnej broni? To znaczy... wiem, powiedziałaś mi wczoraj, że rewolwer jest w złym guście, ale czy ochroniarz nie powinien mieć przy sobie jakiejś broni?

- Zaopiekuję się tobą - oznajmił, rozpinając suwak płóciennej torby. - Przebierz się na koktajl.

- Spojrzał na nią spod oka. - Chyba że wolisz tutaj stać i patrzeć, jak ja się przebieram?

Nie miał wieczorowej marynarki o włoskim kroju ani jedwabnej koszuli z wyhaftowanym monogramem na kieszonce, ale na tak zgrabnym mężczyźnie wszystko wygląda świetnie, pomyślała Sabrina czterdzieści minut później, idąc obok niego na koktajl przy basenie. Koszula khaki i jasne džinsy pasowały do wakacyjnej atmosfery wieczoru na Hawajach, chociaż na Jake'u nie miały tej aury, jaką mają zwykle sportowe swobodne

ubrania. Sprawiał raczej wrażenie, że to jego codzienny strój. Nawet ciężki skórzany pasek z solidną mosiężną klamrą wyglądał raczej na wysłużony niż stylowy. W przeciwieństwie do gości, którzy kręcili się w pobliżu, Jake miał krótko, po wojskowemu ostrzyżone włosy.

Stojąc obok tego przystojnego mężczyzny, świadoma siły, jaka kryła się pod koszulą khaki i džinsami, Sabrina czuła się jeszcze mniejsza niż zwykle. Była ubrana w jedwabną krótką suknię, całą w falbankach i z dekoltem, we wszystkich kolorach tęczy. Właśnie żałowała, że nie włożyła czegoś spokojniejszego i poważniejszego, kiedy rozległy się szmery podziwu dla zbliżającej się właśnie osoby.

Sabrina odwróciła się w tej samej chwili, gdy Jake podał jej oszronioną szklanekę z ponczem na bazie rumu. Po raz pierwszy widziała doktor Larisę Waverly. Na jej widok wypaliła do Jake'a

- Myślisz, że wiesz, co to jest ostentacja? No to się przyjrzyj.

Jej złość zdziwiła Jake'a i wywołała uśmiech na jego twarzy.

Spojrzał w kierunku, w którym patrzyła Sabrina.

- Uczeni zajmujący się średniowieczem zmienili się od czasów, gdy uczęszczałem do college'u - zauważył.

Doktor Waverly wkroczyła na patio w sposób, który Sabrina mogła tylko podziwiać. Doskonale wiedziała, jak robić wrażenie. Była piękną kobietą, wysoką, o zmysłowej, proporcjonalnej figurze, a jej strój jeszcze to podkreślał. Letnia dopasowana suknia nie miała w sobie nic średniowiecznego. I z całą pewnością Larissa Waverly nosiła biustonosz w rozmiarze co najmniej 36 C. Sabrina skrzywiła się cierpko, patrząc, jak Waverly przeciska się przez tłum sześćdziesięciu entuzjastów wieków średnich. Zawieszane nad basenem lampy rzucały światło na jej rude,

sięgające ramion włosy. Sabrina dałaby głowę, że jej oczy o wyjątkowo pięknym kształcie okażą się zielone.

- Można się popisywać w różny sposób - rzekł zagadkowo Jake.

- Mów sobie, co chcesz. Doktor Waverly bez problemu przyciągnie uwagę przynajmniej męskiej części audytorium. - Zanim Sabrina dodała coś więcej, piękna Larissa zatrzymała się obok nich - sam urok, wdzięk i pewność siebie.

- Tak się cieszę, że w ostatniej chwili zdecydowałeś się dołączyć do naszej grupy, Jake - powiedziała cudownie zachrypniętym głosem, gdy dokonano prezentacji. W sandałach na wysokich obcasach była tylko o jakieś trzy centymetry niższa od Jake'a. Sabrina czuła się beznadziejnie, widząc, jaką atrakcyjną parę tworzy tych dwoje.

- Dziękuję - odparł uprzejmie Jake. - Niecierpliwie czekam na seminarium.

- Od dawna interesuje cię ta tematyka? - spytała Waverly.

Z jakiegoś powodu Jake rzucił Sabrinie znaczące spojrzenie, zanim rzekł:

- Raczej od niedawna. To Sabrina zaraziła mnie swoją pasją.

- Niech pani nie da się zwieść. - Sabrina poczuła się w obowiązku powiedzieć to, przypominając sobie dyskusję w samolocie. - Jake ma dość oryginalne zdanie na temat legend związanych z królem Arturem.

- Doprawdy? - Larissa wydawała się zaintrygowana. - Już się nie mogę doczekać, żeby zapoznać się z twymi opiniami podczas naszych zajęć. A teraz muszę was zostawić i przywitać się z innymi. Do zobaczenia, Jake, Sabrino. - Odplynęła w chmurze kwiatowych perfum.

Jake obrzucił Sabrinę niezbyt przyjaznym spojrzeniem.



- Byłbym wdzięczny, gdybyś nie wciągała mnie w naukowe dysputy. Będę uczestniczył w tych zajęciach tylko dlatego, żeby mieć na ciebie oko. Nie mam ochoty udawać znawcy.

- Przepraszam - zreflektowała się. - Myślałam, że chcesz zrobić wrażenie na doktor Waverly.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Bo tak się przed tobą popisowała, no wiesz.

- Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę z pustą szklanką. - Przyniesiesz mi jeszcze... - zanim dokończyła, ktoś podstawił jej pod nos chłodną szklaneczkę z rumowym ponczem. Kiedy się odwróciła, zobaczyła Perry'ego Drydena, który stał obok nieśmiało.

- Przepraszam - zaczął trochę zdenerwowany.

- Zauważyłem, że masz pustą szklankę, a ja akurat przechodziłem obok stolika z ponczem.

- Dziękuję ci - powiedziała Sabrina, odstawiając szklankę. - To miło z twojej strony.

- Bardzo pan spostrzegawczy - rzekł twardo Jake. - Ale Sabrina wypła już wystarczająco dużo na pusty żołądek. - Zrećźnie odebrał jej drinka i zerknął spod oka na Drydena, który zrobił się czerwony. - Proszę wybaczyć, wybieramy się na kolację.

- Tak, tak, oczywiście. - Dryden skinął głową i cofnął się. Odprowadzał Sabrinę pełnym nadziei, melancholijnym wzrokiem.

- Jake - warknęła Sabrina. - Przestań się tak zachowywać. Co ty sobie wyobrażasz? Dlaczego tak niegrzecznie traktujesz biednego Perry'ego? Dłużej nie będę tego tolerować. Może sobie przypomnisz, że to ty pracujesz dla mnie.

- Twój znajomy Dryden wyobraża sobie, że jest Lancelotem - stwierdził Jake, odciągając ją od tłumy i prowadząc do restauracji znajdującej się pod gołym niebem. - Ale ja nie powtórzę błędu Artura, który zostawił swoją królową bez ochrony.

Sabrina wciągnęła powietrze zirytowana.

- Nie zrozum mnie źle - rzekła złośliwie. - Naprawdę podziwiam, jak udziela ci się nastrój tych wakacji, ale za bardzo wchodzisz w rolę.

- Moim zadaniem jest zapewnienie ci ochrony.

- Ale nie przed kimś takim jak Perry.

- Przed każdym, przed kim uznam za stosowne cię chronić - odparował, przystając przed maitre d'hotel. Sabrina milczała, kiedy prowadzono ich do stolika z widokiem na ocean. Zamówili doradę, sałatkę z bazylii i cukinii, do tego kalifornijskie chardonnay, które wybrała Sabrina, kierując się informacjami zdobytymi podczas innego seminarium. Jej złość opadła. Kiedy Jake poprosił kelnera, żeby pozwolił jej pierwszej spróbować wino, jej irytacja minęła kompletnie. Większość mężczyzn, z którymi się spotykała, nie zrezygnowałaby z tego tradycyjnie męskiego przywileju.

Powoli przekonywała się, że Jake Devlin nie pasował do żadnej ze znanych jej kategorii.

- Czym się zajmowałeś, zanim przeniosłeś się do Portlandu i założyłeś szkołę technik samoobrony dla dzieci? - spytała z ciekawością w połowie posiłku.

- Pracowałem dla rządu za granicą - odparł, sięgając po chrupiącą bułkę i smarując ją masłem.

- Co to była za praca? I nie smaruj tak grubo masłem. Cholesterol jest bardzo szkodliwy.

Uśmiechnął się i włożył do ust kawałek bułki z masłem.

- Takie tam przerzucanie papierów. Mnóstwo roboty biurowej i sporo podróżowania. - Popatrzył na nią pogodnie. - Jesteś prawdziwą skarbnicą rozmaitych informacji, prawda? W czym jeszcze jesteś ekspertem poza winami, nasennymi właściwościami mleka i złym cholesterolem?

Zignorowała jego sarkazm, trzymając się tematu.

- Dlaczego zrezygnowałaś z pracy dla rządu?

- Czuję potrzebę zmiany - odparł sucho. - A ty? Zawsze byłaś bibliotekarką?

- Owszem. Zrobiłam dyplom z historii i z bibliotekarstwa. I od razu zatrudniłam się z bibliotece uniwersyteckiej. Kocham moją pracę. To doskonały pretekst, żeby zagłębiać się we wszystkie możliwe tematy pod słońcem.

- Więc to w ten sposób poznajesz tyle tych różnych dziwnych historii. - Skinął głową, a potem zauważył z podejrzanym chłodem. - Teague mówił, że przez rok byłaś mężatką.

Sabrina podniosła wzrok zaskoczona.

- Czy twój przyjaciel Teague opowiedział ci o mnie wszystko?

- Tylko kilka faktów. - Wzruszył ramionami, patrząc swoimi szarymi oczami w jej nagle zapatrzona w głąb siebie oczy. - Powiedział, że byłaś krótko mężatką i że się rozwiodłaś.

- Tak.

- Co się stało?

- Wolę o tym nie mówić - ucieła.
- Tak źle? - W jego głosie było szczere współczucie.
- Powiedzmy, że było to pouczające doświadczenie - odparła.
- Ludzie mówią tak, kiedy mają na myśli koszmarne przeżycia.
- Nie twój interes, Jake.

- A może mój - odparł zaskakująco. - Twoja matka powiedziała Teague'owi, że nie ufa twojemu eks po tym, co ci zrobił dwa lata temu. Uważa, że znakomicie pasuje do roli czarnego charakteru.

- Co takiego? - Sabrinie mało nie wypadł widelec z ręki. - Stan miałby mieć coś wspólnego z pogroźkami, jakie otrzymała firma mojej matki? To absurd.

- Jesteś taka pewna? - zdziwił się.

- Tak, bo przez rok mieszkałam z nim pod jednym dachem i poznałam go dosyć dobrze. Niestety. Możesz mi wierzyć, on nie zaangażowałby się w coś takiego - stwierdziła z emfazą.

- Skąd to przekonanie?

Na wspomnienie jej przystojnego, wyrafinowanego byłego męża głos Sabriny przybrał twarde brzmienie.

- Stan Northrup to typowy pasożyt. Zrządzeniem losu nasze ścieżki się skrzyżowały. Wykorzystał mnie. Ale on nie jest zdolny do jakiegokolwiek poważnego zaangażowania, rewolucyjnego czy politycznego. A tego można się spodziewać po osobie, która wysyła takie pogroźki.

- Na jakiej podstawie tak twierdzisz? - spytał tak łagodnie, że Sabrina zaczęła mówić bez namysłu.

- Jego ojciec był właścicielem dużej spółki w Seattle. Pragnął, żeby Stan się ustatkował i założył rodzinę, zanim przejmie kontrolę nad firmą. Stan chciał przejąć interes po ojcu, więc zaczął się rozglądać za jakąś łatwowierną kobietką, którą skłoniłby do małżeństwa.

- I znalazł ciebie?

- Poznałam go na przyjęciu u przyjaciół. - Sabrina westchnęła. - Sądziłam, że to miłość od pierwszego wejrzenia. Byłam wtedy dość romantycznie nastawiona do życia - dodała przepraszająco. - Głupia i naiwna, to nawet lepsze określenie. W każdym razie myślałam, że on mnie potrzebuje, że mnie kocha, i zgodziłam się go poślubić. To prawda, byłam mu potrzebna, żeby mógł przekonać ojca, że jest gotów przejąć firmę. Jego ojciec od razu mnie polubił i wszystko układało się świetnie. Jednak dość niespodziewanie zmarł.

- A Northrup już cię nie potrzebował?

- Wolał życie bez zobowiązań - rzekła beznamiętnie. - Pewnego dnia wróciłam do domu i przyłapałam go w łóżku z jego sekretarką. Zostawiłam go. Wszystkim to pasowało. To niezbyt sympatyczny człowiek, ale nie angażowałby się w podobne sprawy. Możesz mi wierzyć. - Na moment wróciły do niej wspomnienia pozbawionych ciepła chwil spędzanych z mężem, ale szybko je odsunęła. - Nie rozumiem, dlaczego matka czy Teague w ogóle biorą pod uwagę jego udział.

Jake patrzył na nią bez słowa. Sabrina nagle doznała olśnienia. Jej oczy zabłysły furia.

- Mój Boże! Oszukałeś mnie, prawda? Ani Teague, ani moja matka nie uważają Stana za zagrożenie. Chciałeś tylko wyciągnąć ode mnie więcej informacji, niż powiedziałabym ci z własnej woli.

- Byłem ciekaw - przyznał, patrząc na jej wykrzywioną złością twarz.
- Nie rozumiem, dlaczego to cię interesuje! - wybuchnęła.
- Nie?

Wzięła do ręki widelec, starając się opanować emocje. Nie będzie się wygłupiać.

- Wydawało mi się, że rano wyraziłam się jasno. Nie szukam romansu. Mówiłam poważnie. Nie chciałabym, żebyś źle zrozumiał ten nieszczęsny epizod na kanapie.

- Nieszczęsny epizod - powtórzył z rozmysłem.

- Jakoś inaczej to pamiętam. Dzięki tobie po raz pierwszy od lat porządnie się wyspałem.

- I dlatego mnie pocałowałaś? Z wdzięczności? - spytała wyzywająco.

- Nie, to bardziej skomplikowane.

- To nie jest skomplikowane. Sam powiedziałeś, że mężczyzna może iść z kobietą do łóżka, nie będąc ani trochę zaangażowany emocjonalnie.

Świetnie to wiem. Zostawmy ten temat, dobrze?

Wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzysz.

- Życzę sobie.

- Pamiętaj tylko, co dodałem. Mężczyzna, który czuje coś do kobiety, pragnie ją osiąść.

Pokazała mu wspaniałą uśmiech.

- Innymi słowy, biedna dziewczyna nie odróżni uczciwego mężczyzny od drania. Czyli najlepiej żadnego nie dopuszczać zbyt blisko.

Tak jak mówiłeś, nigdy dość ostrożności.

Zadowolona, że pokazała mu jego miejsce, nie zawahała się dorzucić jeszcze paru słów po kolacji, kiedy przenieśli się do zatłoczonej sali. Grzecznie, lecz stanowczo odmówiła, gdy poprosił ją do tańca.

- Sabrino - zaczął ostrożnie - przecież masz ochotę zatańczyć. Dlaczego, u licha, karzesz samą siebie? Tylko dla satysfakcji, że zrobisz mi na złość?

Zanim mu odpowiedziała, Perry Dryden wyratował ją z opresji. Nieśmiało przecisnął się do ich stolika i zerkając na złowrogą twarz Jake'a, wydusił ciche zaproszenie.

Świadoma, ile go to kosztowało, Sabrina uśmiechnęła się uprzejmie i podniosła się z krzesła.

- Dziękuję, Perry, z przyjemnością. - Nie patrząc na Jake'a, pozwoliła się poprowadzić na parkiet, gdzie tancerzy chłodziła aromatyczna wieczorna bryza.

Gdy tylko jej nowy towarzysz wziął ją w ramiona, Sabrina odetchnęła lżej. Z przyjemnością oddała się zabawie. Co to za radość czuć się partnerką na parkiecie, a nie piórkiem w ramionach wysokiego, silnego mężczyzny! Z Perrym mogła naprawdę potańczyć. Co więcej, okazał się zaskakująco dobrym tancerzem. Kiedy on także nabrał pewności siebie, stanowili świetną parę, zupełnie jakby byli dla siebie stworzeni. Ich ruchy były coraz bardziej zgrane. Sabrina szybko zapomniała o wcześniejszym zdenerwowaniu.

Gdy muzyka wybrzmiała, Perry, przechodząc sam siebie, okręcił Sabrinę, aż zawirowała. Roześmiała się radośnie. Perry także promieniał. Elegancko odprowadził ją do stolika, gdzie czekał na nią Jake. Ale tu

pewność siebie opuściła młodszego mężczyznę, gdy ten drugi wstał na ich widok.

- Rozumiem, że następny taniec należy do mnie - rzekł Jake, biorąc Sabrinę za rękę, nim usiadła.

- Dobranoc, Dryden.

Dryden z pokorą przyjął odpawę, życząc Sabrinie miłego wieczoru.

- Dziękuję, Perry. Świetnie się bawiłam.

- Ja także - odparł z żalem. Potem rozplynał się w tłumie. Mężczyzna jego postury dość szybko znika w sporej grupie ludzi.

- Chodźmy, Sabrino. - Jake ruszył zdecydowanie na parkiet, nie zwracając uwagi na opory Sabriny.

- Nie mam już ochoty tańczyć - odparła, ale on bez wysiłku uniósł ją i postawił na deskach parkietu.

- Miło było zatańczyć z Perrym - zaczęła, znalazłszy się w pułapce jego ramion. - On ma dla mnie idealny wzrost.

- A ty - odpowiedział Jake, dotykając jej włosów - masz idealny wzrost dla mnie.

Jego taniec nie miał w sobie nic szczególnego ani zabawnego, choć odznaczał się świetną koordynacją ruchów i płynnością. Tę harmonię, niezbędną w rozmaitych sytuacjach, od aktu przemocy do aktu miłości, Jake zawdzięczał sztukom walki, stwierdziła w duchu Sabrina. Zderzenie tych dwóch ekstremalnych zachowań przyprawiło ją o dreszcze.

Chyba je poczuł, gdyż przesunął dłonią po jej plecach, niby przypadkiem znajdując wrażliwe miejsce na wysokości bioder. Sabrina ponownie zadrżała, lecz tym razem był to dreszcz podniecenia. Zaskoczyło



ją to. Uległa uściskowi Jake'a i milczała do zakończenia tańca. A gdy Jake odprowadził ją do stolika, dziwnie kręciło jej się w głowie.

Kiedy dwie godziny później wrócili na górę, Sabrina oświadczyła, że czuje się zmęczona długim dniem. Jake nie skomentował. Dokładnie sprawdził jej pokój, potem ruszył do drzwi łączących go z jego pokojem.

- Dobranoc - rzekł z ręką na klamce. Zerknęła na niego spod oka.

Pożerał ją wzrokiem.

Tym bardziej się cieszyła, że ten wieczór dobiega końca. Trzy tańce, jakie na niej wymógł, tylko wzmocniły odczucie, jakie towarzyszyło jej tego ranka.

Mężczyzna, który miał ją chronić, pożądał jej. Unosząc wyzywająco głowę, podeszła do drzwi łączących ich pokoje. Zamknie je i już. Jake cofnął się do swojego pokoju, nie spuszczać z niej wzroku.

- Nie zamykaj na klucz.

- Dobrze - zgodziła się, wiedząc, że Jake nie prosi bez powodu. Ale musiała je zamknąć na klamkę, symbolicznie.

- Dobranoc, Jake.

Drżały jej dłonie, kiedy zdjęła je z klamki. Ostrożnie, jakby za dużo wypięła, co przecież nie było prawdą, szykowała się do snu. Była wdzięczna, że sen szybko ją zmorzył.

Ten sam nieokreślony instynkt, który obudził ją poprzedniej nocy, odezwał się jakieś dwie godziny później.

Poruszyła się, powoli budząc się w pachnącym morzem pokoju hotelowym. Jej łóżko zalewało światło księżyca. Odwróciwszy głowę na poduszce, dojrzała, że krąg srebrnego światła we wnętrzu był tylko musnięciem szerokiego lśniącego pociągnięcia, jakim księżyc malował

taflę oceanu. Magiczna noc na wyspie, pomyślała w półśnie, rozmarzona. Piękna, przesycona rajskimi zapachami hawajska noc. Sennym wzrokiem rozejrzała się po pokoju, aż jej spojrzenie spoczęło na drzwiach łączących jej apartament z apartamentem Jake'a. Drzwi były szeroko otwarte.

Sabrina zamrugała i usiadła, podciągając kołdrę pod brodę. Zmrużyła oczy i starała się zajrzeć do pokoju Jake'a. Oczywiście zrobił to celowo. Drzwi nie otworzyły się przecież same. Nie widziała jednak winowajcy, a jedynie zmiętą pościel skąpaną w świetle księżyca, tak jak jej łóżko. Jake'a w niej nie było.

Przez nieskończenie długą chwilę, jak jej się zdawało, siedziała nieruchomo. Powiedziała sobie, że najlepsze, co może zrobić, to spróbować znów zasnąć. Szukanie Jake'a byłoby szukaniem kłopotów. Czy ostatnia noc niczego jej nie nauczyła?

A jednak jakiś niesprecyzowany niepokój owładnął nią, gdy tak siedziała, zapatrzona w pustą sąsiednią sypialnię. Gdzie podział się Jake? Czy znowu cierpiał na bezsenność?

Może tylko wyszedł na balkon. Poprzedniej nocy też otworzył drzwi balkonowe; twierdził, że brakowało mu powietrza. Nie namyślając się dłużej, Sabrina wysunęła nogę spod kołdry. Po paru sekundach już stała, a nocna bryza wpadająca przez otwarte okno delikatnie poruszała jej brzoskwiową nocną koszulką. Sięgnęła po podróżny szlafroczek w tym samym kolorze, włożyła go i przewiązała się paskiem. Z sąsiedniego pokoju nie dobiegał żaden dźwięk. Koszmary, przypomniała sobie zdenrowowana. Pewnie znów miał koszmary. Dziwne, że jej ochroniarz z tą swoją męską twarzą o twardych rysach ma taki problem. Cóż, nie

zapomniała, jak stresujące są nieprzewidywalne lęki. Pragnąc pocieszyć Jake, podeszła do drzwi.

Przystanąła na progu i rozejrzała się czujnie. Tak jak podejrzewała, Jake'a nie było w łóżku ani na fotelu. Drzwi balkonowe stały otworem. Wyrzała ostrożnie i dostrzegła go, jak przechylał się przez balustradę. W srebrnej poświacie widziała zarys jego twarzy. Jake patrzył na ocean. Miał na sobie tylko dzinsy. Jedną bosą stopę oparł na najniższym pręcie.

Sabrina z wahaniem ruszyła przed siebie.

- Jake? - szepnęła.

- Wszystko w porządku, wracaj do łóżka. - Nawet się nie odwrócił, zdawało jej się tylko, że mięśnie jego nagich ramion napięły się odrobinę.

- Kolejny koszmar? - spytała ze współczuciem.

- Powiedziałem, że wszystko w porządku. Proszę, wracaj do siebie.

Fakt, że nie odwrócił głowy, gdy do niej mówił, zaniepokoił ją.

Sabrina stanęła obok niego na balkonie.

- Trudno samemu zwalczyć złe sny. Nieważne, że masz trzydzieści pięć lat i zarabiasz na życie, bawiąc się w macho. Rozmawiałeś z kimś o tych koszmarach?

Jake ani drgnął.

- Nie.

- W takim razie pora to zrobić. Opowiedz mi o nich.

- Nie chcę... - urwał i podjął na nowo. - Nie ma sensu. I wcale nie jest mi łatwiej, jak sterczysz tu w nocnej koszuli - dodał ponuro.

- Zapomnij o nocnej koszuli. - Dotknęła jego ręki. Miał zaskakująco zeszywniałe mięśnie.

- Co nie pozwala ci spać? Chcę to wiedzieć.

- Naprawdę, motylu? Naprawdę chcesz to wiedzieć? - spytał ochrypłym głosem, patrząc na ocean zalany światłem księżyca.

Motylu? Sabrina zignorowała ten przydomek, skupiona na innych sprawach. Trzymając rękę na jego ramieniu, głaskała go lekko, jakby był dzikim zwierzęciem, które trzeba oswoić.

- Opowiedz mi o swoich koszmarach. Intuicja podpowiadała jej, że Jake powoli się łamie. W solidnym murze, którym się otoczył, rysowało się ledwie widoczne pęknięcie. Miała dziwne przeczucie, że z jakiegoś powodu tej nocy musi użyć siły i skruszyć tę konstrukcję. Jake nadal stał nieruchomo, aż wstrząsnął nim silny dreszcz. Sabrina natychmiast dotykami wyraziła mu swoje współczucie.

Przez długą chwilę panowała cisza, a potem Jake odezwał się niezdecydowanie.

- Właściwie nie chodzi o sny. To rodzaj paniki. Sabrina rozumiała, że to wyznanie wiele go kosztowało.

- Cierpiałas kiedyś na klaustrofobię?

- Chyba wszyscy od czasu do czasu tego doświadczają. Strach przed zamknięciem w małym pomieszczeniu nie należy do rzadkości.

- A jeśli ta ciasna, zamknięta przestrzeń jest bardzo prawdziwa i nie możesz z niej uciec? Jeśli ceglane ściany są wilgotne od szlamu i żyją tam z tobą różne małe stworzenia? Temperatura nie obniża się nawet nocą i zastanawiasz się, czy nie ugotujesz się na śmierć.

- Jake! - zawołała przerażona.

Wtedy się odwrócił i spojrzał na nią. Była zaszokowana, widząc wyraz jego szarych oczu. Instynktownie ujęła jego twarz w obie dłonie, a

w jej spojrzeniu było tyle ciepła i pociechy, ile tylko kobieta jest w stanie ofiarować mężczyźnie.

- Sabrino...

- Powiedz mi wszystko. Musisz mi opowiedzieć wszystko.

Rozumiesz?

Wziął krótki oddech. Stał nienaturalnie nieruchomo, wciąż ciesząc się ciepłem jej dłoni.

- To była cela więzienna. Prawdziwe piekło w południowo-wschodniej Azji. Spędziłem tam sześć miesięcy i myślałem już, że tam umrę - mówił cicho, lecz jego szare oczy płonęły. Patrzył na nią tak, jakby szukał ocalenia. - Śmierć bym zniósł, ale pozostanie tam przy zdrowych zmysłach kosztowało mnie bardzo wiele, wyczerpało wszystkie moje siły.

- Mój Boże, Jake... - Zabrzmiało to jak modlitwa.

- Ale dałem radę - podjął. - W wyobraźni ponownie odbyłem wszystkie walki, w jakich brałem udział, rozbierałem na części każdy chwyt samoobrony i filozofię, jaka za tym stoi. Analizowałem wszystko, co wiem na temat siły woli i energii. Potem zacząłem się zastanawiać, jak połączyć te dwa aspekty: fizyczny i mentalny. Całe dni, tygodnie, miesiące powstawało w mojej głowie coś wyjątkowego. System samoobrony, który w równym stopniu zależy od umysłu, co od ciała. A potem zastosowałem ów system, żeby nie zwariować.

Sabrina zacisnęła palce na jego ramieniu, patrząc na niego z czułością. Po chwili Jake zebrał dość sił, by dokończyć opowieść.

- Czasem szaleństwo było bardzo blisko, motylu - rzekł ponuro. - Bywały noce, gdy spodziewałem się, że lęk zwycięży. Później, pół roku po

tym, jak mnie schwytano i osadzono w celi, dostałem szansę ucieczki. Człowiek, który przynosił mi jedzenie raz dziennie, zapomniał się...

Sabrina czekała.

- Co się zdarzyło, Jake?

- On już nie żyje, a ja jestem tutaj. To właśnie się wydarzyło.

- Czy to było w Wietnamie?

- Nie, gdzie indziej. Miejsce nie ma już znaczenia.

Sabrina jednak chciała poznać całą historię, ze szczegółami.

- Co tam robiłeś?

Jake zamknął na moment oczy.

- Już ci mówiłem, pracowałem dla rządu.

- Tak?

- Byłem kimś w rodzaju kuriera. Tyle że nie przewoziłem poczty dyplomatycznej, lecz inne rzeczy. Na przykład złoto służące do sfinansowania ruchu oporu w tej części świata - wyjaśniał. - Dwa lata temu podczas jednej z moich wypraw coś poszło nie tak. Człowiek, któremu mieliśmy zaufać... - Nie dokończył, znacząco gestykulując.

- Zdradził cię? - domyśliła się, mówiąc przez zaciśnięte gardło.

- Takie rzeczy już mi się zdarzały, ale tym razem trochę za późno się zorientowałem. Zaryzykowałem. Gdy nocą przyjechałem ze złotem, czekali na mnie nie ci, którzy mieli czekać.

- Dzięki Bogu, że cię nie zabili - wyszeptała.

- Oszczędzono mnie, żeby urządzić propagandowy proces. Patrząc z tej perspektywy, miałem szczęście. Nie zrobili mi poważnej krzywdy, bo chcieli, żebym dobrze prezentował się na zdjęciach i przed kamerą. Mówię o krzywdzie fizycznej, bo mój stan psychiczny ich nie obchodził.

- Więc złamali cię psychicznie, a nie fizycznie. O mój Boże.

- To wszystko. - Uniósł jedno ramię, jakby chciał zlekceważyć całą sprawę. - Przeżyłem i uciekłem. Ale w nocy... - zawiesił znacząco głos.

- To poczucie zamknięcia powraca? Skinął głową.

- Na początku bywało gorzej, ale nadal jest źle. Najgorsze, że nie potrafię sobie z tym poradzić.

Zawsze powraca, niezależnie od tego, ile pracy wkładam w to, żeby się go pozbyć. Prędzej czy później panika mnie obezwładnia. Wszystko, co mogę, to zapalić światło, wyjść na powietrze, wyjść z pokoju, w którym jestem. Te sposoby trochę pomagają, ale i tak nie śpię. Nie pojmuję tego - zakończył ponuro. - Przez sześć miesięcy znalazłem w sobie dość siły woli, żeby nie oszaleć w tej cholernej norze, a teraz brak mi sił, żeby nie dopuszczać do siebie wspomnień.

- Pewnie dlatego, że stawka jest inna - szepnęła.

- Kiedy w grę wchodziło życie albo śmierć, pozostanie przy zdrowych zmysłach albo przeistoczenie się w warzywo, użyłeś wszystkich sił do walki. Ale teraz, w normalnym życiu, kiedy dręczą cię tylko wspomnienia...

- Nie wykorzystuję tej samej siły, co wtedy? - dokończył.

- Taka walka jest potwornie wyczerpująca dla organizmu, dla ciała i umysłu - zauważyła. - W głębi duszy masz świadomość, że zagrożenie już nie jest realne, więc twój umysł po prostu odmawia, kiedy usiłujesz opierać się tak samo, jak w więziennej celi. Och, Jake, nie znam się na tym. Zresztą fachowcy pewnie też dokładnie nie wiedzą, jak to jest. Wiem tylko, że kiedy mój ojciec odszedł od nas na zawsze, pozbawiając moje dzieciństwo radości, znalazłam w sobie siłę, żeby sobie z tym poradzić.

Ale nie starczyło mi sił na walkę z koszmarami, które dręczyły mnie po jego odejściu przez dobrych kilka miesięcy. Ktoś musiał mi w tym pomóc.

- Twoja matka?

- Tak. Może ten rodzaj walki wymaga drobnej pomocy kogoś, komu jesteś drogi. - Uśmiech zadrgał na jej wargach.

- Masz dla mnie uczucia macierzyńskie? - spytał, wlepiając w nią wzrok.

- Ani trochę - przyznała, tak bardzo świadoma jego bliskości. - Ale martwię się, Jake. Wiem, co to znaczy panika. Nigdy tego do końca nie zapomniałam.

Bez słowa poprowadziła go do szerokiego szezlonga stojącego na balkonie, usiadła i pociągnęła Jake'a za sobą. Kiedy siedział już obok, oparła plecy o poduszkę.

Gdy jednak chciała go przytulić, by uspokoił się i łatwiej zasnął, Jake uniósł się lekko, pochylił się nad nią i oparł rozłożone dłonie po obu jej stronach.

- Nie szukam dzisiaj matczynego pocieszenia.

- Z jego tonu wynikało jasno, czego mu trzeba.

- Ale potrzebuję cię, pragnę cię. Jeśli zostaniesz na tym balkonie chwilę dłużej, będziemy się kochać. Odgoniłaś ode mnie panikę, tak samo jak poprzedniej nocy. Ale w jej miejsce pojawiło się coś, co teraz ciebie może przestraszyć.

- Jake, proszę, ja... - Nie wiedziała, co powiedzieć. Jakiś głos krzyczał jej do ucha, żeby natychmiast poderwała się z szezlonga i wracała do swojego pokoju. A jednak współczucie i czułość, połączone z



pamiętnymi doznaniem, jakich zakosztowała w jego ramionach na parkiecie, wygrały z rozsądkiem.

Zawahała się, podnosząc wzrok. Szare oczy lśniły jak posrebrzony księżycem ocean. Jake pochylił głowę i odszukał jej usta.

RS

## *ROZDZIAŁ PIĄTY*

Pocałunek Jake'a był samą żądzą, prymitywnym głodem, który Sabrina wyczula już tamtego pierwszego ranka. Dobry Boże! Czy wtedy leżała wtulona w niego tak jak teraz?

Nie, nie tak jak teraz. Tego wieczoru było inaczej, o wiele bardziej niebezpiecznie. Jej ciało i umysł krzyczały ze współczucia, które przeistaczało się w namiętność. Nie rozumiała, jakim cudem granica między tymi dwiema emocjami zatarła się tak szybko, że nagle sama znalazła się w pułapce własnego rosnącego pożądania.

Jake całował ją z niespieszną zamierzoną zmysłowością, jakby pił ze studni jej namiętności i usiłował wypić jak najwięcej. Kiedy jej wargi zmiękły pod jego wargami, pochylił się i przywarł do niej całym ciałem.

Przygnieciona do miękkiej poduszki szezlonga, intensywnie odczuwała wszystko, co właśnie się działo, i z radością odbierała cudowne pieszczoty jego złaknionych, gorących ust, ciepło i ciężar jego ciała, dotyk jego dłoni, które przeniósł na jej biodra i trzymał mocno, jakby bał się ją stracić.

- Sabrino! Tak cię pragnę!

Wyszeptała jego imię. Czy jakiś inny mężczyzna kiedykolwiek jej potrzebował? Jej ojciec nie chciał ponosić żadnej odpowiedzialności związanej z posiadaniem córki. Jej mąż tylko wykorzystał ją do własnych celów. Mężczyźni, których spotykała na swojej drodze, potrzebowali wyłącznie partnerki seksualnej. Sabrina kilka razy podjęła tę grę, nie pozwalając żadnemu za bardzo się do niej zbliżyć. Tak, dostała nauczkę.

Znakomita większość mężczyzn nie rozumiała albo nie chciała zaangażowania emocjonalnego.

Co nie znaczy, że Jake był inny i pragnął bliskości czy miłości. Kręciło jej się w głowie, szalona namiętność kruszyła wszelkie opory.

Ale Jake z całą pewnością nie grał, niczego nie udawał. Cokolwiek działo się między nimi, jego potrzeby były tak fundamentalne i silne, jak on sam. Zdawało się, że emanuje tą swoją prawdą, otulającą ją falami ciepła.

Zatonęła w tych falach, zatraciła się w namiętności.

- Sabrino!

Jej imię, błagalne wołanie w ciemności balkonu. Wiedziała, że Jake czuje jej słabość. I jest świadomy jej kobiecych potrzeb.

Sięgnął do paska jej morelowego szlafrocza i rozwiązał go jednym szarpnięciem, a wtedy szlafrok zsunął się z jej ramion. Przestała zdawać sobie sprawę z tego, co się dzieje. Dłonie Jake'a dotykały jej z taką niecierpliwością, a równocześnie tak lekko i subtelnie, że myślała jedynie o tym, dokąd zawędrują. Zadrzała, gdy opadło ramiączko cienkiej jak pajęczyna koszuli nocnej.

A gdy koszula zsunęła się do talii, Jake oderwał wargi od jej warg i ruszył w ślad za morelową tkaniną. Rozpalał pocałunkami szyję i ramiona Sabriny. Czowała szorstką skórę jego dłoni błędzących po jej piersiach.

Uniosła ręce i wplotła palce w jego włosy.

- Och, Jake, nie rozumiem - zaczęła, łapiąc oddech. - Co ty ze mną robisz? - Pytanie zawisło w powietrzu, nie była w stanie zebrać myśli. Chciała poznać odpowiedź, chciała wiedzieć, kim był, że potrafił obudzić

w niej tyle emocji, których dotąd nie знаła. Krążyły wokół niej, każąc zapomnieć o wszelkich zasadach i rozwadze.

- Zaufaj mi - rzekł cicho, przytulony do jej piersi. - Zaopiekuję się tobą. Możesz mi zaufać. - Musnął jej pierś koniuszkiem języka, a ona znowu zadrżała.

Właściwie kto się kim opiekuje? To dziwne pytanie przemknęło jej przez głowę i zniknęło w nawałnicy doznań. Srebrzysta ciemność tworzyła zasłonę, która ich chroniła i kryła przed spojrzeniami innych, chociaż Sabrina i tak nigdy nie czuła się taka swobodna.

Krew szybciej krążyła w jej żyłach. Poruszyła się niecierpliwie, zapraszając Jake'a. W innych okolicznościach byłaby pewnie zdumiona swoim zniecierpliwieniem. Teraz ledwie zdawała sobie z niego sprawę.

- Jake? - Spojrzała spod ciężkich powiek, a on na moment odsunął się od niej.

- Nigdzie nie odchodzę, motyłu - Uniósł kącki warg, uradowany. Zsunął z niej koszulę, rozpiął mosiężną klamrę swojego paska i zdjął dzinsy. Pod spodem był nagi.

Sabrina wstrzymała oddech na widok jego sylwetki skapanej w świetle księżyca. Tutaj, nad brzegiem oceanu, gdzie ciepły wiatr pieścił ich nagie ciała, a z oddali dobiegał stłumiony dźwięk rozbijających się fal, zdawało się, że to, co się dzieje, było im przeznaczone, że los tak chciał.

Siedząc na skraju szezlongu, Jake pieścił jej skórę czubkami palców. Spotkali się wzrokiem; w oczach Sabriny czułość łączyła się z tęsknotą i pragnieniem. A gdzieś na dnie tego spojrzenia kryło się pytanie. Jake widział je, choć przesłaniały je inne, silniejsze emocje.

- Musisz być dzisiaj moja, motylu - wyszeptał, muskając jej wrażliwe piersi. - Rozumiesz, Sabrino. Potem będziesz już zawsze przy mnie, nigdy mi nie uciekniesz.

Miała niejasną świadomość, że Jake oczekuje od niej jakiegoś potwierdzenia. Ale nie była pewna, o co mu chodziło. Nie chciała nawet myśleć o tym, co nastąpi później. Tego wieczoru Jake przesłaniał jej cały świat i na niczym innym nie potrafiła się skupić.

- Nie chcę rozmawiać. Nie teraz. - Wyciągnęła do niego rękę. Jake po sekundzie wahania pochylił się ku niej.

- Rano - wyszeptał. - Rano porozmawiamy.

- Tak - zgodziła się, bo tego wieczoru zgodziłaby się na wszystko, byle tylko kochał się z nią tak pięknie.

Całował jej szyję, piersi, pieścił ustami delikatną skórę. Poczowała, jak jego palce dotykają czułych punktów na jej kolanach, znajdując miejsca, o których istnieniu nie miała pojęcia. Przypomniała sobie, jak wcześniej, w samolocie, dotknął jej łokcia. Nie nazwałaby tego bólem, ale doznaniem, które odbierało dech. Po którym przeszedł ją dreszcz i była jak porażona.

Jake przesuwał powoli dłoń wzdłuż jej uda, aż Sabrina zaczęła się wić i wyginać w jego ramionach, zamieniając się w istotę pełną energii i światła. Miała wrażenie, że Jake posiadał tajemną wiedzę na temat najwrażliwszych punktów jej ciała i potrafił ją wykorzystać w sposób, z jakim dotąd się nie spotkała. Nie była to technika zręcznego kochanka czy doświadczonego uwodziciela. Od jego dotyku jej ciało płonęło. Kiedy odnalazł to najwrażliwsze z wrażliwych miejsc, Sabrina zatraciła się w uniesieniu.

- Teraz, Jake! Proszę! - To chyba nie ona tak błaga, a jednak...

- Rozłóż skrzydła, motyłu - prosił ochryplym szeptem, żarliwie. -  
Bądź moja.

Posłuchała go, odurzona chwilą. Dzięki jego niezwyklej wyobraźni czuła się wyjątkowa, piękna, uszczęśliwiona. Jaki motyl oparłby się łowcy, dzięki któremu czuje się wyjątkowy?

- Trzymaj mnie mocno, kochanie. Teraz polecimy razem - szepnął Jake.

To, co się stało, pozbawiło ją tchu. Nie mogłaby tego opisać słowami. Przekraczało wszystko, co dotąd знаła. Znieruchomiła, stała się jego częścią.

Uniosła powieki, szukając jego oczu. Twarz Jake^ znajdowała się ledwie kilka centymetrów nad jej twarzą. Światło księżyca tańczyło na jego surowych rysach, a nieodgadniona głębia jego oczu przypominała jej prastare morze.

Leżeli tak nieruchomo przez całą wieczność, złączeni równie mocno spojrzeniami, co ciałami. Przekazywali sobie bezgłośnie słowa głębokie i poważne, choć dla Sabriny nie do końca zrozumiałe. Potem Jake objął ją mocniej, przygniatając jej drobne piersi, i podjął podróż po niewidzialnych spiralnych schodach. Razem wspinali się w takim tempie, że Sabrina z trudem łapała oddech.

Czuła dziwne napięcie w dolnej części ciała. Przywarła gwałtownie do Jake'a. Działo się z nią coś, nad czym nie panowała. I tylko mężczyzna odpowiedzialny za to odczucie mógł zagwarantować jej bezpieczeństwo. Wbiła paznokcie w jego skórę, a jemu ból sprawił przyjemność.

- Och, Jake, proszę. Ja nie... Co... - Wyrzucała z siebie pojedyncze słowa, zaciskając powieki, i jeszcze mocniej wbijając paznokcie w jego plecy.

- Otul mnie swoimi skrzydłami i trzymaj. - Otarł się o jej ramię. - Trzymaj mnie, motylu.

Zahipnotyzowana tym przyprawiającym o zawrót głowy lotem, oplótła go nogami i z całej siły objęła ramionami. Jake wsunął jedną rękę pod jej plecy, raz jeszcze znajdując to wrażliwe miejsce, po czym przesunął palce niżej.

- O mój Boże, Jake! Zakrył jej usta wargami.

Miała wrażenie, że nastąpiła jakaś eksplozja. Zalała ją fala niewiarygodnie zmysłowych dreszczy. Zatraciła się w nich, uległa im kompletnie, poddała się mężczyźnie, który je wywołał.

Jake nie pozostał obojętny. Gwałtownie wygiął ciało i zdusił okrzyk rozkoszy, przywierając do ust kochanki.

Dopiero gdy razem wydobyli się z mgieł, które opadły ich po wspólnym locie, Sabrina nieco oprzytomniała. Dość, by pojąć, dlaczego Jake nie pozwolił ich rozkoszy wybrzmieć. Balkon chronił ich przez cudzym wzrokiem, ale był jednym z rzędu balkonów ciągnących się wzdłuż ściany budynku, a pod nimi i nad nimi znajdowały się podobne rzędy. Było oczywiste, że wszyscy goście zostawili na noc otwarte drzwi balkonowe, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. W ciemności nie brakowało uszu, które usłyszałyby to, czego oczy nie mogły zobaczyć.

Sabrina ze zdumieniem stwierdziła, że obecność sąsiadów wcale jej nie obchodzi. Potem znów odpłynęła we mgle, instynktownie wtulając się w ciepło leżącego obok niej mężczyzny, z głową opartą w zagłębieniu jej

ramienia. Jake uniósł się lekko i spojrzał na jej twarz. Była rozluźniona, rozświetlona wewnętrznym światłem. Widział jej długie rzęsy, spoczywające na policzku, gdy zamknęła powieki, czuł gładką, wilgotną skórę na jej brzuchu.

Przyszło mu na myśl, że to jest prawdziwy powód, dla którego toczył tę trudną walkę o przetrwanie i pozostanie przy zdrowych zmysłach w azjatyckim więzieniu. Patrzył z podziwem na swą zmysłową, pełną współczucia kochankę, swojego cudownego motyla, i wiedział, że to ona nadała sens tej walce. Jakaś jego część musiała już wówczas przeczuwać, że ta kobieta na niego czeka.

Potrząsnął głową, wracając z obłoków, i delikatnie przewrócił się na bok, tuląc jej uległe, giętkie ciało. Powoli przesunął dłonią wzdłuż linii jej biodra, przypominając sobie rozkosz. Czuł się, jakby schwytał motyla. Namiętnego, egzotycznego motyla, którego, co pojął z rozbawieniem, przestraszyła reakcja jego zmysłów.

Od tej pory, powiedział sobie Jake, zostanie jedynym mężczyzną, który będzie jej dostarczał tej wyjątkowej przyjemności, i jedynym, który będzie miał prawo ją chronić. Należała do niego, oddała się całkowicie w jego ręce, nawet jeśli jeszcze sobie tego nie uprzytamniała.

Leżał obok niej z głową na poduszce. Sabrina zasnęła. Przez chwilę podziwiał jej kruchą kibić jaśniejącą w blasku księżyca, drobne piersi, łuk bioder. Była stworzona dla jego rąk. Zakrył dłonią jedną pierś i uśmiechnął się, czując napięcie mięśni, pomimo że Sabrina spała.

Co powie, gdy się obudzi? Ta myśl starła uśmiech z jego twarzy. Tego wieczoru nie powinien się oszukiwać. Sabrina nie otworzy oczu o poranku ze świadomością, że jej los został przypieczętowany, nawet jeżeli



on próbował ją o tym uprzedzić. To, co się stało, nie wymaże pamięci o mężczyznach, którym nie powinna była zaufać, nie zmieni jej nastawienia. Nie chciała wchodzić w bliskie relacje, trzymała mężczyzn na dystans. Była odważną, niezależną kobietą. Nie będzie zadowolona, że Jake przyspieszył bieg wypadków. Jeśli już, to bardziej odpowiadały jej niespieszne, wyważone starania. Gdyby w ogóle była zainteresowana. Zresztą dała mu jasno do zrozumienia, że chętniej przyjęłaby zaloty od kogoś w rodzaju Drydena, kogoś, przy kim nie czuła się zagrożona.

Jake westchnął ciężko i podniósł wzrok na gwiazdziste niebo. Nie, Sabrina nie ucieszy się, że ta noc tak się skończyła, zwłaszcza że już się przekonała, o jaką stawkę on gra, i jakie to dla niej ryzyko.

Pomyśli o tym rano. Ogarnęła go senność. Był zadowolony, zaspokojony. Cholera jasna! Jakie to miłe uczucie. I miła jest świadomość, że zaśnie obok kobiety, która potrafi wyrwać go z kleszczy paniki.

Nazajutrz o świcie Sabrinę obudził zupełnie nowy lęk. Bardzo kobiecy, odwieczny lęk, dodatkowo podsycany dręczącymi ją od dawna obawami.

Powoli otworzyła oczy. Znajdowała się w pułapce, częściowo przygnieciona nogą Jake'a. Oboje leżeli wciąż na szerokim szezlongu, ale najwyraźniej w jakimś momencie Jake przyniósł z łóżka koc i okrył ich. Koc chronił ich przed chłodnym porannym powietrzem.

Przez kilka pełnych napięcia sekund Sabrina trwała nieruchomo, patrząc na ocean, który w tym dziwnym świetle wczesnego ranka miał ten sam enigmatyczny odcień szarości, co oczy Jake'a.

To już drugi taki poranek z rzędu. Na moment zamknęła powieki, zdjęta przerażeniem. Nie do wiary. Już drugi ranek z rzędu budzi się w

ramionach Jake'a. Ale dziś jest inaczej. Wczoraj mogła to jakoś wytłumaczyć, usprawiedliwić. Tak po prostu wyszło, ale nie stało się nic ostatecznego. Za to dzisiejszy ranek przynosił ze sobą poczucie klęski.

Mój Boże. Jak mogła do tego dopuścić? Jak mogła odstawić na moment wszystkie te mozolnie budowane bariery? Przespała się z mężczyzną, którego zna od dwóch dni!

Nie pojmowała tego. Nie mogła się pozbierać. Martwiła się o niego, współczuła mu całym sercem. To dlatego minionej nocy wyszła do niego na balkon. Wspomnienia napłynęły szeroką falą, jakby chciały podsunąć choćby najsłabsze usprawiedliwienie. Ale żadne z wyjaśnień nie przyniosło jej pocieszenia.

Została z nim wczoraj nie dlatego, że mu współczuła, ale dlatego, że go pożałowała.

Kiedy to do niej dotarło, ogarnął ją wielki niepokój. Ostrożnie uwolniła się spod ciężaru Jake'a. Gdy już stanęła na nogi, wymknęła się z balkonu, speszona swoją nagością. Znalazłszy się w pokoju, odwróciła się jeszcze i spojrzała na śpiącego Jake'a złęczona i bezbronna. Leżał rozciągnięty na szezlongu, przykryty do połowy kocem. Jego klatka piersiowa i mocne ramiona kontrastowały z kwiecistym pokryciem materaca. Miał zamknięte oczy i nawet nie drgnął, gdy Sabrina pospieszyła do swojego pokoju. Jake śpi, pomyślała, wciągając dzinsy, a potem bluzkę z dekoltem w łódkę w fioletowe, czerwone i żółte paski. On śpi! Czy to dzięki niej?

Do diabła, jakie to ma znaczenie? Zniesmaczona wsunęła stopy w sandały, chwyciła klucz i szybkim krokiem wyszła z pokoju. Niewiele

myśląc, szła cichym korytarzem, aż znalazła schody prowadzące prosto na plażę.

Lekki wiatr od morza targał jej włosy, poruszał jasnymi kosmykami. Nie zwracała na to uwagi. Uniosła twarz, oczarowana hawajskim porankiem, i puściła się biegiem do brzegu. Tam zatrzymała się, wzięła kilka głębokich oddechów, po czym nerwowo ruszyła po twardym mokrym piasku.

Z rękami w kieszeniach džinsów szła w stronę odległego końca plaży. Ściągnęła brwi. Była spięta. Całe jej ciało emanowało napięciem.

I co teraz zrobić, do jasnej cholery? Bóg jeden wie, co pomyśli sobie Jake, gdy się obudzi. Zresztą zgadywała, co sobie pomyśli, i założyłaby się, że miała rację.

Otóż Jake wyciągnie z tego wszystkiego następujący wniosek: że dzisiejszej nocy na balkonie rozpoczął się ich długi, prawdziwy romans. A także, że podejmując pracę ochroniarza, na czas wykonywania obowiązków zyskał równocześnie towarzystwo do łóżka.

Też mi ochroniarz! Miała rację, zastanawiając się złośliwie, kto ją obroni przed mężczyzną, który ma ją chronić. Wystarczy zobaczyć, co się stało. Sabrina mocno przygryzła wargę, przypominając sobie minioną noc. Dlaczego zachowała się tak niewiarygodnie głupio?

Jeśli zostaniesz na balkonie chwilę dłużej, będziemy się kochać, oznajmił jej beczelnie. A ona została. Boże dopomóż, została!

Niezależnie od składanych sobie obietnic, została z nim po tym, jak dał jej szansę na powrót do pokoju. Będąc mężczyzną, pomyślała z wściekłością, Jake zapamięta ten drobny szczegół bardzo dobrze.

- Niech to cholera! - rzuciła głośno, kopiąc pękniętą muszlę. - Co ja teraz zrobię?

Ale powoli, po kolei. Musi pohamować swoje wzburzenie, żeby zapanować nad sytuacją. Jedna namiętna noc w ramionach prawie obcego mężczyzny nie znaczy, że stale będzie mu uległa. W końcu miała wystarczająco twardy charakter. Czyżby nie nauczyła się niczego o mężczyznach?

Potrafiają być zabawni, bywają miłym, a nawet interesującym towarzystwem. Ale jeśli chodzi o odpowiedzialność i zobowiązania, nie można im ufać. To fakt, o którym trzeba pamiętać.

Minionej nocy Jake nawet nie udawał zaangażowania. Nie padły żadne banalne słowa, które dałyby jej poczucie, że wszystko jest w porządku. Sabrina potrząsnęła głową z bezgranicznym zdumieniem. Nie spodziewała się, że tak łatwo da się uwieść. Zresztą nawet gdyby to przewidywała, zakładałaby pewnie, że da się porwać słowom miłości i bezgranicznego oddania. Romantycznym obietnicom.

Cóż, w tej kwestii, powiedziała sobie ponuro,

Jake nie skłamał. Ale przecież nie musiał uciekać się do kłamstwa. Ona sama podała mu się jak na talerzu.

- Cholera, cholera, cholera!

Wściekła, usiadła na skale, jednej z wielu na odległym krańcu plaży. Automatycznie powiodła zrozpaczonym wzrokiem wzdłuż brzegu, w stronę okazałego hotelu, który lśnił w świetle poranka.

Jake szedł ku niej plażą.

Przez sekundę, zaskoczona, zamknęła oczy, a potem zdecydowanie przeniosła spojrzenie na ocean. Nie okaże słabości. Nie ulegnie już

żadnemu mężczyźnie. Jednak nie mogła zaprzeczyć, że widok Jake'a, który szedł w jej stronę po piasku, przyprawił ją o dreszcze. Z jego szarych oczu niczego nie mogła wyczytać. Brązowe włosy potargał wiatr. Spłowiąłe dzinsy opinały mocne uda, które tak dobrze pamiętała.

Wcisnął dłonie do kieszeni dzinsów. Kiedy zatrzymał się naprzeciw niej, otaczała go jakaś nieprzyjazna aura. Rozstawił lekko stopy. Sabrina, już wcześniej spięta, teraz była naprężona jak struna. Zlekceważyła go i nie podniosła na niego wzroku.

Jake odezwał się pierwszy. Ostatniej nocy w jego zachrypłym niskim głosie nie było miłości ani oddania, tego ranka również brakowało w nim łagodności czy choćby otuchy.

- Sabrino, nigdy, ale to nigdy tego nie rób. Powiedział to z taką mocą, że przeniosła wzrok z odległego horyzontu i popatrzyła na Jake'a z zaskoczeniem. W tym momencie nie spodziewała się takich słów.

- Czego mam nie robić? - spytała chłodno. - Mam z tobą więcej nie sypiać?

Jake ani drgnął.

- Masz nigdy więcej nie znikać mi z oczu tak jak dzisiaj rano. Nie wolno ci tego robić, doskonale o tym wiesz. Mam cię chronić, pozwolę sobie przypomnieć. Chyba pamiętasz?

Sabrina z furją poderwała się na nogi. Jak on śmie zaczynać dzień od takiego tematu, po tym, co zdarzyło się między nimi w nocy? Jak śmie? Co on sobie wyobraża? Że kim on jest?

- Nie martw się - warknęła, zaciskając pięści. - Pamiętam bardzo dobrze, w jakim celu zostałeś wynajęty, ale uwiedzenie mnie nie wchodzi w zakres twoich obowiązków. A może uważasz, że łatwiej mnie

upilnujesz, jak zdobędziesz nade mną taką władzę? Przypuszczałeś, że obudzę się tak urzeczona twoimi męskimi przymiotami, że do końca tej farsy będę ci posłuszna jak pies?

Jego zimne szare oczy przesłonił groźny cień.

- Sabrino, posłuchaj mnie.

- Słuchałam cię wczoraj wieczorem, i zobacz, do czego mnie to doprowadziło! Ale to niczego nie zmieni, Jake. Rozumiesz? To, co stało się w nocy, mogło się przydarzyć każdej dwójce ludzi, którzy znaleźliby się w podobnej sytuacji. Popatrz tam - powiedziała rozkazującym tonem, zataczając ręką łuk obejmujący wyspę. - Jesteśmy na tropikalnej wyspie, w hotelu, a nasze apartamenty są połączone. Więc pewnie to musiało się zdarzyć.

- Tak? - W głębi jego oczu pojawił się zagadkowy błysk.

- Cóż, może i nie, gdyby ochroniarz nie wstał w środku nocy i nie otworzył drzwi łączących nasze pokoje - odparowała.

- Chciałem tylko na ciebie popatrzeć - wyjaśnił.

- Czuję się spokojniejszy, kiedy cię widzę. Zwłaszcza w nocy.

- To idiotyczne.

- Nie musiałaś mnie szukać i wychodzić na balkon - zauważył łagodnie. - I nie musiałaś tam zostać, kiedy już mnie znalazłaś. Dlaczego zostałaś?

- Dlaczego zostałam? - powtórzyła z irytacją.

- Ponieważ myślałam, że jak porozmawiamy o twojej nocnej klaustrofobii, będzie ci łatwiej zasnąć. Wyszłam na balkon tylko po to, żeby z tobą porozmawiać.

- A kiedy skończyliśmy rozmawiać? - spytał fałszywie aksamitnym głosem. - Czemu nadal zostałeś? Z litości? Tak było ci mnie żal, że postanowiłaś się ze mną przespać, w ten sposób okazując mi współczucie?

Sabrina wzdrygnęła się i cofnęła się o krok. O czym on mówi?

- Pocieszenie? Litość? Straciłeś rozum, Jake? - zawołała i natychmiast podjęła bez zastanowienia. - Nie jestem taka głupia, żeby iść z mężczyzną do łóżka z litości. Na Boga, to siebie powinnam żałować, a nie ciebie. Ty świetnie dasz sobie radę. Przetrwałeś tyle miesięcy w koszmarnym więzieniu, jesteś ekspertem w jakiejś wschodniej sztuce samoobrony. Zatrudniasz się jako ochroniarz, żeby sobie dorobić, i posługujesz się tymi podstępными technikami sztuk walki, żeby uwodzić kobietę, aż straci rozum. Nie, cholera, nie współczuję ci. Chętnie zacisnęłabym palce na twojej szyi i udusiła cię. Dałabym ci w twarz. Chciałabym znać te twoje techniki, żeby cię pokonać.

- Rozumiem - rzekł spokojnie. Ale w żaden sposób nie mógł ukryć drobnych zmarszczek w kącikach oczu i warg. Jego spięta twarz widocznie się odprężyła. Nie zdołał też ukryć cienia ulgi, który przemknął w głębi jego szarych oczu.

Sabrina dostrzegła to wszystko i wpadła w przerażenie. Okazała się niewiarygodnie głupia. Mogła wykorzystać szansę, a straciła ją. Patrząc na twarz Jake'a, ledwie się powstrzymała, by ze złości nie zacisnąć zębów. Beztróska zmarnowała okazję.

Powinna była ucześcić się jego słów. Potwierdzić, że to właśnie litość kazała jej zostać w jego ramionach tej nocy. Uwolniłaby się od wielu kłopotów, które jej teraz groziły.

- Za późno, Sabrino - zauważył Jake niemal ze współczuciem, gdy tak przed nim stała, gromiąc się w duchu. - Już przyznałaś, że zostałam ze mną nie z litości, lecz z innego powodu. Nie możesz teraz zmienić zdania i wmawiać mi co innego. - Uśmiechnął się tym swoim uroczym, zaraźliwym uśmiechem.

- Dziękuję, chyba nie zniósłbym tego dzisiaj rano.

- Nie zniósłbyś myśli, że to litość skłoniła mnie do tego, żeby zrobić z siebie idiotkę? - odparła gwałtownie, pragnąc odzyskać stracony grunt. - Nie bądź zbyt pewny siebie i nie ciesz się, że tak łatwo ci ze mną poszło. To się nie powtórzy. Jestem tylko człowiekiem i mam swoje potrzeby, jak wszyscy, ale ostatnia noc to był przypadek. Nie interesuje mnie przelotny romans z mężczyzną, którego właściwie nie znam. Wydarzenia tej nocy nie nadają ci automatycznie statusu mojego kochanka, dodatku do statusu ochroniarza. Wiadomo, jak to jest. Późna noc na tropikalnej wyspie. Pewnie za dużo wypiałam. Znalazłam się w towarzystwie mężczyzny, który, studiując sztuki walki, poznał też tajemnice kobiecego ciała. Ale to już się nie powtórzy.

Jake wyciągnął ręce i chwycił ją za ramiona.

- Sabrino - powiedział cicho z półuśmiechem.

- Jedyna wymówka, która miałaby choć cień wiarygodności, oczywiście na krótką metę, to ta, którą odrzuciłaś - litość. Wszystkie inne nie trzymają się kupy. Nawet ta, że masz potrzeby jak każdy człowiek. Nie posłużyłaś się mną, żeby zaspokoić własne potrzeby, prawda? Myślę, że do tej nocy nie zdawałaś sobie sprawy, ile jest w tobie zmysłowej namiętności, ile niezaspokojonych pragnień.



- Ty arogancki, szowinistyczny draniu! - wysyczała, zdumiona jego spostrzegawczością. Czyżby jej reakcje były tak jednoznaczne?

Jake krótko pokręcił głową i spoważniał.

- Kochanie, nie bój się mnie.

- Nie boję się ciebie - stwierdziła z podniesioną głową. Odsunęła się, uwalniając się od jego rąk.

- Chcę tylko postawić sprawę jasno. Nie oczekuj, że to, co było minionej nocy, rozwinie się w jakiś miły dwutygodniowy romansik. Ile razy mam ci tłumaczyć, że ty dla mnie pracujesz? Minionej nocy popełniliśmy błąd, obydwójce.

- Ty popełniłaś błąd, bo powinnaś była mnie powstrzymać, a oddałaś się w moje ręce.

- No właśnie. Ale staram się uczyć na błędach - zapewniła go i odwróciła się, by ruszyć plażą do hotelu. - Tego z minionej nocy już nie powtórzę.

- Liczę też, że nie powtórzysz tego z dzisiejszego ranka - powiedział, idąc za nią z ponurą miną.

- O czym ty mówisz? - Obrzuciła go niezadowolonym wzrokiem.

- Nie wymkniesz się, nie informując mnie, dokąd się wybierasz.

- Na Boga. Mam za sobą traumatyczne, żenujące doświadczenie, a ty masz czelność narzekać, że wyszłam, żeby sobie w spokoju przez chwilę pomyśleć?

- Wciąż sama mi przypominasz, że dla ciebie pracuję - odrzekł. - W mojej pracy najważniejsze jest to, żebyś miał cię na oku.

- A niech... - Sabrina urwała, nie znajdując słów. - Nieważne. Jak mogę oczekiwać, że facet zrozumie, co przeżywam? - mruknęła pod

nosem. - Pospiesz się, idziemy na śniadanie, a potem mam pierwsze seminarium. Chcesz dostać szczegółowy plan, żeby wiedzieć, gdzie mnie znaleźć? - dodała słodko.

- To niekonieczne - stwierdził spokojnie. - Nie opuszczę cię ani na moment.

RS

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

I rzeczywiście jej nie opuścił. Sabrina nawet nie próbowała ignorować go podczas śniadania, nie usiadła też z dala od niego w sali wykładowej urządzonej w jednym z pomieszczeń konferencyjnych hotelu. To nie ma sensu, powiedziała sobie z żalem. Nie pozbędzie się tego człowieka. Mogła jedynie nauczyć się tolerować jego obecność i pilnować, by nie znaleźć się znowu w niebezpiecznej, pełnej napięcia sytuacji, jaka miała miejsce poprzedniego wieczoru. Teraz będzie bardzo uważała, postanowiła, opadając na fotel. W końcu nie po to poświęciła tyle czasu na zbudowanie wokół siebie muru, żeby zburzył go urok kogoś takiego jak Jake Devlin.

Sala wkrótce się zapełniła. W seminarium uczestniczyło około sześćdziesięciu osób. Podium dla wykładowcy ustawiono na przodzie, razem ze sprzętem audiowizualnym, który zwykle towarzyszy prelekcjom. Wśród miłośników średniowiecza dało się wyczuć atmosferę oczekiwania. Perry Dryden, siedzący po przeciwnej stronie sali, spotkał się wzrokiem z Sabriną i przesłał jej uśmiech pełen nadziei. Odpowiedziała mu bardziej niż zwykle serdecznym spojrzeniem. Tego ranka Perry wydawał jej się wyjątkowo miły. Nie dostrzegła w nim zagrożenia, arogancji, protekcyjności. Uśmiechnęła się ponownie. Przysięgłaby, że Perry się zarumienił.

- Przestań! - rzucił cicho Jake, który zajmował sąsiednie krzesło. Sabrina właśnie zastanawiała się, skąd ten rumieniec na twarzy Perry'ego.

- Co znowu?

- Nie zachęcaj Drydena. Wpakujesz siebie i jego w kłopoty, z którymi żadne z was sobie nie poradzi.

- Skoro już mówimy, co nam wolno, a czego nie wolno, zapamiętaj sobie jedno - odparowała Sabrina w chwili, gdy Larissa Waverly teatralnie wkroczyła do sali i zajęła miejsce na podium. - Nie próbuj mi grozić!

Jake nie miał szansy jej odpowiedzieć, ponieważ Waverly po mistrzowsku skupiła na sobie uwagę słuchaczy. I wcale nie dlatego, że była atrakcyjną kobietą czy wykorzystywała swoje fizyczne atuty, wkładając tego ranka przejrzystą, wydekoltowaną letnią suknię. Ona знаła i kochała swój temat. To zasadnicze przesłanie zdominowało poranne seminarium, a Sabrina, tak jak wszyscy zebrani, już po chwili z wypiekami na twarzy słuchała wykładu o złożoności czasów rycerstwa.

- To, co nadaje prawdziwą magię tej epoce, to bynajmniej nie opowieści o heroicznym bitwach i błędnych rycerzach - zauważyła Waverly. - Proszę pamiętać, że legendy o sile i męstwie znamy także z innych czasów i z różnych stron świata. Same w sobie heroiczne wyprawy rycerzy Okrągłego Stołu nie różnią się od podobnych legend. To, czemu kultura wieków średnich zawdzięcza swoją wyjątkowość, to sposób, w jaki literatura i pieśni tamtej epoki wprowadziły idee dworskiej miłości.

Umilkła na chwilę, popatrzyła po słuchaczach.

- Ten nowy element zawdzięczamy przede wszystkim trubadurom z południowej Francji, którzy komponowali pieśni i pisali wiersze dla raczej nielicznej warstwy społecznej składającej się z rycerzy, lordów i dam mieszkających w zamkach. Musicie pamiętać, że w tamtych czasach małżeństwo było niemal wyłącznie interesem. Konieczność zdobywania ziemi i zapewnienia sobie następców wymagała, żeby małżeństwa

aranżowano. Większość kobiet i mężczyzn akceptowała to. Potrafili podejść do sprawy praktycznie, tak jak ludzie interesu naszej epoki.

Znowu zrobiła przerwę, dając zebrany chwilę na przemyślenie tego, co powiedziała.

- Ta nowa idea dworskiej miłości, miłości idealistycznej, która inspiruje i uszlachetnia, zachwyciła wszystkich. Niemal natychmiast zawładnęła wyobraźnią rycerstwa i na zawsze odmieniła nasze postrzeganie mężczyzny, przedstawiając go jako rycerza w lśniącym zbroi.

Sabrina poczuła, że ktoś lekko szturcha ją w ramię. Jake nachylił się ku niej i skomentował szeptem:

- Ale nie jest to zmiana na lepsze, jeśli chcesz znać moje zdanie.

- Nikt cię nie pytał - odparowała możliwie najciszej i poczuła, że Jake wzrusza ramionami.

Na podium Waverly z przejęciem kontynuowała wykład.

- W romansach rycerskich z czasów króla Artura niejednym razem napotykamy przykłady ekstremalnych zachowań, do jakich posuwali się rycerze, żeby zadowolić damę swego serca. Istnieje na przykład opowieść o sir Gawainie, który celowo, na prośbę ukochanej, udawał głupca i tchórza w pewnym ważnym turnieju. Zniósł śmiech i drwiny swoich towarzyszy rycerzy i oglądającej turniej szlachty, żeby zaspokoić kaprys swojej damy.

W tym momencie Perry Dryden podniósł rękę.

- Taki wypadek ma też miejsce w jednej z opowieści o Lancelocie - zauważył nieśmiało.

- Rzeczywiście. - Waverly uśmiechnęła się z aprobatą. - Lancelot udał się incognito na pewien turniej i wygrywał tam wszystkie kolejne

potyczki. Ginewra zaczęła podejrzewać, że to on. Żeby przekonać się, czy intuicja ją nie myli, przesłała mu wiadomość, w której kazała mu przegrywać. Lancelot natychmiast jej posłuchał. Życzenie jego damy było dla niego rozkazem, ważniejszym niż jego honor i reputacja.

Jake po raz kolejny nachylił się dyskretnie ku Sabrinie.

- Takie damy, jak te, które Gawain i Lancelot usiłowali zadowolić, zasługują tylko na lanie.

Sabrinę niespodziewanie rozbawił jego komentarz. Wyobraziła sobie, jak niedorzecznie brzmią dla niego takie przykłady rycerskiej miłości.

- Pewnie jesteś szczęśliwy, że urodziłeś się w innej epoce, prawda?

- Och, nie wiem - odparł. — Mam wrażenie, że współczesne kobiety bywają równie trudne i kapryśne.

Zanim przyszła jej do głowy jakaś odpowiedź, kolejny uczestnik przerwał wykład Larissy.

- To prawda, że legendy obfitują w podobne zdarzenia, doktor Waverly - rzekł łysiejący mężczyzna w barwnej hawajskiej koszuli. - Ale jak te legendy wpływały na ludzi tamtej epoki?

- Proszę pamiętać, że legendy związane z królem Arturem i rycerzami Okrągłego Stołu należały do podstawowych źródeł edukacji prawdziwych rycerzy - odparła Larissa. - To właśnie z tych opowieści średniowieczny rycerz czerpał poczucie tożsamości, a także wyższości w stosunku do innych klas społecznych. Dawały mu romantyczną iluzję, że jego świat jest elegancki i wspaniały. Znamy z historii przypadki rycerzy, którzy wiele poświęcili dla swojej wybranki. Ulrich von Liechtenstein, który żył około roku tysiąc dwieście pięćdziesiątego, zasłynął z wyczynów

powziętych dla zadowolenia damy swego serca. Pewnego razu dowiedział się, że zdziwiła ją wieść, że on nadal posiada palec, który, jak sądziła, stracił podczas turnieju. Bez wahania odciął sobie palec i wysłał go jej! Jake poruszył się niespokojnie obok Sabriny.

- Chyba zwymiotuję - oznajmił zde gustowany.

- Cii - szepnęła zirytowana. Ale było już za późno. Tym razem Waverly usłyszała szeptane komentarze i jej zielone oczy zwróciły się zachęcająco w stronę Jake'a.

- Tak, panie Devlin? Chciałby pan coś dodać do naszej dyskusji?

O mój Boże, jęknęła w duchu Sabrina. Ale nie mogła nic zrobić. Jake musiał radzić sobie sam. Nie wahał się ani chwili.

- Wydaje mi się, że chociaż legendy związane z królem Arturem stanowiły w średniowieczu źródło rozrywki, a także edukacji, niewielu było wówczas takich von Liechtensteinów. To wbrew naturze ludzkiej, a zwłaszcza wbrew naturze męczyzny, który zarabia na życie mieczem. Von Liechtenstein był zapewne ekscentrycznym entuzjastą legend arturiańskich. Moim zdaniem większość rycerzy wykorzystywała te legendy, żeby ubarwić swoje przygody wojenne i usprawiedliwić grabieże. Mogli dokonywać grabieży, nie tracąc honoru ani sławy. I uchodziło im to na sucho. Kto by nie chciał, żeby postrzegano go jako epickiego bohatera, gdy sięga po cudze i zdobywa to siłą? Przypuszczam, że większość z nich cholernie dobrze wiedziała, co robi.

Sabrina nie wytrzymała. Nie czekając, aż Waverly dopuści ją do głosu, odwróciła się do Jake'a i powiedziała wystarczająco głośno, by usłyszała ją cała sala.

- Pogląd pana Devlina na ideę rycerstwa jest wyjątkowo zawężony - stwierdziła, patrząc mu wyzywająco w oczy. - To bardzo praktyczny człowiek, jak państwo widzą. Jeśli mężczyzna czegoś chce i potrafi to zdobyć, czemu miałby się wahać? Jego poglądy dotyczą zarówno kobiet, jak własności, prawda, panie Devlin? Może podzieli się pan z nami swoją opinią na temat dworskiej miłości?

Poniewczasie uprzytomniła sobie, że budzą powszechne zainteresowanie. Była tak spięta i zdenerwowana, że dała się ponieść emocjom w obecności sześćdziesięciu osób. Przerazona, nie spuszczała wzroku z Jake'a.

- Tak, panie Devlin - wtrąciła Larissa z wyraźnym zainteresowaniem.  
- Chętnie wysłuchamy pańskiej opinii.

Jake dzielnie wytrzymał wrogie spojrzenie Sabriny.

- Mówiąc prawdę, nie wierzę, że coś takiego istnieje. Chętnie założę się, że większość średniowiecznych rycerzy nie padło jej ofiarą, chyba że podchodzili do niej jak do zabawnej iluzji. Jeśli mężczyzna kocha kobietę, pragnie ją zdobyć. Kobieta wzbudza w zakochanym mężczyźnie wiele emocji. Potrzebuje jej, pragnie, pożąda, chce ją zadowolić, ale jeśli mówimy o poważnym zaangażowaniu, na pewno chce iść z nią do łóżka. Dlatego Lancelot ostatecznie przespał się z Ginewrą. Podejrzewam, że większość prawdziwych rycerzy doskonale znała wymagania ludzkiej natury. Tylko w legendach tak ponoć mądrzy królowie jak Artur postrzegali ludzką naturę całkowicie nierealistycznie. Ja z pewnością nie dopuściłbym Lancelota bliżej jak trzysta metrów od sypialni mojej żony.

Wściekła Sabrina nie miała szansy obalić jego teorii. Sala dosłownie wybuchnęła gwarem, sześćdziesiąt osób naraz pragnęło wyrazić swoje



zdanie. Był to idealny przykład dyskusji, która dosłownie rozpala uczestników. Larissa Waverly łagodnie uśmiechnęła się z podium, po czym zaczęła kierować komentarzami, by wprowadzić w nie jakiś porządek. Nie ma większej satysfakcji dla profesjonalnego nauczyciela niż studenci, którzy tak głęboko angażują się w dany temat. Waverly była prawdziwą profesjonalistką. I nic nie mogłoby jej bardziej uszczęśliwić.

Trzy godziny później, w południe, po zakończeniu zajęć, Sabrina opuściła salę wykładową i podążyła do hotelowej jadalni na lunch. Jake uparcie szedł za nią. Kiedy usiedli przy oknie, Sabrina obrzuciła go pytającym spojrzeniem. Nerwowo postukiwała palcem. Nie potrafiła ukryć irytacji. Jake odpowiedział jej beznamiętnym spojrzeniem.

Ten pojedynek trwał jakieś pół minuty. Potem poczucie humoru Sabriny zwyciężyło.

- Ty to potrafisz ożywić dyskusję - zauważyła. Twarz Jake'a zmieniła się, Sabrina widziała na niej to samo rozbawienie, które jej towarzyszyło.

- Sprowokowałaś mnie - oskarżył ją. - Więc to moja wina?

- Oczywiście.

- Chcesz zapiekankę z teriyaki czy sałatkę z ananasa i papai?

- Miałam raczej ochotę zobaczyć na tacy twoją głowę.

Uśmiechnął się rozbrawiająco.

- Biedna Sabrina. Zupełnie nie odpowiadam twojemu wyobrażeniu ochroniarza, prawda?

- Tak - przyznała, biorąc menu do ręki. - Ale chyba znajdę dla ciebie jakieś zajęcie.

Uniósł brwi.

- To mi pochlebia.

- Przestanie ci pochlebiać, jak poznasz mój plan. Po lunchu wręczyła mu plażowy parasol, kilka ręczników, balsam do opalania, książki na temat kultury średniowiecza i poleciła iść za sobą na plażę. W duchu musiała mu oddać, że nie narzekał na bagaż, a kiedy po długim zastanowieniu wybrała miejsce, posłusznie rozłożył parasol i ułożył ręczniki.

- Czegoś tu nie rozumiem - rzekł potulnie, przyglądając się swojemu dziełu. - Dlaczego siedzimy pod parasolem i smarujemy się kremem z filtrem? Nie chcesz się opalić?

- Opalanie się nie jest zdrowe - poinformowała go Sabrina, rozpinając duże drewniane guziki plażowego wdzianka. - Czytałam artykuł na ten temat w jednym z czasopism medycznych, które dostaje nasza biblioteka. - Kolejna banalna informacja, pomyślała cierpko. Poświęca swoje życie na zbieranie różnych dziwnych, niekoniecznie potrzebnych informacji. Czym zainteresuje się po seminarium ze średniowiecznego rycerstwa?

Jake przyglądał się, jak zdejmuje barwny top w paski.

- Spędzisz na Hawajach dziesięć dni. Dlaczego miałabyś nie korzystać ze słońca? Może powinnaś wybrać inny cel podróży?

- Lubię plażę. - Wzruszyła ramionami, zdjęła wierzchni strój, zostając w żółtym bikini.

Jake omiótł wzrokiem skrawki materiału, które ledwie zakrywały jej szczupłe ciało.

- Dobry Boże. Jakiś mężczyzna musi zająć się twoją garderobą. Jak na osobę, która nie chce się opalić, ubrałaś się dość niestosownie. Czy to twój jedyny kostium plażowy?

- Czasami odnoszę wrażenie, że masz dosyć konserwatywny gust - odparła, opierając się o poduszkę i biorąc do ręki jedną z książek. Jakaś jej część czuła perwersyjne zadowolenie, że obraziła jego poczucie przyzwoitości. Tego dnia miała chęć obrażać Jake'a na każdym kroku. To była jej mała rekompensata za to, co zrobił minionej nocy. Zasłużył sobie na karę.

- Powiedzmy, że wolę, jak moi klienci nie robią z siebie widowiska - odparł, rozpinając i zdejmując dżinsy. Pod spodem miał skromne spodenki kąpielowe, które przyciągały uwagę do jego atletycznej sylwetki. Sabrina uświadomiła sobie poniewczasie, że mu się przygląda, i czym prędzej przeniosła wzrok na książkę.

- Tak samo myślę o ludziach, którzy dla mnie pracują - oznajmiła. - Wolałabym, żebyś nie robił z siebie widowiska. I żeby uniknąć podobnych incydentów, jak ten, który zdarzył się dzisiaj w sali wykładowej, podam ci kilka podstawowych faktów związanych z ideami rycerstwa.

Jake ułożył się w pozycji pólężącej, opierając się na łokciach, żeby widzieć rozciągającą się przed nim plażę. Sabrina miała wrażenie, że spoważniał, i nagle się zaniepokoiła.

- Zanim przejdziemy do dzisiejszej lekcji - zaczął Jake chłodno - moglibyśmy chyba porozmawiać o minionej nocy. Miałaś już czas trochę ochłonać...

Kruchy rozejm, jaki osiągnęli rano, dla Sabriny został właśnie zerwany.

- Nie chcę o tym rozmawiać. To był błąd i nie zamierzam go powtarzać.

- A jeśli tak się stanie?

- Gdybym widziała takie niebezpieczeństwo, szukałabym nowego ochroniarza - odparła gwałtownie, starając się skupić uwagę na książce. - Ale takie niebezpieczeństwo nie istnieje, prawda? Jesteśmy dorośli i będziemy się pilnować, nie damy się znów porwać emocjom.

Odwrócił głowę i spojrzał na Sabrinę. To, co dostrzegła w jego szarych oczach, sprawiło, że zadrżała. Na chwilę znieruchomiała, czując się jak schwytane w pułapkę zwierzątko. Motyl? Czy tak ją nazwał? Natychmiast odsunęła od siebie obraz tego pięknego, delikatnego stworzenia.

- Nie, Jake - szepnęła, choć on nadal milczał. -Nie.

Słowa, które mógłby powiedzieć, zamarły mu na ustach, gdyż obok plażowego parasola pojawił się chłopiec z czerwonym wiaderkiem w jednej ręce i łopatką w drugiej. Na okrągłej buzi malca malowało się pełne nadziei zainteresowanie.

- Pomoże mi pan zbudować zamek? - spytał grzecznie Jake'a, najwyraźniej z góry rezygnując z pomocy Sabriny. - Pytałem już wszystkich, ale są bardzo zajęci. - Zatoczył koło łopatką. Jake przyglądał się dziecku z powagą.

- Zamek, mówisz? Zabawne, że wspomniałeś o zamku. Wiesz coś na temat legendy króla Artura, dworskiej miłości albo błędnych rycerzy?

Chłopiec zadumał się, ściągnął brwi, po czym odparł:

- Nie, nic nie wiem.

Jake poderwał się sprężysto na nogi, uśmiechając się do przyszłego budowniczego.

- W takim razie z przyjemnością pomogę ci zbudować zamek z piasku. Tylko nie możemy się zbyt oddalać. Muszę pilnować tej damy - wyjaśnił przepraszaście.

Chłopiec zerknął na Sabrinę.

- Dobrze. Pasuje mi. - Ruszył w stronę, gdzie piasku było więcej niż tu, gdzie leżała Sabrina. Jake poszedł za nim.

Sabrina odprowadzała ich wzrokiem, częściowo rozbawiona, częściowo zaintrygowana faktem, że dziecko takim zaufaniem darzy swojego nowego przyjaciela. Przypomniała sobie, jaki świetny kontakt Jake miał z dziećmi na swoich zajęciach. Dziwny człowiek. Kiedy usiadł obok chłopca i zaczął usypywać mury zamku, uśmiechnęła się pod nosem i wróciła do lektury.

Kiedy po jakimś czasie znowu podniosła wzrok, Jake'a otaczały chyba wszystkie przebywające na plaży dzieci. Patrzyła ze zdumieniem na potężne fortyfikacje z piasku. Budowla rosła w oczach. Jake kierował operacją, a malcy zgodnie pracowali. Każdy miał swoją działkę i praca gładko posuwała się naprzód. Wymyślny zamek, będący architektoniczną składanką rozmaitych iglic, wież, wieżyczek i balustrad, otaczała imponująca fosa. Budowniczywie biegali w tę i z powrotem, przenosząc piasek. Od czasu do czasu zatrzymywali się, by spytać Jake'a o kolejny etap. Dorośli, którzy ich mijali, przystawali z podziwem. Dzieci pracowały w takim tempie, że można było się spodziewać, iż zamek z piasku wkrótce zdominuje plażę, pomyślała Sabrina, śmiejąc się w duchu.

Jake spojrzał na nią. Dostrzegł uśmiech w jej oczach. Odpowiedział wzruszeniem ramion, jakby mówił, że nie potrafi powstrzymać tego, co zainicjował. Potem wrócił do pracy. Sabrina obserwowała go z rosnącą

fascynacją. Naprawdę znakomicie dogadywał się z dziećmi. Czy dlatego zdecydował się prowadzić zajęcia dla dzieci, a nie dla dorosłych? Niewiele osób potrafi tak błyskawicznie nawiązać kontakt z dziećmi. A Jake łączył to jeszcze z dyscypliną, której dzieci, jak się zdawało, chętnie się poddawały. Nikt nie dostał napadu złości, nie było głośnych sprzeczek, w grupie budowniczych panowała harmonia. Dzieci oczekiwały, że Jake będzie nimi kierował, i skwapliwie wykonywały jego polecenia.

Dopiero gdy kolejni dorośli przystanęli, by zamienić parę słów na temat imponujących fortyfikacji, Sabrina zobaczyła, jak inaczej ich traktował. Był uprzejmy, ale zachował dystans, który zniknął w momencie, gdy jedno z dzieci pociągnęło go za rękę, chcąc zwrócić jego uwagę. Przypomniała sobie, że kiedy widziała go po raz pierwszy, rozmawiającego z rodzicami swoich uczniów, zaobserwowała identyczną zmianę. Zupełnie jakby Jake zbudował swój prywatny zamek z fosą i zwodzonym mostem, który spuszczał i podnosił wedle własnej woli.

Zastanowiła się nad tym i nagle coś sobie uprzytomniła. Wzięła głęboki oddech. W jej obecności Jake był często równie otwarty jak z dziećmi. Od pierwszej nocy, gdy podała mu kubek gorącego mleka i włączyła telewizor, żeby odpędzić dręczące Jake'a koszmary, zaczął opuszczać swój zwodzony most, by mogła dostać się do jego zamku.

Ostatniej nocy opuścił most całkiem, dopuszczając ją do swego bardzo prywatnego zakątka, miejsca skrytego przed obcymi, chronionego grubymi murami.

Problem w tym, pomyślała Sabrina, że gdy już się tam znalazła, próbował ją przykuć łańcuchem. Chciał, żeby ona też wpuściła go za swój mur, tak jak on dopuścił ją do siebie.

Zacisnęła pięści. Jej poranny atak paniki spowodowany był właśnie tym, że Jake osiągnął swój cel. Czuła się zawłaszczona, zdobyta, wzięta w posiadanie.

Buntowała się na myśl, że otworzyła się przed mężczyzną, a równocześnie przypominała sobie, jak on odkrył przed nią swą słabość. Patrząc na niego, trudno było sobie nawet wyobrazić, że może czuć się bezradny i bezsilny, a przecież minionej nocy poznała głębię jego lęków. I czuła kobiecą satysfakcję, że zdołała je złagodzić.

Czy dlatego nie uciekła od Jake'a tego ranka? Z tego hotelu, z Hawajów? Była zła, bo głupio się zachowała, a jednak jej nieufność wobec Jake'a była ograniczona, skoro nie zabukowała sobie powrotnego lotu. Co więcej, wzięła Jake'a ze sobą na śniadanie i na seminarium, a potem na plażę. Na Boga, co ona sobie myśli, traktując go w taki sposób?

To chyba właśnie przez tę jego bezbronność. Poniosła klęskę, dlatego ma takie mieszane uczucia. Przy każdym innym mężczyźnie pilnowałaby się i nigdy nie wylądowałaby z nim w łóżku.

Ostatnio dostrzegała w mężczyznach wyłącznie pustkę i płytkość. Nie ufała im i bez większego trudu potrafiła im się oprzeć. A jednak... Jake'a Devlina знаła zaledwie od dwóch dni. I poszła z nim do łóżka.

Uwiodła ją świadomość, że Jake nie jest ani płytki, ani powierzchowny. Przeciwnie, jest w pełni człowiekiem, a lęki, które go dręczą, są o wiele bardziej przerażające niż jej własne lęki z dzieciństwa. Zaryzykował i odkrył przed nią swój wewnętrzny świat. To właśnie pamięć o tym, że pozwolił jej być świadkiem swojej bezradności, zatrzymała ją tutaj, podczas gdy w zasadzie powinna była uciekać jak najdalej przed tym niebezpiecznym mężczyzną.

Ale istnieją różne rodzaje niebezpieczeństwa, pomyślała z westchnieniem, opierając się znowu o poduszkę i sięgając po książkę. I ogromna różnorodność wabików, którymi płęć męska przyciąga kobiety, większa, niż sobie wyobrażała. Jej własna namiętność, rozbudzona przez Jake'a, doskonale tego dowodziła. Kto by pomyślał... ?

- Przepraszam, ale pomyślałem, że pewnie ci gorąco. Przyniosłem pina coladę z plażowego baru. Jeśli masz ochotę, oczywiście - poprawił się pospiesznie Perry Dryden, gdy Sabrina podniosła zaskoczony wzrok.

Zamrugnęła, a potem uśmiechnęła się ze szczerą wdzięcznością.

- Perry, doprawdy. Jesteś cudowny. - Wzięła schłodzoną szklanekę z jego ręki i nie była specjalnie zaskoczona, kiedy Perry zinterpretował to na własny użytek jako zaproszenie. Przysiadł obok niej z lekko zawstydzoną miną, ale bardzo chętny zrobić wszystko, by ją zadowolić. Zamiast okularów w rogowej oprawce miał okulary przeciwsłoneczne. Sabrina zastanowiła się przelotnie, czy dostał je na receptę, szkła były bowiem bardzo grube.

- Po raz pierwszy, odkąd tu przyjechaliśmy, widzę cię samą - zauważył delikatnie. Zdjął ciemne okulary i zerknął znacząco w stronę fortyfikacji z piasku.

Sabrina powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem i stwierdziła, że Jake patrzy na nich z dosyć złowrogą miną. Ciekawe, jakim cudem tak szybko zauważył nadejście Perry'ego. Chyba posiada jakiś szósty zmysł. Może to zasadniczy warunek bycia dobrym ochroniarzem i ekspertem od sztuki samoobrony. Pochyliła głowę i wypila łyk pina colady, ignorując uwagę Perry'ego. Nie miała ochoty rozmawiać z nim o Jake'u.

- Jak ci się podobały poranne zajęcia? - spytała.



- Doktor Waverly jest znakomitą specjalistką, prawda?

- Tak, z najwyższej półki. A twój znajomy Jake chyba nie jest entuzjastą legend arturiańskich? Sprawiał wrażenie, że nie trawi idei rycerstwa - rzekł Perry.

- W tej kwestii ma dość jednoznaczną opinię - przyznała, znowu przenosząc wzrok na Jake'a. Nie zostawił swoich budowniczych, ale obserwował ją kątem oka.

- Mówiłaś, że to przyjaciel rodziny, tak?

- Mniej więcej. - Jak mogłaby wyjaśnić towarzystwo ochroniarza? Lepiej zmienić temat. - Co myślisz o stwierdzeniu Waverly, że moralność odgrywała znaczącą rolę w dworskiej miłości? - Poza tym Jake to zbyt osobisty temat.

Jak każdy dobrze wychowany posłaniec Perry z wdzięcznością przyjął zmianę tematu i podjął rozmowę. Sabrina wypila już prawie połowę pina colady, kiedy Jake oznajmił, że budowa została zakończona i opuścił grupę małych budowniczych. Ruszył plażą w stronę parasola Sabriny.

Perry Dryden z miejsca poderwał się na nogi, jakby nadejście drugiego mężczyzny było dla niego sygnałem do odwrotu.

- Miło było pogadać, Sabrino - rzekł cicho i nerwowo przesunął na nos ciemne okulary. - No to... do zobaczenia na jutrzejszych zajęciach.

Sabrina uśmiechnęła się łagodnie.

- Jeszcze raz dziękuję za drinka, Perry. To bardzo miło z twojej strony. - Potem patrzyła, jak oddalał się zwawo, zanim Jake dotarł do parasola.

- Chyba go przestraszyłeś - poskarżyła się, gdy Jake usiadł na ręczniku.

- To dobrze. Czego chciał? - Przeniósł wzrok na znikającą postać.

- Rozmawialiśmy o porannej dyskusji na seminarium i temacie na jutro. - Wzruszyła ramionami, siorbiąc przez słomkę resztkę pina colady. - I przyniósł mi coś do picia.

- Widzę. Chciało ci się pić? - Zerknął na nią.

- Nie, ale to miły gest, prawda? Przekrzywił głowę, przyglądając się jej uważnie, a potem się uśmiechnął.

- Sabrino, moja kochana, jeśli próbujesz wzbudzić we mnie zazdrość, tracisz czas.

- To nie działa? - spytała wyzywająco, zdumiona, jak bardzo ją to zezłościło.

- To strata czasu, ponieważ i tak jestem zazdrosny.

- Tak? - Na tak szczerze wyznanie szeroko otworzyła oczy.

Jake położył się twarzą do niej i wsparł się na łokciu.

- Jak diabli. Znalazłem się w trudnej sytuacji. Dryden jest niższy, młodszy i nie tak silny jak ja. Gdybym go stłukł na kwaśne jabłko, wyszedłbym na łotra.

- Z całą pewnością.

- Nie rób takiej przerażonej miny. Nie zmasakruję Drydena, jeśli nie dasz mi do tego powodu.

- Co ty pleciesz? - zawołała zaszokowana.

- Mówię tylko, że jeśli chcesz uniknąć rozlewu krwi, powinnaś trzymać się z daleka od tego gościa - odparł stanowczo, a w jego szarych oczach pojawił się chłód. - Jak coś mu się stanie, to będzie twoja wina.

- To oburzające! Jak śmiesz mi tak grozić?

- Sabrina usiadła, piorunując go wzrokiem. - Nie masz prawa wymuszać na mnie posłuszeństwa pogróżkami.

Ale Jake tylko się do niej uśmiechnął tym zaraźliwym szerokim uśmiechem, zarezerwowanym, jak wiedziała, dla niej i dla dzieci. Nie zwracał uwagi na jej wściekłą minę i spojrzenie, podniósł się i wziął ją na rękę.

- Pora, żebyś się trochę pomoczyła. Upał źle działa na twój charakter.

- Natychmiast mnie postaw!

Postawił ją, ale nie od razu. Po dwóch minutach był już po pas w cieplej wodzie i wtedy postawił ją delikatnie. Sabrina, rozgrzana słońcem, a potem bliskością jego nagiego ciała, gdy trzymał ją w ramionach, postanowiła pójść za jego radą. Gdy tylko ją puścił, -zaczęła płynąć możliwie najszybciej.

Oddaliła się spory kawałek od brzegu, gdy zdała sobie sprawę, że w ten sposób go nie zgubi. Płynął obok niej leniwie, niemal bez wysiłku, tak to przynajmniej dla niej wyglądało. Kiedy poddała się i dotknęła stopami piaszczystego dna, Jake uśmiechnął się do niej i też się zatrzymał. Ujął w dłonie jej skrzywioną ze złości twarz, tak jak ona ujęła jego twarz minionej nocy.

- Jestem zazdrosny, ale wcale tak bardzo się nie martwię - wyznał. - Wiesz dlaczego?

Sabrina znieruchomiała, nagle straciła pewność siebie i znów była bezbronna. Czekwała na odpowiedź uwięziona w pułapce.

- Nie przejmuję się Drydenem, ponieważ sądzę, że w przeciwieństwie do Ginewry, nie zdradziłabyś mnie z innym mężczyzną.

Zdenerwowałaś się tym, co stało się minionej nocy, ale należysz do mnie i chyba to wiesz.

- Jake, nie... !

Pochylił się i dotknął mokrymi wargami jej rozchylonych warg. Jego dłonie przesunęły się wzdłuż jej szyi na zaokrąglone ramiona, a woda z jego rąk kapała na jej piersi.

Sabrina zadrżała. Chciała się cofnąć, oświadczyć, że nie potrzebuje jego zaufania, że wcale nie musi być wobec niego lojalna. Ale jego ciepło i jeszcze kontrolowana namiętność zniewoliły ją. Jego dłonie wędrowały teraz wzdłuż jej pleców i zanim się zorientowała, stanik jej bikini wisiał już tylko na jej szyi, odkrywając piersi.

- Jake!

- Cii - szepnął. - Zasłaniam cię, z brzegu nikt cię widzi. A tutaj nie ma nikogo, motylu, tylko ja. Chcę zobaczyć w dziennym świetle to, co widziałem tylko w świetle księżyca. Cały dzień myślałem, jaka jesteś namiętna, kochanie.

Usiłowała się cofnąć, ale on odsunął jej dłonie, którymi zakryła piersi, i unióśł głowę, by spojrzeć na nią z góry.

Fale podnosiły się lekko i opadały, na zmianę odsłaniając i przesłaniając jej nabrzmiałe piersi. Delikatnie, ale stanowczo Jake chwycił nadgarstki Sabriny i przycisnął je do jej boków. Jego szare oczy pociemniały.

Sabrinie zabrakło tchu, nie znajdowała słów, by mu się przeciwstawić, nie była w stanie podjąć walki. Tak jak minionej nocy czuła się zniewolona rosnącym pożądaniem Jake'a. Prawdziwe niebezpieczeństwo kryło się jednak w tym, że rozpałało ono jej pragnienie.

Kiedy puścił jej ręce i kciukami obu dłoni głaskał piersi, przylgnęła do niego.

- Kochanie, nie bój się mnie - powiedział cicho, z ustami w jej mokrych zmierzwionych włosach. - Zaufaj mi.

- Jake - jęknęła. - Nie chcę żadnego romansu. Nie chcę się z nikim wiązać.

- Już się zaangażowałaś. Wtargnęłaś do mojego życia i uczyniłaś mnie swoim opiekunem. Jesteśmy na siebie skazani, zapomniałaś? - dokończył pogodnie.

Zaczęła się odsuwać. A on niemal natychmiast zapiął jej stanik na plecach. Spojrzała na niego bezradnie, niezdolna wymieniść żadnego logicznego powodu, dla którego powinna się od niego uwolnić. Widząc wahanie na jej twarzy, Jake uniósł kącik warg w półuśmiechu.

- Chodź, motyłu. Wyglądasz na tak zawstydzoną, że wystarczy tego na dzisiaj. Wracajmy na brzeg.

- Jake? - odezwała się drżącym głosem. - Nie chciałabym, żebyś myślał... To znaczy, nie sądz na podstawie tego pocałunku, że ja...

- Że będziemy się kochać dziś w nocy? - dokończył za nią, brnąc przez fale. - Nie martw się, kochanie. Dam ci trochę czasu, jeśli to konieczne.

Teraz, kiedy już wiem, że należysz do mnie, poczekam, aż nadejdzie ta właściwa chwila.

- Co to ma znaczyć? - wypaliła gwałtownie, zirytowana jego pewnością siebie.

Spojrzał na nią z góry.

- To znaczy, że potrafię czekać na właściwy moment. Spędziłem pół roku w ciężkiej celi, ćwicząc cierpliwość. Polataj sobie jeszcze, kochanie, jeśli masz ochotę. Ale prawda jest taka, motylku, że wczoraj w nocy wpadłaś w moją siatkę.

RS

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tej nocy to Sabrina miała problemy ze snem. Wierciła się niespokojnie, co dziesięć minut przewracając się z boku na bok i szukając wygodniejszej pozycji. Niechętnie musiała przyznać, że nie może zasnąć, bo ilekroć przesuwała się choć parę centymetrów, otwierała oczy i patrzyła na drzwi łączące jej pokój z pokojem Jake'a.

Drzwi nie były całkiem zamknięte, zostawił je lekko uchylone. Sabrina niewiele przez nie widziała, prócz tego, że u Jake'a było ciemno. Ale czy spał?

- Ty idiotko - ganiła się bezgłośnym szeptem. - Co ci chodzi po głowie? Chcesz się wpakować w te same kłopoty co poprzedniej nocy? Ten facet potrafi sam o siebie zadbać.

Opadając znów na poduszkę, pełna odrazy do samej siebie, wróciła pamięcią do mijającego dnia, który spędziła w towarzystwie Jake'a. Był troskliwy, uprzejmy, zawsze pod ręką. Czekał.

Jake Devlin wiedział wszystko o czekaniu. Uznał ją za swoją własność i był gotów czekać, aż Sabrina to zaakceptuje. Intuicja podpowiadała jej, że Jake był do tego pojedynku lepiej przygotowany niż ona. Ale czy naprawdę był przeświadczony o zwycięstwie?

Nie zarzucał jej, że najpierw go kusila, a potem odmówiła mu swoich względów. Nie zrobił nic takiego, czego mogłaby się spodziewać po mężczyźnie w podobnych okolicznościach. Miał w sobie absolutną pewność. No i potrafił czekać.

Promień księżycowego światła przesuwiał się wolno po łóżku, a przez otwarte okno wpadał usypiający dźwięk fal, miły, kojący, monotonny. Dlaczego więc sen nie chce przyjść?

Tego wieczoru Jake znowu tańczył z nią po kolacji, ale nawet nie próbował flirtować. Choć już same jego ruchy, tak lekkie i harmonijne, jakby płynął po parkiecie, uwodziły. Ale nie było w tym nic wymuszonego. Nie szukał, tak jak poprzedniego wieczoru, wrażliwych miejsc na jej ciele. Od przedpołudnia, kiedy pieścił ją pośród fal, nie wykonał żadnego erotycznego gestu. Zdawało się, że naprawdę był gotów dotrzymać obietnicy, którą złożył, gdy brnęli przez wodę na brzeg.

Zamknęła oczy i nasłuchiwała, czy z sąsiedniego pokoju dobiegnie ją choćby najmniejszy ruch, jednak żaden szmer nie naruszał głębokiej ciszy. Czy Jake'owi udało się zasnąć? Czy ostatnia noc wyleczyła go z nocnych niepokojów? Sabrina przejmowała się nim. Nie знаła tego uczucia, tej potrzeby, by troszczyć się o mężczyznę. I to o bardzo niebezpiecznego mężczyznę, dodała w myśli.

W końcu nie wytrzymała napięcia i odrzuciła na bok kołdrę. Jeśli Jake śpi, wróci do łóżka. Nie mogła zasnąć właśnie dlatego, że nie wiedziała, co się z nim dzieje. Jeżeli spostrzeże, że Jake wyszedł na balkon, wycofa się i szybko wróci do sypialni, obiecała sobie. Na palcach przeszła przez pokój i stanęła w drzwiach.

Czuła się idiotycznie, ale nie mogła się powstrzymać. Ostrożnie zajrzała do środka. Jake leżał na brzuchu, z twarzą zwróconą do okna i zamkniętymi oczami. Prześcieradło, którym był okryty, tworzyło fałdę na wysokości jego talii, a ciemne włosy kontrastowały z gładką białą poduszką. Sabrina westchnęła z ulgą. Jake spał.



Co znaczyło, że mogła tak stać w ciemności i przyglądać mu się bezkarnie. Do tej pory tylko raz widziała go tak rozluźnionego, właśnie tego ranka. Ale wtedy myślała jedynie, jak przed nim uciec. Wybiegając z balkonu, nawet się nie obejrzała. Teraz musiała przyznać, że ten zmysłowy obraz śpiącego mężczyzny działał jej na wyobraźnię. Na wspomnienie spędzonej z nim namiętnej nocy ogarnęło ją miłe ciepło.

Jednak seks, przypomniała sobie ponuro, nawet tak namiętny, tak do głębi wstrząsający, to nie wszystko. A kiedy mężczyzna idzie do łóżka z kobietą, którą zna tak krótko, nic prócz seksu go nie interesuje. Zresztą mężczyźni mają w głowie tylko seks, niezależnie od tego, jak długo trwa ich znajomość z kobietą.

Sabrina przygryzła nerwowo wargę, po czym opuściła rękę opartą o drzwi. Musi wracać do siebie, zanim ulegnie niewytłumaczalnemu pragnieniu, by przekroczyć próg pokoju Jake'a. Nic, ale to nic nie zyskałaby takim głupim szalonym posunięciem. Za to wiele mogła stracić.

Zrobiła dokładnie jeden krok w stronę swojego azylu, gdy z ciemności dobiegł ją lekko zachrypnięty męski głos:

- Dobranoc, motylu.

Sabrina pomknęła do łóżka. Cały czas wiedział, że tam stała. Naprawdę posiadał jakiś szósty zmysł. Coś go obudziło. Dałaby głowę, że spał, gdy cicho podeszła do drzwi. Z żalem wśliznęła się pod własną kołdrę i naciągnęła ją po brodę. Potem zapowiedziała sobie, że musi zasnąć.

Kolejny dzień minął bez żadnych incydentów. Podczas seminarium Jake zachowywał się przyzwoicie, co Sabrina odnotowała z rozbawieniem i ulgą. Kiedy później gratulowała mu opanowania, uśmiechnął się

zagadkowo i odparł, że był grzeczny, ponieważ go nie prowokowała. W nocy oparła się chęci zajrzenia do jego pokoju. Podejrzenie, że Jake leży w swoim łóżku, świadomy jej rozterek, dręczyło ją, dopóki sama nie zasnęła.

Nazajutrz po południu Sabrina ogłosiła zmianę planów.

- Co? - zadrwił Jake. - Chcesz powiedzieć, że nie zamierzasz mnie obładować jak wielbłąda parasolem, ręcznikami i książkami?

- Mam ochotę odpocząć od plaży - wyjaśniła.

- Myślałem, że przyjechałaś na Hawaje, żeby korzystać z plaży, wylegiwać się na słońcu.

- Powinieneś się cieszyć, że uwalniam się od roli głównego budowniczego zamków z piasku. Doskonale wiesz, że wszystkie dzieci natychmiast by się zleciały, gdybyś tylko pojawił się na plaży.

- Nie mam nic przeciwko dzieciom. - Wzruszył ramionami, potem przestawił dwa leżaki znad basenu w cień stolika z parasolem. Basen był bardzo wymyślny, przypominał tropikalny strumień. Wił się pośród starannie zaprojektowanego krajobrazu, dzięki wielu zakrętom i zatoczkom zapewniając gościom poczucie prywatności.

Sabrina uśmiechnęła się.

- Tak, dzieci ci nie przeszkadzają. Kiedy odkryłeś swój talent do pracy z dziećmi?

- Jakież półtora roku temu - odparł obojętnie.

- Po ucieczce z więzienia? Nigdy wcześniej nie miałeś do czynienia z dziećmi? - Sabrina była zdumiona.

- Nie, wolałem poświęcać się brawurowym eskapadom. Dopiero gdy moja kariera została przerwana przez pobyt w więzieniu, zacząłem się zastanawiać, do czego jeszcze się nadaję.

- Mówisz poważnie? To nie żart?

Jake skończył ustawiać parasol i usiadł obok niej. Spojrzał na nią z powagą, podciągnął kolana i oparł na nich rękę.

- Nie przyznał w końcu. - To nie żart. Chociaż po raz pierwszy kusilo mnie, żeby sobie z tego zażartować. Jesteś dla mnie dobra, motylu, nawet jeśli każesz mi czekać.

Sabrina zaczerwieniła się pod jego spojrzeniem.

- Nie chcę nic słyszeć na ten temat - poinformowała go wyniośle. - Przygotujmy się lepiej do jutrzejszej dyskusji. - Otworzyła książkę, którą ze sobą przyniosła, ignorując jęk niezadowolenia Jake'a.

- Sabrino, niech pani mu nie każe wkuwać przez całe wakacje. - Larissa Waverly stanęła nad nimi, grożąc placem.

Znowu się popisuje, stwierdziła Sabrina, obejmując wzrokiem ponętą kobiecą postać w kostiumie kąpielowym jeszcze bardziej skąpym niż jej żółte bikini. Skąd wzięła się tu Larissa? Sabrina zerknęła na Jake'a z ukosa, ciekawa, czy kształtne piersi pani doktor zwróciły jego uwagę.

Jake przywitał Larissę uprzejmie, ale wyglądał, jakby myślał o czym innym.

Larissa usiadła z leniwą gracją i sączyła drinka z lodem.

- Wie pan chyba, że na zakończenie tych dziesięciu dni nie ma żadnego testu - odezwała się pogodnie do Jake'a. - To seminarium służy wyłącznie przyjemności. Jest przeznaczone dla osób, które szukają usprawiedliwienia dla swoich wakacji.

- Prowadzi pani dużo takich seminariów? - spytała Sabrina z zaciekawieniem.

- Raz albo dwa razy do roku. Dla wykładowcy to finansowo bardzo korzystne. - Larissa się uśmiechnęła, po czym znowu zwróciła się do Jake'a. - Czym pan się zajmuje zawodowo? Wiem, że Sabrina jest bibliotekarką.

- Jestem nauczycielem - odparł krótko.

- Naprawdę? W którym college'u? - spytała.

- Uczę dzieci - poprawił chłodno.

- Ma świetny kontakt z dziećmi - wtrąciła Sabrina. - Naprawdę znakomity.

Jake rzucił jej lekko rozbawione spojrzenie, ale zanim któreś z nich się odezwało, dołączył do nich Perry Dryden. Obecność Larissy najwyraźniej dodała mu śmiałości. Pewnie uznał, że przy niej nic mu nie grozi, pomyślała Sabrina.

Jake traktował go z taką obojętnością, jak słoń muchę, więc Sabrina starała się wynagrodzić Perry'emu nieuprzejmość swojego ochroniarza, włączając go do rozmowy. Nie miała z tym problemu.

Larissa Waverly opowiadała im zabawne anegdoty z seminariów, które prowadziła ubiegłego lata.

Kiedy zakończyła komiczną historię o zdarzeniach na statku wycieczkowym, podniosła się.

- Mam ochotę popływać. Może ktoś pójdzie ze mną?

Sabrina stwierdziła, że Larissa patrzy znacząco na Jake'a, ale on wykazał zadziwiającą zdolność do niezauważania tak wyraźnych znaków. Zapadło krępujące milczenie. W końcu Perry wstał i zachował się jak należy.

- Świetny pomysł - rzekł, rozpinając hawajską koszulę, która zakrywała jego obcisłe spodenki kąpielowe. Sabrina zauważyła, że Perry bardzo dba o swoje ciało. Jak na kogoś, kto pracuje w banku, wyglądał na wysportowanego. Zapewne, jak wiele osób, ćwiczył w siłowni.

Tymczasem Perry zdjął okulary i zawinął je w kwiecistą koszulę, po czym wszystko razem złożył u stóp Sabriny. Uśmiechnął się przeproszająco, jakby składał drobną ofiarę.

- Popływasz z nami, Sabrino? - spytał pełen nadziei.

- Chyba nie, dziękuję - odparła uprzejmie, czując milczącą dezaprobatę Jake'a. Powinna była przyjąć zaproszenie Perry'go na złość Jake'owi. Ale ta gra jakoś nie wydała jej się warta świeczki. Drobny akt oporu doprowadziłby tylko do tego, że Jake wygłosiłby jej później irytujące kazanie. Tak przynajmniej tłumaczyła sobie swoje zachowanie, kręcąc głową. Było jej o wiele łatwiej przyjąć takie wyjaśnienie, niż pogodzić się z myślą, że podświadomie zaakceptowała prawo Jake'a do jej osoby.

Bez okularów Perry nie wyglądał tak nieśmiało i powściągliwie, pomyślała, odprowadzając go wzrokiem, gdy szedł obok wysokiej, proporcjonalnie zbudowanej Larissy. Towarzystwo jednej z najatrakcyjniejszych kobiet nad basenem także go nie onieśmialo.

- Myślałem, że już nigdy sobie nie pójda - mruknął Jake. - Napijesz się czegoś?

- Uhm. - Sabrina oparła plecy i zgięła nogę w kolanie. - Najchętniej mrożonej herbaty.

Jake skinął głową.

- Zaraz wracam.

Mimowolny uśmiech błąkał się na ustach Sabriny. Patrzyła, jak Jake na bosaka kroczy w stronę obleżonego baru na końcu basenu. Swój męski wdzięk i gibkość zawdzięczał zapewne treningom i sztukom walki. Ujawniał je nie tylko na parkiecie, ale także gdy się odwracał, podnosił czy siadał. Oraz, co znakomicie pamiętała, kiedy się z nią kochał. Czym prędzej odwróciła wzrok. Jake właśnie do niej wracał.

Jej spojrzenie padło na zawiniątko u stóp leżaka. Bez żadnego wytłumaczalnego powodu pochyliła się, by dotknąć złożonej koszuli. Kiedy jej dłoń zamknęła się na rogowej oprawce Perry'ego, podniosła wzrok z poczuciem winy.

Perry i Larissa nadal pływali, z dala od niej, pod jednym z niewielkim mostów, które w kilku różnych miejscach wyginały się łukiem nad tym oryginalnym basenem. Poczucie winy Sabriny wzrosło, gdy przystawiła okulary do swoich oczu.

W rogowej oprawce nie było leczniczych szkieł, lecz zwykłe szkło. Czym prędzej zawinęła okulary w hawajską koszulę i odłożyła na miejsce. Zwykłe szkło. Biedny Perry. Pewnie sądzi, że w okularach w rogowej oprawce robi większe wrażenie.

Szkoda, że kieruje się takim błędnym przekonaniem. Bez okularów jego twarz była naprawdę bardziej... Sabrina szukała w myśli odpowiedniego określenia. Bardziej interesująca? Przystojna? Bardziej męska? Podała się. Skoro Perry chce nosić oprawkę ze zwykłym szkłem, to jego sprawa. Jej ciekawość została zaspokojona.

Jake nadszedł z zimnymi napojami, a Larissa i Perry pływali jeszcze chwilę. Potem porozmawiali wszyscy jakiś kwadrans. Sabrina z rezerwą przyglądała się Larissie popisującej się i wdzięczącej do Jake'a. Trudno nie

polubić tej kobiety, pomyślała cierpko. A jednak Jake nie wykazywał żadnego zainteresowania. Mimo to Sabrina miała już dość tej sytuacji. Być może, jak Perry, czuła się nieco onieśmielona z powodu własnej niepokążnej figury. Wysocy ludzie czasami działają na nerwy.

- Chodźmy, Jake - powiedziała stanowczo, podnosząc się z leżaka. - Chcę kupić muumuu w jednym z hotelowych sklepów na luau dzisiaj wieczorem.

Jeżeli Perry czy Larissa byli zaskoczeni, że Jake posłusznie wstał i zebrał ręczniki i książki, grzeczność nie pozwoliła im tego skomentować.

W końcu to Jake po chwili wygłosił komentarz.

- Mam niejasne poczucie, że bez większego trudu odegrałabyś rolę średniowiecznej damy. Czasami przypominasz mi niektóre z tych dam, o których rozmawiamy na seminariach Larissy - zauważył oschle, ruszając za nią ścieżką do hotelu.

- W naszych czasach kobieta rzadko znajduje się w tej korzystnej sytuacji, że ma mężczyznę, który przysiągł jej służyć i być jej posłusznym - przyznała rozbawiona.

- Przysiągłem ci służyć, Sabrino, ale jeśli chodzi o posłuszeństwo, nie radzę ci przekraczać pewnych granic.

- Czujesz się pantoflarzem?

- Pantoflarzami zazwyczaj nazywa się mężów. Ja nie należę do tej kategorii, prawda? - odparował.

Z jakiegoś powodu ta uwaga ją przygasiła.

- Nie - zgodziła się cicho. - Nie należysz.

W hotelowym butikiu z kolekcją barwnych muumuu, koszul hawajskich, kostiumów kąpielowych i strojów plażowych Jake wyglądał trochę nie na miejscu. Choć to raczej sklep do niego nie pasował.

Jake ma w sobie coś wyjątkowego, odróżniającego go od innych, pomyślała Sabrina, wskazując mu krzesło. Wydawał się absolutnie niezależny, samowystarczalny i zamknięty w sobie. To dość rzadkie cechy. Gdyby nie wiedziała o jego klaustrofobii, powiedziałyby, że ten człowiek niczego ani nikogo nie potrzebuje.

- Poczekaj tutaj, a ja to przymierzę - oznajmiła, zdejmując z wieszaka sześć kolorowych łąszków.

- Dobrze, proszę pani.

Kiedy zerknęła na niego podejrzliwie, uśmiechnął się.

Ściągnęła brwi i pospieszyła do przymierzami.

Gdy włożyła trzecią już z kolei muumuu, dała upust irytacji, która narastała od chwili, gdy przymierzyła pierwszą.

- Cholera, tego się właśnie obawiałam! - mruknęła dość głośno.

- Co się stało? - zawołał Jake. Sprzedawczyni kręciła się nerwowo w pobliżu.

- Wszystkie są za długie. Zawsze mam z tym problem, kupując gotowe rzeczy, chyba że szyję coś specjalnie dla siebie - odpowiedziała przez zasłonkę.

- Może mniejszy rozmiar? - zaproponowała z nadzieją sprzedawczyni.

- Wtedy będzie dobra na długość, ale za wąska w biuście - oznajmiła posępnie Sabrina.

- Wyjdź i pokaż się - odezwał się znów Jake.



Sabrina wyłoniła się z ponurą miną. Luźna suknia w stylu hawajskim, którą miała na sobie, była popularną wersją tradycyjnego stroju. Zwracała uwagę żywymi kolorami: czerwienią, fioletem i złotem. Poza długością, świetnie pasowała na Sabrinę. Jake przyjrzał się sukience.

- To twój rozmiar, tylko za długa, prawda?

- Obszedł ją, żeby zobaczyć suknię ze wszystkich stron.

- Bardzo mi się podoba, ale za długa - przyznała Sabrina. - Gdybym miała przybory do szycia i trochę czasu przed dzisiejszą kolacją, sama bym ją skróciła.

Sprzedawczyni pokręciła głową.

- Jeśli może pani poczekać do jutra, oddam ją do krawcowej.

- Nie, dziękuję, chciałam ją włożyć na dzisiejszy wieczór. Powinnam była pomyśleć o tym wczoraj - odparła Sabrina. - Hm, świat nie kręci się wokół ludzi mojego wzrostu. Zwłaszcza świat mody.

- Cóż to, czujemy się dzisiaj trochę niedopieczeni? - zażartował Jake.

Sabrina rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie, ale on już zwrócił się do sprzedawczyni.

- Ile by kosztowało znalezienie kogoś, kto zrobiłby poprawki dzisiaj po południu? - spytał grzecznie.

Sabrina patrzyła na niego zdumiona, a sprzedawczyni szybko oceniła sytuację. Liczyła, że klienci tak czy siak kupią muumuu. W końcu niewiele osób się przejmuje, czy taki wakacyjny strój leży jak ulał.

Jeśli jednak ten pan ma ochotę zapłacić za poprawki, kto by narzekał z tego powodu? Niemal bez zastanowienia wymieniła sumę, a Jake skinął głową.

Sabrina chciała zaprotestować, ale Jake pchnął ją lekko w stronę przymierzami.

- Idź się przebrać.

Kiedy wyłoniła się z maleńkiego pomieszczenia, Jake właśnie płacił za suknię.

- Jake! Nie musisz tego robić. Proszę cię, sama zapłacę.

Uśmiechnął się do kobiety za ladą, odwrócił się i wziął Sabrinę pod rękę.

- Już załatwione. Chodźmy. Pani chce się zająć poprawkami.

- Nie powinienesz być tego robić - rzekła cicho, gdy wyprowadzał ją ze sklepu. Myślała o stanie jego finansów: dość opłakanym wyglądzie pomieszczeń jego szkoły, jego skromnej garderobie. No i nie płacił za kosztowną muumuu kartą kredytową.

- Miałem na to ochotę - odparł. - Chciałem zrobić ci prezent.

- Och. - Skonsternowana nie wiedziała, co powiedzieć. - Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Natychmiast zaczęła się głowić, co można podarować ochroniarzowi, gdy skończy swoją pracę. Duży napiwek?

Muumuu pasowała doskonale, kiedy dostarczono ją do pokoju Sabriny pół godziny przed rozpoczęciem luau, hawajskiej uczyty. Jake patrzył na Sabrinę z nieukrywaną przyjemnością. Z satysfakcją pokiwał głową, wziął Sabrinę za rękę i poprowadził na dół.

Przy szwedzkim stole stało już kilkunastu uczestników seminarium, a także inni hotelowi goście. Luau urządzono na świeżym powietrzu, we wspaniałych ogrodach hotelu. Serwowano tradycyjne miejscowe potrawy: pieczoną na rożnie świnie, lomi-lomi, potrawę z łososia, cebuli i

pomidorów, i oczywiście osławione poi, które zajmowało honorowe miejsce na stole. Hotelowa kuchnia rozszerzyła ofertę o kilka potraw z innych wysp mórz południowych.

Sabrina nałożyła sobie potrawę warzywną mocno doprawioną papryką i zastanawiała się właśnie nad pieczonym bananem, kiedy podeszła do niej Larissa Waverly. Jake już dokonał wyboru i czekał cierpliwie przy odległym końcu stołu.

- Witaj, Larisso. Koniecznie spróbuj tego ananasowo-kokosowego musu. Jest przepyszny.

- Z twoją figurą możesz jeść, na co masz ochotę. Ja staram się ćwiczyć silną wolę, inaczej nie przetrwam tych dziesięciu dni - uśmiechnęła się Larissa. - Na pewno przyjemnie być taką szczupłą i drobną.

Sabrina ze zdziwieniem stwierdziła, że komplement był szczery.

- A ja właśnie myślałam, jak to miło, kiedy człowiek nie musi skracać wszystkich kupionych ubrań.

Larissa się zaśmiała.

- Zdaje się, że człowiek z natury jest ze wszystkiego niezadowolony. Chociaż o twoim Jake'u raczej bym tego nie powiedziała - dodała, unosząc brwi i patrząc w stronę Jake'a.

- Słucham?

- Daj spokój, Sabrino. Oczu od ciebie nie odrywa. To niewiarygodne. Tylko kiedy na ciebie patrzy, na jego twarzy pojawia się uśmiech, a w jego szarych oczach widać prawdziwą radość. Całą resztę nas, śmiertelników, obdarza spojrzeniem chłodnym i uprzejmym, które mówi: „Nie podchodź do mnie za blisko”. Zależy mu wyłącznie na tobie.

- Nałożyła sobie sałatkę z kiełków.

- Larisso, nie rozumiem... - wybąkała Sabrina.

- Ależ to oczywiste! - zawołała Larissa z żalem.

- Weź choćby tę dyskusję podczas zajęć przedwczoraj.

- Tak?

- On nie dyskutował ani ze mną, ani z pozostałymi słuchaczami, ale wyłącznie z tobą. Cała intelektualna strona tej kwestii kompletnie go nie obchodziła. Mówił do ciebie. Nadzwyczajny mężczyzna.

- Tak, to prawda. - Sabrina była oszołomiona, słysząc, jak Larissa postrzega sytuację. Ona też zauważyła uprzejmą maskę, jaką Jake przybierał, kontaktując się z całą resztą świata. I to od pierwszego dnia, kiedy się spotkali. Tylko dla dzieci i dla niej był inny. A jednak do tej pory nie zdawała sobie sprawy, że wszyscy to dostrzegają. Zaniepokoiła się, jakby los sprzysiął się przeciwko niej.

Kiedy podeszła do Jake'a kilka minut później, niosąc pełny talerz, Jake spojrzał na nią i spytał:

- Coś się stało?

- Nie, czemu? - Postawiła talerz na stoliku.

- To tylko przeczucie - mruknął tajemniczo. - Zjesz tego pieczonego banana?

Spojrzała w dół i zmarszczyła czoło.

- Raczej nie.

- Świetnie, bo ja je uwielbiam. - Wziął banana z jej talerza.

Sabrina patrzyła, jak banan znika, i zastanawiała się, co Jake jeszcze lubi prócz pieczonych bananów.

W dalszej części luau odbyły się występy w rytm tahitańskiej muzyki tanecznej i łagodniejszego, zmysłowego kołysania hawajskiego hula. Sabrina i Jake siedzieli razem w ciemności, oglądając popisy na scenie. Gdzieś w połowie hawajskiej pieśni weselnej Dryden pojawił się na końcu tłumu. Sabrina stwierdziła, że nie widziała go wcześniej. Potem poproszono na scenę ochotników z widowni. Artyści mieli nauczyć ich tańczyć hula.

- Świetna zabawa. - Sabrina zaczęła się podnosić, ale Jake schwycił ją za nadgarstek i pociągnął w dół.

- Siadaj, motyłu - burknął. - Nie pozwolę, żebyś robiła z siebie widowisko.

Kiedy zaczęła się oburzać, wśród ochotników dostrzegła Larisę. Z westchnieniem rezygnacji pomyślała, że nie ma ochoty znaleźć się na scenie obok tej idealnie zbudowanej kobiety. Zrezygnowała z dalszej walki.

Kilka minut później cieszyła się w duchu, że Jake ją zatrzymał. Do tej pory ludzie zdążyli już wlać w siebie sporo alkoholu, a gwizdy i okrzyki, jakimi dopingowano kilka pań uczących się hula, nie były miłe. Jake uniósł powoli brwi, z miną z serii: „A nie mówiłem?”.

- Nie bądź taki zadowolony - rzekła wyniośle. - Nie zamierzam przyznać ci publicznie racji.

Uśmiechnął się.

- Najważniejsze, żebyś miała tę świadomość. To mi wystarczy. - Wstał. - Chodźmy. Wracajmy do pokoju. Mam dość na dzisiaj.

Podniosła się z wahaniem, uznając, że Jake ma chyba słuszość. Z drugiej strony szkoda jej było tak wcześnie kończyć wieczór. Jeszcze nawet nie minęła północ.

- Przejdziemy się po plaży? - zaproponowała, gdy opuścili ogrody.

- To byłoby dosyć ryzykowne - odparł, kręcąc głową.

- Dlaczego? Ponieważ nie oprzesz mi się i skończy się pocałunkiem?

- W jej głosie zabrzmiało wyzwanie.

- Chodziło mi raczej o to, że będąc sami na plaży o tej porze, staniemy się łatwym celem - wyjaśnił.

Sabrina zaczerwieniła się. Cieszyła się, że w ciemności tego nie widać.

- To śmieszne. Nikt nas nie śledzi. Doskonale o tym wiesz.

- A jeśli cię śledzą? Nie dopuszczę do tego, żeby znaleźli cię spacerującą po plaży o północy - odparł.

Przy drzwiach pokoju Sabrina czekała, aż Jake włoży klucz do zamka. Wciąż rozważała w duchu rozmaite wymówki, żeby przedłużyć ten wieczór, i zastanawiała się, dlaczego ma na to taką ochotę. Jake otworzył drzwi. Nie musiał jej już przypominać, żeby chwilę zaczekała, aż on sprawdzi, czy wszystko jest w porządku. Kiedy przeszedł do swojego pokoju przez łączące apartamenty drzwi, Sabrina weszła do siebie.

- Cholera!

Zduszone przekleństwo z sąsiedniego pokoju dobiegło ją, gdy szeroko ziewnęła.

- Jake?

Podeszła do drzwi i zajrzała do środka. Jake klęczał na jednym kolanie przed swoją płócienną torbą.

- Co się stało?

Nie odwrócił głowy, skupiony na swoim bagażu.

- Ktoś przeszukiwał mój pokój.

- Przeszukiwał? Naprawdę? - Zafascynowana, przeszła przez próg.

Atmosfera była dziwnie napięta. W powietrzu czaiło się jakieś zagrożenie, które nie brało się jednak z wypowiedzianych właśnie zaskakujących słów. Ta groźba pochodziła od samego Jake'a. Sabrina wlepiła wzrok w pochyloną postać.

Kiedy Jake wstał i odwrócił się, z trudem przełknęła ślinę. Takiego go jeszcze nie widziała. W jednej sekundzie zrozumiała, dlaczego Teague powiedział jej matce, że Jake Devlin będzie dla niej najlepszym ochroniarzem.

Z pewnością nikt nie chciałby mieć w tym człowieku wroga. O niebo lepiej było go mieć po swojej stronie. Sabrina poczuła satysfakcję na myśl, że Jake jest jej sojusznikiem. W jego szarych, chłodnych jak morskie głębiny oczach widziała kontrolowaną siłę. Przeszły ją ciarki, choć przecież wiedziała, że nie musi się go bać. Każda zmarszczka na jego spiętej twarzy świadczyła o stanowczości i determinacji. Jego szczupłe, silne ciało miało w sobie moc polującego wilka. I ten człowiek cierpiał na bezsenność?

- Ktoś szukał czegoś w moim pokoju. Ktokolwiek to zrobił, wie, kim jesteś. Próbował dowiedzieć się, kim ja jestem i czy stanowią poważne zagrożenie. Mamy problem. Postawiłbym wszystkie swoje pieniądze, że to Dryden jest przyczyną tego problemu. Zadzwoń do Teagua'a.

- Myślisz, że Dryden nas śledził? Aż do hotelu? - wydusiła przestraszona, gdy Jake przysiadł na skraju łóżka i sięgnął po telefon.

- Dryden bardzo się tobą interesuje. Musisz przyznać, że to dziwny przypadek, że leciał na

Hawaje tym samym samolotem, co my, kilka rzędów dalej. Ponadto, kiedy nie odgrywa roli skromnego urzędnika bankowego, dostrzegam coś dziwnego w sposobie, w jaki się porusza. Nie podoba mi się to.

- Od początku uprzedziłeś się do niego.

- Tak, masz rację. Ten człowiek nie ma większego pojęcia o średniowieczu niż ja. Słyszałaś, co mówił na seminarium. Nigdy nie wniósł do dyskusji nic oryginalnego ani nowego. Po prostu inaczej ubiera w słowa to, co wcześniej usłyszy.

- Nie miałam pojęcia, że tak pilnie słuchasz - mruknęła szyderczo.

- A zauważyłaś, że na dzisiejszym luau pojawił się dosyć późno? Co mówił ci tego popołudnia na plaży, jak budowałem z dziećmi zamek z piasku?

- Próbował wyciągnąć ode mnie coś na twój temat - przyznała z ociąganiem.

- Tak myślałem. Powiedziałaś mu coś? - spytał z ponurą miną.

- Oczywiście, że nie. Kto miałby chęć przyznać, że snuje się za nim ochroniarz? To w złym guście.

- Sabrina zawahała się, coś sobie przypominając.

- Nie wiem, czy to ważne, ale Perry nie nosi leczniczych szkieł.

- Co takiego, do diabła? - Przestał wybierać numer i przyszpilił ją wzrokiem.

Skinęła głową zakłopotana.



- To pewnie nic nie znaczy. Może nosi okulary, żeby robić wrażenie, no wiesz. Przypadkiem to zauważyłam, dziś po południu, kiedy poszedł popływać z Larissą.

- Mały detektyw z ciebie, co? - Jego twarz rozjaśnił półuśmiech. Zdawało jej się, że słyszy prawdziwy podziw w jego głosie.

- A skoro już szukamy realnego kandydata do roli czarnego charakteru, proponuję Larissę Waverly. Wykazała ogromne zainteresowanie twoją osobą, pamiętasz?

- Pamiętam, ale sądzę, że możemy nie brać jej pod uwagę - stwierdził stanowczo.

- Dlaczego? Tylko dlatego, że jest wysoka i zbudowana jak gwiazda filmowa? - spytała uszczypliwie.

Ku jej zdumieniu kąciaki warg Jake'a uniosły się lekko w powściąganym uśmiechu.

- Nie. Już od roku była umówiona na prowadzenie tego seminarium. Poza tym cały dzisiejszy wieczór spędziła na luau.

- To jej nie wyklucza!

Ale Jake już wybierał numer i po krótkiej chwili rozmawiał z kimś z Los Angeles. Sabrina ściągnęła brwi, słysząc jego chłodny autorytarny ton.

- Nie obchodzi mnie, gdzie on jest. Ma telefon w samochodzie, prawda? I nosi przy sobie ten idiotyczny pager. Znajdź go.

Nie minęła minuta czy dwie i Teague się odnalazł. Jake zaczął bez zbędnych wstępów.

- Ktoś przyjechał za nami na Hawaje. Tak, mam jednego podejrzanego. Jeśli to się nie sprawdzi, będziemy musieli przejrzeć listę gości hotelowych. Tego gościa, o którym myślę, powinniśmy dość szybko

rozpracować. - Podał szczegółowy rysopis Perry'ego i wszystko, co o nim dotąd wiedział. - W tym momencie jest najbardziej prawdopodobnym kandydatem. Kiedy oddzwonisz do mnie z informacjami?

Na moment zapadła cisza, a potem Sabrina aż się wzdrygnęła, bo Jake wybuchnął:

- Jutro w południe?! Wykluczone! Chcę to mieć dzisiaj wieczorem. Wszystko, czego się dowiesz. Za dwie godziny! - Znowu zapadła cisza, a następnie Jake rzekł zdecydowanie: - Zdobądź je dla mnie, Teague. Nie dam ci więcej jak dwie godziny.

Rozłączył się ze złowieszczym cichym kliknięciem i siedział zamyślony, wpatrzony w noc za oknem.

Sabrina nie chciała mu przerywać, ale w końcu nie wytrzymała napięcia.

- I co, Jake? Co się dzieje? Co robimy?

- Ten ktoś bardzo profesjonalnie przeszukał mój pokój - rzekł powoli. - To nie jest robota jakichś szaleńców. Wszystko wygląda tak, jak wyglądało, zniknął tylko włos, który zostawiłem na zamku swojej torby.

- O Boże!

- Co rodzi pewnie ciekawe możliwości – ciągnął zadumany. - Do tej pory Teague zakładał, że pogróżki wysyła jakaś grupa radykałów. - Urwał i spojrzał na nią z nieprzeniknioną miną. - Prześpij się. Musimy poczekać dwie godziny. Tutaj jesteśmy dość bezpieczni. Wewnętrzne zamki są dobre, uważam zresztą, że jeśli ktoś zechce cię porwać, zrobi to na zewnątrz. Prawdopodobnie podczas jednej z wycieczek, na które nas zapisałaś. Może jak wybierzemy się obejrzeć wulkan.

- Mam się przespać? Żartujesz chyba? Tyle się dzieje, nie zmrużyłabym oka - krzyknęła.

- Połóż się - powtórzył, wstając. - Musisz trochę odpocząć.

Nagle górował nad nią.

- To typowe. Wysocy zawsze wykorzystują swój wzrost, żeby zastraszyć niższych - warknęła Sabrina, po czym zakreśliła się na pięcie i ruszyła do swojego pokoju. Z wściekłością zatrzasnęła łączące apartamenty drzwi.

RS

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Jake otworzył te same drzwi niecały kwadrans później. Sabrina stała na balkonie, w jej pokoju panowała ciemność. Rozmarzona patrzyła na posrebrzony księżycem ocean i nie odwróciła się, słysząc kroki Jake'a.

- Widzę, że nie zamierzasz mnie posłuchać i zdrzemnąć się chwilę? - zagadnął.

- Oczywiście, że nie, nie jestem pięcioletnim dzieckiem. Jak możesz oczekiwać, że zasnę w takiej sytuacji? - Nadal stała do niego plecami.

- Jesteś na mnie zła, motylku? - spytał, podchodząc bezszelestnie i zatrzymując się tuż za nią. - Wybacz, jeśli przed chwilą byłem trochę zbyt obcesowy. - Nie dotknął jej, ale Sabrina czuła jego obecność.

- Naprawdę uważasz, że ktoś nas śledzi? Czy ten włos nie mógł po prostu ześliznąć się z torby? W twoim pokoju wszystko leży na miejscu - zauważyła pełna wątpliwości. - Może reagujesz przesadnie.

- Uwierz mi. Wiem, co robię - rzekł oschle.

- A twój przyjaciel Teague? On też wie, co robi? Czy moja matka jest bezpieczna?

- Tak, on jest naprawdę świetny w swoim fachu. Jest jednym z najlepszych. Twoja matka jest w bardzo dobrych rękach.

- Czy jest dość dobry, żeby znaleźć coś na temat Drydena w ciągu dwóch godzin?

- To się zobaczy.

- Dlaczego Teague robi, co mu każesz? - Sabrina nadal patrzyła na morze, zastanawiając się nad tym, w jaki sposób Jake rozmawiał z człowiekiem, dla którego ponoć pracował.

Jake nie odpowiedział, więc podjęła zaciekawiona.

- Kto tutaj wydaje polecenia?

Po kolejnej chwili pełnej zadumy ciszy Jake odezwał się wreszcie.

- Teague błędnie sądzi, że jest mi winien przysługę.

- Jaką przysługę?

- Zawsze jesteś taka wścibska?

Tylko jeśli chodzi o ciebie, odpowiedziała w myśli. Widzisz, Jake, podejrzewam niestety, że zakochałam się w tobie. I to mnie najbardziej przeraża tego wieczoru.

Ale nie mogła przecież powiedzieć tego głośno. Nawet w duchu trudno było jej się do tego przyznać. Wlepiała wzrok w rozświetloną księżycem noc, świadoma, że nigdy w życiu nie czuła się tak potwornie przerażona.

- Nie możesz mieć mi za złe, że w takich okolicznościach zadaję pytania - wydusiła drżącym głosem.

- Nie, chyba nie - westchnął. - Więc Teague'owi zdaje się, że jest mi coś winien, ponieważ to jego pierwotnie wyznaczono na tę ostatnią wyprawę ze złotem. W ostatniej chwili coś wypadło i odsunięto go od tej operacji. Zlecono ją mnie.

- O mój Boże. - Sabrina znieruchomiała, zacisnęła palce na żelaznej balustradzie. Przez chwilę nienawidziła nieznanego jej Teague'a. Gdyby to on pojechał wówczas do tego okrutnego kraju, Jake nie przeszedłby przez piekło więzienia.

- Moja słodka Sabrina - szepnął Jake, nieco rozbawiony. - Żałujesz mnie? - Dotknął jej ramienia i poczuł, jaka była spięta.

- Nie, wcale - odparła z werwą, czując jego dotyk, tak lekki i tak kuszący na jej nagiej skórze. - Ale w pełni zgadzam się z Teague'iem. Jest ci winien nie lada przysługę.

- Ależ skąd. Tamtej nocy to był przypadek, po prostu pech. Przyznaję jednak, że dziś wieczorem wykorzystuję jego poczucie winy, żeby nie ociągał się z poszukiwaniem informacji.

- Przez wzgląd na mnie?

- Przez wzgląd na nas. Oszalałbym, gdyby coś ci się stało, motyłu, nie rozumiesz? - Jego dłoń przesunęła się na kark Sabriny.

Miała ochotę oderwać się od balustrady i rzucić się w jego ramiona. Dobry Boże! Naprawdę się w nim zakochała. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie przeżywała. Było zupełnie inaczej niż w jej poprzednich związkach. Co prawda, teraz też czuła się słaba, bezradna i bezbronna, a obiecała sobie, że nigdy więcej do tego nie dopuści.

Tego wieczoru emocje były jednak silniejsze, niż mogłaby sobie wyobrazić. Ale były też inne, odmienione. Paradoksalnie towarzyszyła im niespodziewana moc. Warto było zaryzykować. Ta świadomość dawała Sabrinie nieznaną jej kobiecą siłę. Zamknęła oczy i oparła głowę o pierś Jake'a. Wciąż stał za jej plecami. Objął ją i przytulił mocno.

- Boisz się? - spytał cicho.

- Nie, nie boję się. - Wiedziała, że pytał o jej uczucia do niego, a nie o potencjalnie niebezpieczną sytuację, w jakiej się znaleźli. - Ja... ja tylko jestem przezorna. Asekuruję się. Och, Jake, umieram ze strachu!

Odwróciła się i ukryła twarz w jego koszuli, tłumiąc płacz.

- Kochanie. - Dotknął jej pleców z nieskończoną czułością. - Nie potrafisz mi choć trochę zaufać? Ja ci zaufałem. Powiedziałem ci coś,

czego nikomu dotąd nie zdradziłem. Jeżeli obdarzysz mnie zaufaniem, uszanuję to, tak jak ty uszanowałaś moje zaufanie.

Przywarła do niego, świadoma, że przekracza granicę, której przysięgła sobie nie przekraczać. Wiedziała, że jeżeli popełnia błąd, skutki tego błędu będą dla niej traumatyczne. W ciągu paru dni ten mężczyzna zaczął znaczyć dla niej więcej niż którakolwiek ze znanych jej osób.

Ostrożnie, z sercem przepelnionym miłością, zrobiła ten karkołomny krok.

- Ufam ci, Jake - szepnęła. Już wkrótce, pewnego dnia nadejdzie pora na to, żeby powiedzieć mu, że bardzo go kocha. Na razie pragnął usłyszeć tylko tyle.

I chyba jej słowa rzeczywiście go usatysfakcjonowały. Pochylił głowę i szeptał jej do ucha:

- Kochanie. Mój czarujący, nieskończenie piękny mały motylu. Wiem, że wydaję ci się irytujący i pozbawiony wyobraźni, nie znam się na dworskich romansach, ale przysięgam, że się tobą zaopiekuję. Tylko mi zaufaj, Sabrino.

- Tak, Jake.

Przytulił ją mocniej, a słowa, które wymawiał szeptem, zamieniły się w pocałunki, najpierw delikatne, a z każdą chwilą coraz bardziej namiętne. Sabrina czuła jego pożądanie i walkę, jaką toczył, by nad nim zapanować.

Ale gdy jego wargi przeniosły się z jej pachnących włosów na koniuszek jej ucha, a potem usta, zrozumiała, że w tym momencie siła woli Jake'owi nie wystarczy.

- Mamy dwie godziny - powiedział. - W tym pokoju jesteśmy bezpieczni. Tak bardzo cię pragnę. Pragnę cię cały dzień, od rana. Czy nadal każesz mi na siebie czekać?

- Nie, Jake - wyszeptała, dając mu jedyną możliwą odpowiedź. Jak mogłaby go odtrącić? - Nie, Jake, to już nie ma znaczenia. Ja też cię pragnę.

- Nie dziw się temu tak bardzo - odparł ze śmiechem. - Obiecuję, że uzależnisz się od tej namiętności. - Pocałował ją w usta, niespiesznie i zapamiętał.

Może to atmosfera zagrożenia, jaka ich otaczała, a może fakt, że Sabrina zaakceptowała swoje uczucia do Jake'a - cokolwiek to było, nagle stwierdziła, że dłużej nie może czekać. Częściowo to Jake zaraził ją tą niecierpliwością. Zdawało się, że obydwójce dążą do przypieczerowania nowego, kruchego jeszcze porozumienia.

Sabrina nie opierała się żądaniom Jake'a; rozchyliła wargi i pozwoliła mu na pocałunek, który ją rozpalił. Przyłgnęła do niego, kładąc dłonie na jego pośladkach.

Nie odrywając swoich warg od warg Sabriny, Jake wziął ją na ręce i zaniósł do ciemnej sypialni.

- Położę cię w moim łóżku, motylu - rzekł, kładąc ją w poprzek łóżka. - Masz jakiś specjalny dar. Przy tobie zapominam o wszystkim poza tym, jak bardzo cię pragnę.

- Naprawdę? - wyszeptała rozmarzona, z głową na jego ramieniu. Powoli uniosła rękę i wplotła palce w jego ciemne włosy.

W odpowiedzi powrócił do gorącego pocałunku, który zaczął się na balkonie, równocześnie po omacku odnajdując suwak jej muumuu. Sabrina nie protestowała, gdy barwna suknia rozchyliła się, a potem zsunęła, aż ostatecznie wylądowała na podłodze przy łóżku. Jej obnażone



piersi rozkwitały pod jego spojrzeniem, ale Jake rozebrał ją zupełnie, nim pozwolił sobie ich dotknąć.

Potem, mocując się z guzikami jego koszuli, Sabrina nie bez kłopotów pozbawiała go ubrania. W końcu Jake musiał ułatwić jej zadanie. Stał obok łóżka i zdjął dzinsy i miękkie zamszowe buty. Potem został tak jeszcze przez chwilę zapatrzony w kobietę leżącą w plamie księżycowego światła.

Sabrina spoglądała na niego spod ciężkich powiek. Wydawał jej się ideałem. Tak bardzo męski, jednocześnie silny i czuły. To odurzające połączenie.

- Jesteś piękny - szepnęła z zachwytem.

- Nie - zaprzeczył łagodnie. - Przy tobie czuję się dziwakiem, odmieńcem, głupcem. To ty jesteś piękna, mój śliczny motylu. Pełna barw i życia. A kiedy trzymam cię w ramionach, dzięki tobie staję się piękny.

- Chodź do mnie - zaprosiła go, wyciągając rękę.

Nachylił się nad nią z czułością. Przez chwilę leżał nieruchomo, żeby poczuła, jak bardzo jej pragnie. Potem zsunął się nieco i zaczął obsypywać pocałunkami jej drobne jędrne piersi. Kiedy krzyknęła, nie panując nad sobą, delikatnie skubnął je ustami.

- Och, Jake! Kochany! - Zacisnęła palce na jego ramionach. Potem jej dłonie dotarły aż do twardych pośladków. Wbiła paznokcie w jego skórę.

- Motyl z pazurkami - zauważył ochryplym głosem. Poczuela jego dłoń błądzącą po jej ciele, rozpalającą jej zmysły. Sabrina jęknęła i poruszyła biodrami.

A gdy palce Jake'a wyruszyły na poszukiwanie najbardziej intymnych i wrażliwych miejsc, Sabrina odnosiła wrażenie, że intensywność doznań ją przerasta. Jake przywarł wargami do jej warg. W jednej chwili poczuła się, jakby była napiętą cięciwą łuku.

- Proszę, Jake, błagam.

- Tylko tego pragnę, kochanie. Zadowolić cię. - Poglaskał jej ramię. - Co sprawi ci przyjemność?

- Wszystko, cokolwiek zrobisz. Wiesz doskonale, jak i gdzie mnie dotykać - powiedziała zdławionym szeptem, pokrywając pocałunkami jego szyję.

- Ty też świetnie odgadujesz moje potrzeby - szepnął. Wsunął dłoń pod wewnętrzną stronę jej uda. Zdawało jej się, że to jakieś czary.

Wtulala się w niego, wyginała, poddając się temu, co podpowiadał jej instynkt. Jej dłonie poznawały zakamarki jego ciała. Jake uwięził jej stopy, przyciskając je swoimi stopami, jedną jak najdalej od drugiej. Powoli, z nieskończoną delikatnością doprowadzał ją do szaleństwa.

- A teraz powiesz mi, czego pragniesz? - namawiał ją, obdarowując ją pieśczołą nie do opisania.

- Pragnę ciebie - wyszeptała, świadoma, że Jake jest już tak blisko i że to tak niewiarygodnie obiecujące. Minionej nocy doświadczyła już podniecenia związanego właśnie z tym mężczyzną, i tylko z nim.

- To wystarczy - rzekł z satysfakcją. - Boże, jesteś dla mnie stworzona, motylu. - Zacisnął lekko zęby na jej ramieniu.

Już nie mogli być bliżej. Sabrina, której zakręciło się w głowie, pomyślała, że zupełnie traci nad sobą kontrolę.

Automatycznie przyłgnęła do niego, poddając się rytmowi, który jej narzucił. Jej napięcie rosło, bała się, że zaraz wybuchnie. Jake zakrywał ją swoim ciałem, przyciskał swoim ciężarem. Była jak motyl schwyty w siatkę, z której nie było ucieczki. Zaplątała się w niej, osłabła. Ale nie czuła się przegrana.

- Sabrino! - krzyknął Jake w chwili najwyższego napięcia. Wsunął ręce pod jej biodra i uniósł ją, znów dotykając tego najwrażliwszego miejsca.

Sabrina zacisnęła powieki, była u kresu wytrzymałości. Jake natychmiast to wyczuł. Jak przez mgłę słyszała jego namiętne szepty, czuła dotyk jego rąk.

Nie miała pojęcia, co uczynił potem, ale nagle wydało jej się, że wszystko dokoła eksploduje.

- Jake! O mój Boże! Jake!

Jej ciałem wstrząsały dreszcze, fala za falą, przepływając na Jake'a. Niemal w tej samej chwili on również dotarł do szczytu rozkoszy, w jaśniejącym, roziskrzonym świetle zmysłów. Sabrina obejmowała Jake'a z całej siły, gdy razem spadali w dół przez chmury.

Nie od razu doszła do siebie, wciąż była jak odurzona. A gdy w końcu zdołała podnieść powieki, ujrzała, że Jake na nią patrzy. Leżał obok, wciąż trzymał ją w ramionach. Spotkali się wzrokiem. Szara głębia jego oczu nigdy nie wydawała jej się tak ciepła i przyjazna.

Kiedy tak mu się przyglądała, uśmiechnął się.

- Wygląda na to, że przy tobie nie panuję nad sobą - powiedział cicho, kręcąc głową. - Że też musiałaś mnie uwieść akurat teraz! Czekam na ważny telefon, mój pokój został przeszukany przez obcych i pewnie

niebezpiecznych ludzi, powinienem w tej chwili siedzieć i układać jakiś plan. A ja leżę w łóżku z moim motylem.

- To nie moja wina. - Jej szelmowski uśmiech miał nieodparty urok.

- Ależ twoja - odparł. - A najgorsze, że powinniśmy mieć teraz prawo przez resztę nocy rozmawiać. O tym, jak bardzo mi ufasz i jak pięknie fruniesz w moich ramionach. Zamiast tego musimy czekać na telefon od Teague'a, a potem coś zaplanować.

Przewrócił się na bok, splatając palce z jej palcami, i wyciągnął się leniwie, patrząc w sufit.

- O tylu sprawach musimy porozmawiać - rzekł z powagą.

- Tak? - Czy chciał rozmawiać o czymś więcej poza zaufaniem?

Może o miłości?

- Tak. O przyszłości. Ale dziś w nocy nie ma na to czasu. Nie ma czasu. - Wypuścił powoli powietrze, zamykając na moment oczy, a potem je otworzył i znowu patrzył na ciemny sufit. - Nie powinienem był zapominać się dziś wieczorem.

Sabrina zmarszczyła czoło i przysunęła się do niego.

- Mówiłeś, że mamy dwie godziny - przypomniała mu niepewnie.

Skrzywił się.

- Rozpaczliwie szukałem jakiegoś pretekstu, żeby się z tobą kochać. Zdesperowany facet nie musi daleko szukać. - Usiadł nagle. - Chodź. - Klepnął jej nagie udo z zaborczością, do której Sabrina nie umiała się ustosunkować. - Weźmiemy prysznic, a potem, czekając na telefon Teague'a, spakujemy się.

- Spakujemy się? Czemu mielibyśmy się pakować, na Boga?

- Ponieważ instynkt podpowiada mi, że powinniśmy wynieść się stąd dzisiaj w nocy. Zejdę na dół i poproszę w recepcji, żeby załatwili nam samochód z wypożyczalni.

- Jake, nie! - Sabrina podniosła się na kolana. Jake płynnym ruchem wstał z łóżka.

- Nie kłóć się, kochanie. - Pochylił się i musnął wargami czubek jej nosa. - Rób, o co proszę, dobrze? To mnie płacą za to, żebym podejmował istotne decyzje, prawda?

Kiedy patrzył na jej uniesioną twarz, w jego oczach była łagodność, ale tylko w oczach. Wyraźnie postanowił wziąć sprawy w swoje ręce, a Sabrina nie bardzo wiedziała, jak go powstrzymać. Kiedy chwycił ją za nadgarstek i pociągnął, żeby wstała i poszła do łazienki, próbowała odzyskać panowanie nad sytuacją.

- Sam mówiłeś, że w pokoju jesteśmy bezpieczni, że nic nam tu nie grozi. Nie rozumiem, dlaczego musimy uciekać w środku nocy. Nie wiemy nawet, co się tutaj dzieje. Nadal uważam, że możesz się mylić co do tego przeszukania w twoim pokoju. Jeden włos to doprawdy niewystarczający dowód. A jutro jest seminarium Larissy. Nie chcę go stracić. Sam wiesz, że wakacyjne seminarium wcale nie jest tanie.

- Porozmawiamy o tym później - obiecał, odkręcając kurki pod prysznicem, i zdecydowanie pociągnął ją za sobą. - Na razie zaufaj mi. Mówiłaś, że będziesz mi ufać.

Sabrina nie miała okazji do dyskusji. Jake najpierw namydlił swoje ciało, potem Sabrinę, następnie spłukał z siebie pianę.

- Nie spiesz się, muszę zadzwonić - rzekł, wychodząc spod prysznicza.

Nieco urażona, stała pod pulsującym strumieniem wody i zastanawiała się, co się stało z romantycznym nastrojem.

- Facet przestaje być romantyczny, kiedy już dostanie to, czego chciał - mruknęła gorzko pod nosem.

Drzwi kabiny otworzyły się nagle, a za nimi stał Jake owinięty ręcznikiem wokół bioder.

- Słyszałem. - Jego oczy lśniły wyzywająco.

- No i co? - odparła.

Zrobił krok naprzód i wyciągnął się, żeby ją pocałować.

- Nigdy nie obiecywałem ci dworskiego romansu, kochanie. Nie mam zielonego pojęcia o takich romansach. Ale teraz należysz do mnie i przyrzekam, że się tobą zaopiekuję. Kiedy to wszystko się skończy, motylu, zamieszkać z tobą.

Wlepiła w niego wzrok i otworzyła usta.

- Co takiego?

Drzwi kabiny prysznicowej zaniknęły się z powrotem, nim zażądała wyjaśnień. Sekundę później zamknęły się również drzwi łazienki. Sabrina została sama ze strumieniem wody i pocałunkiem Jake'a na mokrych wargach.

Celowo opóźniała wyjście spod prysznic. Mówiła sobie, że potrzebuje czasu do namysłu. Guzdrała się, stojąc pod gorącą wodą, a kiedy wreszcie wyszła z kabiny, wycierała się bez końca.

On chce z nią zamieszkać? Tak po prostu?

Cóż, a czego się spodziewała? Propozycji małżeństwa?

Szczerze mówiąc, zawczasu tej kwestii nie przemyślała. Wszystko działo się tak szybko, że czuła się zdezorientowana. Na domiar złego Jake

wydawał się nadzwyczaj pewny siebie, co podwójnie ją irytowało. Obiecała, że mu zaufa, i chyba tylko tego od niej oczekiwał.

Co do jednego miał rację, powiedziała sobie, owijając się ręcznikiem i wychodząc z łazienki. Muszą porozmawiać.

- Nigdy nie widziałem kobiety, która w tak fascynujący sposób piorunuje mężczyznę wzrokiem - oznajmił Jake, gdy otworzyła drzwi łazienki.

Położył swoją płócienną torbę na jej łóżku. Jej walizki już tam leżały, otwarte i gotowe do pakowania.

- Co robisz?

- A jak myślisz? Szykuję się do wyjazdu. Zabiorę tylko rzeczy z łazienki. Ubieraj się szybko. Obawiam się, że nie spakujesz się tak ekspresowo jak ja.

Nie czekał na odpowiedź. Przeszedł przez drzwi łączące ich apartamenty, kierując się do swojej łazienki. Sabrina patrzyła na niego przymrużonymi oczami. Jake był już ubrany. Schował portfel do tylnej kieszeni spodni.

Kiedy mijał łóżko, zadzwonił telefon na małym stoliku. Natychmiast sięgnął po słuchawkę, znikając z oczu Sabriny.

- W samą porę - usłyszała jego głos. - Co tam masz?

Zapadła cisza. Sabrina podeszła do swojego łóżka po dzinsy, które tam na nią czekały. Właśnie wkładała białe figi, gdy jej wzrok padł na wciąż niedomkniętą torbę Jake'a.

Później doszła do wniosku, że kiedy rozpiniała suwak bagażu Jake'a, by zerknąć do środka, kierowała nią ta sama kobieca ciekawość, która kazała jej obejrzeć okulary Perry'go. A może tym razem motyw był

bardziej osobisty. Chciała wiedzieć wszystko o mężczyźnie, który uznał ją za swoją.

W torbie zobaczyła porządnie poskładane ubrania. Na koszuli w kratę leżał dość oryginalny pasek i zniszczony skórzany portfel.

To portfel przyciągnął jej uwagę. Jake wsuwał przecież portfel do tylnej kieszeni spodni, wychodząc z jej pokoju dosłownie przed chwilą. Po co woził ze sobą dwa portfele? Ten drugi nie wyglądał na pusty, a raczej na dość długo używany, wypchany kartami kredytowymi, dokumentami i drobnymi monetami.

Sabrina nie mogła się powstrzymać. Pochyliła się i otworzyła skórzany portfel. Od razu zobaczyła prawo jazdy. Zdjęcie pochodziło sprzed kilku lat, ale niewątpliwie przedstawiało Jake'a.

Problem w tym, że pod fotografią widniało nazwisko Jason Stone. Kiedy usiłowała ogarnąć znaczenie swojego odkrycia, usłyszała płynący z sąsiedniego pokoju cichy, twardy głos Jake'a. Jej dłonie zastygły w bezruchu, gdy słuchała naszpikowanego przekleństwami fragmentu rozmowy.

- A co, do diabła, mam według ciebie zrobić z tą informacją? Zostać tutaj? Oczywiście, że zabiorę ją z tego hotelu. - Zapadła cisza, kiedy to Teague coś mówił po drugiej stronie linii, a potem znów Jake rzucił wściekle: - Mowy nie ma, Teague. Jestem za nią odpowiedzialny. Rozwiążę to w taki sposób, jaki uznam za najlepszy. W tej chwili uważam, że najlepiej, by znalazła się poza zasięgiem... Jeszcze nie wiemy, z czym mamy do czynienia... Co? Zwariowałaś? Dawne dobre czasy już minęły. - Głos Jake'a raził jak nóż. - Ty zajmij się wszystkim tam, a ja tutaj. Sabrinę zostaw mnie.



Rozmowa urwała się gwałtownie. Zaskakująco gwałtownie. Sabrina wciąż stała z portfelem w ręce, patrząc na niego z niedowierzaniem, kiedy Jake pojawił się w drzwiach.

Objął ją wzrokiem, owinięta w ręcznik, z rozczochranymi włosami i portfelem w zdrtwiałych palcach. Sabrina widziała, że był naprawdę wściekły.

- Znowu zabawiasz się w detektywa? - Podeszedł i zabrał jej portfel, wrzucił go z powrotem do swojej torby. Jego szare oczy były lodowato zimne, gdy prześliznął się po niej wzrokiem. Zadrżała.

- Ubieraj się. Nie trać już ani sekundy, rozumiesz? Za pięć minut masz być ubrana i spakowana, gotowa do wyjścia.

Niewiele brakowało, a bez pytania zabrałaby się do dzieła. Jake zamienił się w niebezpiecznego, budzącego postrach człowieka, gdzieś zniknął jej rozsądny uprzejmy ochroniarz. Była naprawdę przerażona, ale paradoksalnie ta świadomość dodała jej odwagi.

- Jake, chyba jesteś mi winien wyjaśnienie - zaczęła nieoczekiwanie spokojnym głosem.

- Potem - rzucił, sięgając po jej džinsy. - Musisz mi zaufać, Sabrino. Tak jak obiecałaś. Ubieraj się:

Niepewnie, gdyż jej stanowczość topniała pod wpływem jego determinacji, Sabrina wciągnęła džinsy. Kiedy opadł ręcznik, którym była owinięta, odwróciła się do Jake'a plecami i czym prędzej włożyła bluzkę. Zapinając ją, spostrzegła, że Jake wyjmuje z torby dziwnie wyglądający pasek.

- Co robisz? - spytała szeptem.

- Ubieram się, a co myślałaś? - Zapiął płaską czarną klamrę plecionego paska i wyszedł z pokoju do łazienki po swoje rzeczy.

Sabrina spojrzała na drzwi prowadzące do holu. Przemknęło jej przez myśl, że powinna uciec.

Wszystko się waliło. Jake się zmienił, stał się zimnym, twardym i przerażającym człowiekiem. A może naprawdę był kimś innym. W końcu dokument, który znalazła w starym portfelu, zaprzeczał temu, co mówił o sobie Jake.

Zdażyła przeczytać adres na prawie jazdy. Było to gdzieś w Kalifornii, a nie w Portlandzie w Oregonie. Przypomniała sobie jego skromnie umeblowane mieszkanie. Czy wyglądało tak, ponieważ w rzeczywistości wcale tam nie mieszkał? Jak długo prowadził zajęcia z samoobrony dla dzieci?

Sabrina wzięła głęboki oddech, przypominając sobie, jak Jake uśmiechał się do dzieci. I do niej.

Tego wieczoru nie widziała uśmiechu na jego twarzy. Kim jest ten tajemniczy Teague z Los Angeles? Po rozmowie z nim Jake Devlin przeistoczył się w faceta o zaciętej twarzy, który nie tolerował najmniejszego nieposłuszeństwa.

Wszystko, czego od niej chciał, to zaufanie.

Zaufanie, pomyślała Sabrina, kiedy wrócił do jej pokoju, to najbardziej lekkomyślny dar, jaki mogła mu ofiarować. To najbardziej lekkomyślny dar, jaki kobieta może ofiarować mężczyźnie. Zawierzyła swojemu ojcu, a on ją opuścił. Obdarzyła zaufaniem swojego byłego męża, a on ją oszukał.

Jake prosił, by z zaufaniem powierzyła mu swoje życie.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

Portfel!

Cholera, czemu był tak głupi? Jake karciał się w duchu, wymijając Sabrinę, żeby wrzucić do torby maszynkę do golenia i zasunąć suwak. Teraz nie było czasu na wyjaśnienia i rozmowy o jego starych zwyczajach, ani o tym, jak trudno się ich pozbyć. Niech to szlag!

- Chodźmy - rzekł rozkazującym tonem. - Musisz stąd zniknąć.

- Po co ten pośpiech? - spytała, stając naprzeciw niego, z lekko rozstawionymi stopami i rękami wspartymi na biodrach. - Co powiedział Teague? Dlaczego używasz dwóch nazwisk? O co tu chodzi, do cholery?

Patrzył na nią przez moment. Przypominało mu się ich pierwsze spotkanie. Potrafiła być w jednej chwili ujmująco słodka i miła, by za moment stać się zadziorna i wyniosła. Fascynująca kobieta. Ale teraz nie pora na fascynacje. Miał zadanie do wykonania, a to wymagało od niego panowania nad sobą i nad nią. Prawdopodobnie ich życie zależy do tego, na ile zdoła okiełznać swoją nieprzewidywalną klientkę.

- Wszystko ci wytłumaczę, jak przyjdzie na to czas. Teraz go nie mamy. Chodź, motylku, dzwonili z recepcji, że na dole już czeka samochód.

- Jeśli sądzisz, że wyfrunę w noc w błogiej nieświadomości, bez słowa wyjaśnienia - zaczęła wyzywającym tonem - to bardzo się mylisz.

Jake wciągnął nerwowo powietrze. Czasami nie ma czasu na dworskie maniery. Czy średniowieczni rycerze musieli kiedykolwiek uciekać się do siły i groźby, ratując z opresji damy swojego serca?

Zarzucił torbę na ramię i pochylił się, żeby podnieść jedną z walizek Sabriny, ale nie tę pełną książek. Tę muszą zostawić. Potem chwycił swojego motyla za kark.

- Idziemy.

Jego palce znalazły unerwione miejsce na jej karku. Sabrina syknęła z bólu. Jake nie chciał zrobić jej krzywdy, a jednak był w tym element przymusu. Wiedział, że Sabrina nie oprze się delikatnemu naciskowi. Wyczuła, że zaboli ją bardziej, gdyby nadal się upierała i próbowała z nim walczyć.

- Puść mnie! - prychnęła z furją, kiedy popychał ją stanowczo w stronę drzwi. - Pójdę z tobą, ale jeśli nie przestaniesz stosować tych swoich metod, tych swoich sztuczek, przysięgam, że zacznę tak krzyczeć, że usłyszą mnie w całym hotelu.

- Przepraszam - rzekł cicho, opuszczając rękę, ale obserwował ją bacznie, gdy ruszyła przed nim na korytarz.

- Za każdym razem, jak mnie przepraszasz, tylko bardziej się denerwuję.

- Na pewno nie tak, jak ja - odparował. Obejrzała się na niego. Jake ściągnął brwi.

- Dlaczego nagle zachowujesz się tak, jakby czas się skończył?

Potrząsnął głową, nie znajdując właściwych słów, by wyjaśnić obawy, które owładnęły nim tego wieczoru.

- Po prostu mam przeczucie.

- Jakie przeczucie?

- Takie, jak tamtej nocy podczas mojej ostatniej wyprawy ze złotem - odparł bez namysłu. - Że sytuacja nagle i gwałtownie się pogarsza. Że ktoś

popęłnił bardzo poważny błąd. Takie właśnie przeczucie. A teraz bądź tak dobra i przyspiesz kroku. - Celowo zmniejszył dystans między nimi, żeby szybciej zeszła po schodach do recepcji.

Samochód już na nich czekał. Był to wycieczkowy džip o dosyć nietuzinkowym wyglądzie, z ozdobionym frędzlami dachem i szybą tylko z przodu. A na dodatek powolny, pomyślał Jake, przeklinając w duchu, kiedy wziął kluczyki od recepcjonisty, który patrzył na nich z zaciekawieniem.

- Nie macie nic innego? - spytał Jake.

- Obawiam się, że nie, sir. To jedyny samochód, jaki można w tej chwili wypożyczyć, a nie dał nam pan wiele czasu - dodał recepcjonista znacząco.

- Moim zdaniem jest urokliwy - oznajmiła Sabrina, kiedy Jake wyprowadził ją na zewnątrz i kazał jej wsiąść do turystycznego džipa. Popatrzył na nią przez ułamek sekundy, zatrzasnąwszy drzwi z jej strony.

- Urokliwy? - powtórzył, rozbawiony mimo woli. - Chyba tylko ty mogłaś tak powiedzieć. Ten samochód rusza się jak mucha w smole, a na domiar złego jest tak dyskretny jak twoje żółte bikini.

Na szczęście nie urządziła sceny w holu, pomyślał z ulgą, obchodząc samochód i siadając za kierownicą. Miała skwaszoną minę, była na niego zła, ale nie panikowała, że tę noc spędzi z nim sam na sam. A przecież mogła krzyczeć wniebogłosy, gdy zeszli do recepcji. I co by wtedy zrobił? Uruchomił silnik i ruszył, zanim jakiś głupi pomysł wpadł jej do głowy.

- Jake! - starała się po chwili przekrzyknąć wiatr. Mały džip sunął wąską drogą wzdłuż linii brzegowej. - Teraz powiedz mi, o co chodzi. Co dokładnie powiedział ci Teague?

Nie spojrzął na nią, skupiony na prowadzeniu samochodu.

- Nic.

- Nic! I z powodu tego „nic” zabierasz mnie stąd po kryjomu w środku nocy? - wrzasnęła z niedowierzaniem.

- „Nic” może znaczyć cholernie dużo - odparł równie głośno, automatycznie zerkając w tylne lusterko. - Człowiek taki jak Dryden powinien zostawić jakiś ślad. Teague niczego nie znalazł. Nie było nawet jego nazwiska na liście pasażerów samolotu. Nie pracuje w żadnym banku w Portlandzie. Teague szuka dalej, ale nie będziemy siedzieć jak para kaczek, która spokojnie czeka, aż ktoś je ustrzeli. - Niezależnie od tego, co sugerował Teague, dodał w myśli.

- Dokąd jedziemy? - spytała znowu.

- Do Hilo. Złapiemy powrotny samolot. - Co to za stuki w silniku? Poczul je czy tylko słyszał?

- Jake, uważam, że robisz z igły widły - oznajmiła ponuro. - Poza tym jesteś mi winien wyjaśnienie dotyczące twoich dokumentów. Okazałam chyba wyjątkową wolę współpracy, biorąc pod uwagę twoje dość dziwne zachowanie dziś wieczorem. Chyba przyznasz, że...

- Zamknij się - rzucił. Cholera. To jakaś usterka silnika.

Niewiarygodny pech. Może coś z paliwem? Coś, co szybko minie? A może to akt sabotażu?

- Nie odzywaj się do mnie w ten sposób - krzyknęła Sabrina. - Mam cię już serdecznie dosyć. Byłam więcej niż cierpliwa i... - urwała, gdy silnik dzipsa zakasłał. - Co się stało?

- Wszystko - warknął Jake. Zerknął znów w tylne lusterko. Silnik padał, nie miał co do tego wątpliwości, a silniki, które padają w tak fatalnym momencie, kiedy ktoś ma szansę zniknąć, są wysoce podejrzane.

- Sabrino, posłuchaj - zaczął, poddając się i zatrzymując dżipa na poboczu. Gdy tylko silnik zakaszał po raz ostatni, odwrócił się i spojrzał na swoją klientkę. Patrzyła na niego przestraszona. Jake zacisnął dłoń na kierownicy. Nie było czasu na słowa pocieszenia czy usprawiedliwienia. Musiał słuchać głosu instynktu.

- Jake? - szepnęła drżącym głosem, siedząc nieruchomo.

- Musimy zostawić tu dżipa i wracać do hotelu. Oddaliśmy się nie więcej jak trzy kilometry, a bliżej nie znajdziemy pomocy. - Mówił powoli, wyraźnie, nie zostawiając miejsca na tysiące pytań, jakie chciała mu zadać. Odpowiadanie na jej pytania mogłoby teraz zakończyć się fatalnie. - Nie pójdziemy tą drogą. Będziemy się trzymali linii brzegowej i w razie konieczności kryli się za skałami i klifami, rozumiesz? Nie wolno ci wybiegać na drogę i machać na samochody, które mogą nas mijać. Trzymaj się mnie i rób dokładnie to, co ci każę.

Wiedział, że jest nieugięty. Wiedział też, że gdyby okazał najmniejszą słabość, Sabrina wykorzystałaby ją i domagała się natychmiast wyjaśnień i zapewnień. A on nie miał jej co powiedzieć.

- Jake? - szepnęła miękko, szukając odpowiedzi w jego spiętej twarzy.

- Ruszajmy. Zostaw wszystkie rzeczy. - Otworzył drzwi po swojej stronie i obszedł samochód. Chwycił za klamkę, ale Sabrina już zaczęła wsiadać.

- Jake, uważam... - zaczęła nerwowo, kiedy stanęła obok niego.

Położył dłonie na jej ramionach i lekko, ale znacząco nią potrząsnął.

- Sabrino, nie chcę żadnych kłótni, pytań, prośb. Dziś wieczorem robisz, co ci każe, a potem możesz mnie zwolnić. Czy to jasne?

- Jasne, w porządku - wycedziła, odsuwając się od niego. - Właśnie tak zrobię, kiedy skończysz zachowywać się jak idiota. Zrezygnuję z twoich usług.

- No i świetnie. Potem porozmawiamy o odprawie. Ruszaj się. - Złapał ją za nadgarstek i pociągnął w stronę cieni rzucanych przez skapane w świetle księżyca skały wzdłuż brzegu. Szum rozbijających się o brzeg fal zagłuszał wszystkie inne dźwięki. Jake cieszył się z tego. Gdyby stało się najgorsze, ten szum im się przysłuży.

Wolałby co prawda, żeby księżyc nie świecił tak jasno. Prowadził Sabrinę nieistniejącą ścieżką w stronę plaży. Widoczność była dobra, ktoś mógł ich zobaczyć. Dobrze, że przynajmniej nie zostawią śladów na skalistym podłożu.

Oddalili się już wystarczająco, by nie było ich widać z drogi, kiedy Jake usłyszał samochód nadjeżdżający z tej samej strony, z której przyjechali. Zamarł w bezruchu, a Sabrina, która szła po nierównej powierzchni, cały czas patrząc pod nogi, wpadła na Jake'a, tłumiąc przekleństwo.

Natychmiast zasłonił jej usta, przewidując, że zaraz zasypie go pytaniami. Sabrina stała uwięziona, a on nasłuchiwał. Samochód zwolnił. Zaraz się pewnie zatrzyma.

To znaczyło, że żarty naprawdę się skończyły. Jake odwrócił się, zlustrował skalisty brzeg i dokonał wyboru.



- Nic nie mów, Sabrino - szepnął jej stanowczo do ucha, opuszczając rękę. Popchnął ją w stronę przypominającego jaskinię wgłębienia w ścianie klifu. Sabrina ruszyła bez słowa, tylko jej orzechowe oczy patrzyły pytająco, a on po raz pierwszy dojrzał w nich cień strachu.

Chętnie wziąłby ją w ramiona i uspokoił. Wolałby, żeby na niego krzyczała, żeby mu powiedziała, że ani chwili dłużej nie zniesie jego aroganckiego zachowania. Chciał, by wszystko wróciło do normalności. Ale nie mógł na to liczyć, dopóki ta nowa sytuacja się nie wyklaruje.

Teraz najważniejsze, żeby Sabrina dokładnie wykonywała jego polecenia. Ale jak rozkazywać motylowi? - pomyślał smętnie, wpychając ją do niewielkiej jaskini, prowizorycznej kryjówki w potężnych skałach. Na szczęście Sabrina się nie buntowała. Przykucnął obok niej i ujął jej twarz w dłonie.

- Teraz zostawię cię tutaj i zajmę się Drydenem.

- Perry? To on jechał tym samochodem?

- Prawdopodobnie. Jeśli to nie on, to ktoś równie mało przyjemny.

- Nie chcę, żebyś sam stawał naprzeciw jakiegoś przestępcy - szepnęła, ogarnięta strachem.

- Kochanie, muszę go znaleźć, zanim on nas znajdzie - odparł spokojnie. - Ale proszę, żebyś dała mi słowo honoru, że zostaniesz w tej jaskini do mojego powrotu. Nie wolno ci ruszyć nawet koniuszkiem skrzydła. Rozumiesz?

- Nie - odparła, unosząc głowę.

- Sabrino, mówię poważnie.

- Nie chcę, żebyś sam szukał tego kogoś, ktokolwiek to jest.

- Do diabła, kobieto! Głupotą byłoby czekać, aż nas dopadną. Wolę samemu wybrać się na polowanie. Masz tutaj zostać i nie wyściubiać nosa, dopóki nie skończę. Nie brakuje mi zmartwień. Nie będę się jeszcze zastanawiać, gdzie jesteś, jak zacznie się strzelanina.

Sabrina pobladła jak ściana, jej twarz kontrastowała z ciemnymi skałami.

- Strzelanina? - powtórzyła struchląła.

Jake uprzytomnił sobie poniewczasie, że powiedział za dużo. Dolał tylko oliwy do ognia. Wziął głęboki oddech.

- Jest wysoce prawdopodobne, że ta osoba, nieważne, kto to jest, posiada broń. Ja dam sobie radę, ale nie wtedy, kiedy będę musiał myśleć o twoim bezpieczeństwie. Przyrzeknij mi, że nie wyjdiesz z tej jaskini.

Koniuszkiem języka zwilżyła wyschnięte wargi, jej oczy pociemniały.

- Zostanę tu tak długo, jak długo uznam za stosowne - zagrała na zwłokę.

Jake zdusił złość.

- Jak to się skończy, motyłu, stłukę cię na kwaśne jabłko. - Podniósł się. - Siedź tu i ani kroku dalej, Chyba, że chcesz, żebym zginął.

- Nie!

Uznał, że to jedyny argument, który ją przekona, chociaż nie był pewien, czy jest tego wart.

- To może się zdarzyć, jak zaczniesz się kręcić.

Sabrina zamknęła oczy, a kiedy podniosła powieki, zobaczyła, że Jake rozpiął czarną metalową klamrę tego dziwnego paska, który wsunął w szlufki swoich dżinsów. Przełożył go na szyję. Oznajmiła cicho:

- Dobrze, Jake. Daję ci słowo.

Miał chęć westchnąć z ulgi, ale nie zrobił tego. To nie o siebie się martwił, lecz o Sabrinę. Pochylił się, pocałował ją krótko, i znów się wyprostował. Zostało mu jeszcze jedno do powiedzenia.

- Sabrino, jeżeli to nie ja do ciebie przyjdę... - zaczął, szukając słów.

- Och, Jake!

- Jeśli to Dryden cię znajdzie - podjął w pośpiechu - nie opieraj się. Rozumiesz? Jestem przekonany, że on chce cię mieć żywą. Będziesz miała większe szanse na przeżycie, jeśli nie spróbujesz z nim walczyć ani uciekać. Rób, co ci każe. Teague przyjdzie ci z pomocą, kiedy zorientuje się, co się stało. Możesz mu zaufać. Dopóki Teague nie załatwi sprawy, bądź posłuszna Drydenowi.

Powiedział już chyba wszystko, co należy. Wymknął się po cichu z jaskini, w miękkich zamszowych butach stąpał bezgłośnie po skałach. Nie uszedł nawet kilku kroków, kiedy dobiegł go głos Drydena. Nie widział go. Pewnie wciąż był przy samochodzie, pomyślał Jake.

- Sabrino! Sabrino, słyszysz mnie? - Dryden usiłował przekrzyczeć szum fal.

Jake przycisnął się do ściany klifu, odwrócił się i zerknął na wejście do jaskini. Z tej odległości dostrzegał tylko siedzącą sylwetkę Sabriny. Podciągnęła kolana pod brodę i otoczyła je ramionami. Patrzyła na niego. Dryden znowu przerwał ciszę nocy.

- Sabrino, posłuchaj mnie. Znajdujesz się w wielkim niebezpieczeństwie. Człowiek, z którym podróżujesz, nie jest tym, za kogo się podaje. - Perry tak rozciągał każde słowo, by dotarło możliwie najdalej.

- Naprawdę nazywa się Jason Stone. To morderca. Najemnik, którego wynajęto, żeby cię porwał, kiedy jego klient da mu sygnał. Słyszysz mnie?

Jake nie ruszył się z miejsca, stał z dłońmi rozłożonymi na skale, ze wzrokiem wbitym w odległą postać Sabriny. Mój Boże! Co ona sobie pomyśli? O tym portfelu? O dokumencie na nazwisko Jason Stone? Co chodzi jej teraz po głowie? Nic nie mógł wyczytać z jej twarzy, bo jej dokładnie nie widział. W tej chwili nie miał najmniejszej szansy wytłumaczyć jej, co znaczył ten portfel. A Dryden wykorzystywał swoje odkrycie.

Jak dalece kobieta potrafi zaufać mężczyźnie, który prosił ją o to, by mu zawierzyła, ale którego ona zna tak krótko?

- Sabrino! - rozległ się znowu głos Drydena. Tym razem był bliżej. Zapewne szedł wzdłuż klifu. - On raczej nie jest uzbrojony. Jeśli nie ma broni, skorzystaj z pierwszej okazji i uciekaj. Ja będę cię krył.

Sabrina siedziała nieruchomo, patrząc na Jake'a zza przesłaniającej ją skały. Jake czuł się jak w pułapce. Jeśli Sabrina uwierzy Drydenowi i wybiegnie na plażę, nie będzie w stanie jej zatrzymać, zanim ten drugi ją wypatrzy. Czekał zdenerwowany i niepewny na jakiś znak. Gdyby znali się dłużej, miałyby więcej powodów, by mu ufać. Gdyby miał chociaż okazję wyjaśnić jej kwestię tego nieszczęsnego portfela.

Tej nocy wszystkie argumenty przemawiały za Drydenem. Jake'a najbardziej obciążał portfel.

Dryden widział go oczywiście, gdy przeszukiwał jego pokój. Zaryzykował zatem, uznał, że Sabrina da się przekonać do wyjścia z kryjówki, jeżeli dostatecznie ją nastraszy.

A co on, Jake, zrobił, żeby zagwarantować sobie zaufanie Sabriny tej nocy? Jeśli oceniać to obiektywnie, to przez cały czas ich znajomości albo wygłaszał jej kazania, albo starał się siłą wymóc posłuszeństwo. Albo się z nią kochał. Dlaczego kobieta miałaby zaufać mężczyźnie, który ma tak ograniczony repertuar i który wozi ze sobą dwa dokumenty tożsamości?

Dryden od początku wzbudził jej sympatię. Odpowiadał jej nawet jego wzrost. Miły mężczyzna o manierach owych mitycznych średniowiecznych rycerzy. Mężczyzna, który wydawał się zadowolony, adorując ją na dystans. W przeciwieństwie do mnie, pomyślał Jake, zaciskając zęby. On przecież zaciągał ją do łóżka przy każdej nadarzającej się okazji. Czy Sabrina zinterpretuje to jako dowód na to, że chciał ją wykorzystać? Przeklęty Dryden, przekłeta cała ta idiotyczna sprawa. W tym momencie Jake czuł się bezradny.

Tak bezradny, jak nigdy w tamtym koszmarnym więzieniu.

I wtedy Sabrina uniosła głowę w ciemności i posłała mu całusa.

Jake poczuł, jakby drzwi więziennej celi otworzyły się na całą szerokość. Nie potrafił nawet opisać, jak bardzo mu ulżyło. Powoli odsunął się od ściany klifu, nie odrywając wzroku od Sabriny. Wciąż się do niego uśmiechała. Nie wierzył własnym oczom. Bezgłośnie przesłała mu dwa słowa.

„Ufam ci”? „Kocham cię”? Nie był pewien. Ale jakie to ma znaczenie? Jeśli wypowiada je taka kobieta, znaczą dokładnie to samo. Jake nie wiedział, jak wyrazić jej swoją wdzięczność. Ale teraz nie pora na to. Kiwnął krótko głową, co niewątpliwie wypadło dość szorstko, i oddalił się od wejścia do jaskini, ruszając wzdłuż skał w kierunku, z którego płynął głos Drydena.

Wynajęto go do konkretnej roboty, a on czuł, jakby został wysłany z jakąś misją. Brakowało mu tylko ciężkiej zbroi i rumaka. Posiadał za to najważniejszy rekwizyt: damę, którą trzeba uratować.

Człowiek naprawdę długo pozbywa się starych nawyków. Cisza, w jakiej dążył w stronę swojego celu, była tego dowodem. Zamszowe buty przesunęły co najwyżej jakiś mały kamyk, kiedy Jake wracał na drogę, gdzie zostawił samochód. Dryden z pewnością przeszukał już jego bagaż i wiedział, że Jake nie ma broni.

Dryden zawołał jeszcze kilka razy, namawiając Sabrinę do opuszczenia kryjówki, ale najwyraźniej stwierdził, że nie pójdzie mu tak łatwo, jak się spodziewał. W chwili, gdy Jake skulił się za występem skalnym, skąd widział już dżipa, Dryden przestał przyzywać Sabrinę.

Obok dżipa stał ford. Po sprawdzeniu dżipa Dryden zapewne postanowił ruszyć na plażę. Świadomość, że tylko on jest uzbrojony, dodawała mu odwagi, stwierdził cierpko Jake. Kiedy Dryden zdążył wzdłuż klifu, broń w jego ręku połyskiwała w blasku księżyca. Nie był to rewolwer. Było to coś dużego i wyglądającego bardzo groźnie. Rewolwer to mało estetyczne narzędzie obrony i zniszczenia, pomyślał krytycznie Jake.

Chociaż musiał przyznać, że czasami bywa użyteczny. Gdyby tej nocy miał ze sobą broń, mógłby zlikwidować Drydena, którego sylwetka odcinała się wyraźnie na tle jasnej plaży. Mimo wszystko to dobrze, że Dryden przeszukał jego pokój i doszedł do wniosku, że Jake jest nieuzbrojony. Dzięki temu był mniej ostrożny i może dać się zaskoczyć.

Jake powoli skradał się szczytem klifu, obserwując swoją ofiarę na plaży poniżej. Dryden lustrował rozciągającą się przed nim skalną ścianę,

szukając jakiegoś znaku czy wskazówki, w którą stronę udali się Sabrina i Jake. Wiedział, że nie ma ich na drodze na górze, ponieważ nie mijali ich, jadąc tutaj. Wiedział też, że najbliższym bastionem cywilizacji był hotel.

Jake czekał cierpliwie, aż Dryden wreszcie przyjmie, że on i Sabrina zawrócili jednak w stronę-hotelu. W końcu stojący na plaży mężczyzna podjął decyzję. Ruszył brzegiem, z bronią wycelowaną w stronę klifu. Potem najwyraźniej postanowił raz jeszcze uciec się do metody psychologicznej.

- Chodzi mi tylko o tę kobietę, Stone, Devlin, czy jak się tam nazywasz. Uwolnij ją, a sam możesz zniknąć. Dalej, człowieku, nie warto dla niej ginąć. Przyślij ją na plażę. Zabiorę ją do samochodu, a ty możesz sobie wrócić do hotelu. Będziemy udawali, że nic się nie stało.

Mówił jeszcze więcej, obiecując Jake'owi bezpieczeństwo, jeśli ten odda mu Sabrinę. Jake zignorował jego słowa, trzymając się w cieniu i podążając za Drydenem. Potrzebował teraz jednej naprawdę dobrej szansy. Zdjął z szyi pasek, swoją tajną broń, i owinął nim rękę. Najlepiej będzie poczekać, aż Dryden zbliży się nieco do ściany klifu.

Jake zmrużył oczy, zdając sobie sprawę, jak blisko kryjówki Sabriny znajdował się Dryden. Mój słodki motylu, pomyślał, nie ruszaj się, niech ci nawet powieka nie drgnie. Czy Dryden dojrzy ciemniejszą plamę cienia, jaką było wejście do jaskini?

Skoro okazja się nie pojawia, musi sam ją stworzyć, stwierdził Jake, podnosząc z ziemi duży kamień. Przyklęknął za potężnym głazem stwardniałej lawy i rzucił kamień w przeciwnym kierunku niż jaskinia. Uderzenie było ledwie słyszalne, zagłuszone szumem fal.

A jednak zwróciło uwagę Drydena, który przyjął postawę strzelecką, ściskając broń obiema rękami, i wystrzelił trzy razy z rzędu.

Jake uznał, że lepsza okazja się nie nadarzy. Bez wahania posłał w powietrze pas z ciężką kłamrą.

Czarny pas z plecionego rzemienia uderzył w wyciągnięte nadgarstki drugiego mężczyzny, a metalowa kłamra zaskoczyła i zamknęła się z trzaskiem dokładnie tak, jak było to przewidziane, mocno kępując ręce Drydena. Dryden osłupiał. Wypuścił broń z niespodziewanie skrzepowanych rąk, gdyż pas w jednej chwili pozbawił go czucia, i zaczął krzyczeć w napadzie strachu i wściekłości.

Jake skoczył na niego, zanim Dryden uprzytomnił sobie, co się dzieje. Pognał w dół zbocza z prędkością atakującego tygrysa. Gdy tylko położył ręce na Drydenie, ten padł na kolana, a potem rozciągnął się na piasku nieprzytomny. Jake działał z jakimś śmiertelnie groźnym wdziękiem. Trwało to wszystko niecałą minutę.

- Jake!

Sabrina stanęła w wejściu do jaskini, obserwując scenę rozgrywającą się na plaży. Jake górował nad nieruchomym ciałem swojej ofiary, jakby bardzo chciał, żeby Dryden choć drgnął, by mieć przyjemność raz jeszcze pozbawić go przytomności.

Kiedy Sabrina wyszła z kryjówki, Jake gwałtownie odwrócił głowę.

- Widzę, że słuchasz moich poleceń na swój sposób - zauważył. - Nie mówiłem, że masz tam siedzieć, dopóki nie powiem ci, że jest bezpiecznie?



A jednak na jego wargach igrał uśmiech. Trudno było nie zauważyć, jak wielką ulgę przyniosło mu schwytnie Drydena, jak bardzo był odprężony.

- Kiedy to się skończy - poinformowała go wyniośle Sabrina - czeka nas długa rozmowa na temat twojego aroganckiego szowinistycznego zachowania. Sposobu, w jaki mną dyrygujesz. Ile razy mam ci przypominać, że to ty pracujesz dla mnie, a nie vice versa?

Puściła się biegiem, potykając się na piasku, i rzuciła się w jego ramiona. Przytuliła policzek do jego piersi.

- Och, mój Boże, Jake, tak się bałam, jak usłyszałam strzały. - Okładająca go drobnymi pięściami. - Nigdy w życiu tak się nie bałam. Żebyś mnie nigdy więcej nie stawiał w takiej sytuacji. Rozumiesz?

- Tak, proszę pani - szepnął, tuląc jej ciepłe szczupłe ciało. - Słyszę. - Potem przez całą minutę cieszył się jej bliskością.

A kiedy odsunął ją delikatnie, Sabrina podniosła wzrok.

- Co teraz? Zawieziemy Drydena na policję?

- Za chwilę - rzekł jakimś nieobecnym głosem. - Za chwilę.

Sabrina nie spuszczała z niego wzroku.

- Co masz na myśli? Trzeba go przekazać policji i zadzwonić do Teague'a, prawda?

- Najpierw musimy poznać kilka odpowiedzi, Sabrino.

- Odpowiedzi? - Zmarszczyła czoło, nie podobał jej się chłodny, tajemniczy ton Jake'a. Nie spodobała jej się także jego spięta twarz, jakby błędził myślami gdzieś daleko, patrząc na milczącego mężczyznę, który leżał na piasku. - Jake? Co ty chcesz zrobić?

- Wracaj do dżipa i zaczekaj tam na mnie.

- Nigdzie nie pójde, dopóki mi nie odpowiesz. Co zamierzasz zrobić z Perrym?

- Dowiedzieć się tego, co musi wiedzieć Teague - odparł ze znużeniem. - Wracaj do dżipa, zaraz przyjdę.

- Jake, nie chcę żebyś go torturował. - Sabrina nagle mocno się zaniepokoiła.

- Nie zostawię na nim śladu - obiecał jej oschle.

- Idź już.

Zirytowana ponad miarę, Sabrina tupnęła nogą.

- Jesteś najbardziej wkurzającym człowiekiem, jakiego znam. -  
Potem się odwróciła i ruszyła w stronę klifu.

Nie przystanęła, żeby się obejrzeć, gdy dotarła na szczyt; szła przed siebie, aż oddaliła się tak daleko, że nie słyszała, co dzieje się na plaży. Usiadła na przednim siedzeniu dżipa i tkwiła nieruchomo, z ramionami splecionymi na piersi, wlepiając gniewny wzrok w deskę rozdzielczą.

Życie, pomyślała posępnie, strasznie się skomplikowało od chwili, gdy spotkała Jake'a Devlina. Potem westchnęła bardzo głęboko. Jake był bezpieczny. Ona też była bezpieczna.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Wkrótce po wydarzeniach na plaży Sabrina szła korytarzem do swojego pokoju w hotelu. Nie była w najlepszym nastroju.

Ponury i prawie milczący Jake pojawił się z lekko oszołomionym Drydenem jakieś piętnaście minut po tym, jak posłał Sabrinę do samochodu. Sabrina obrzuciła Drydena badawczym spojrzeniem. Jake wepchnął go, związanego, na tylne siedzenie. Poza dziwnie wyczerpanym i smętnym wyrazem twarzy, jeszcze niedawno tak miłej, Dryden nie sprawiał wrażenia, że spotkała go wielka krzywda.

Na twarzy Jake'a z kolei pojawił się grymas gorzkiej satysfakcji. Wśliznął się za kierownicę i uruchomił silnik. Sabrina nie miała nawet ochoty pytać go teraz, jak wydobył z Drydena informacje.

- Nie patrz na mnie tak, jakbym pracował na pół etatu w lochu. - Tyle tylko powiedział dosyć łagodnym tonem, ruszając w stronę hotelu. - Kiedy przedstawiłem mu kilka faktów, sam chętnie mówił. Nie jest oszalałym radykałem. Jest profesjonalistą, który został wynajęty przez jakichś oszalałych radykałów. Nie ma ochoty na rycerskie i heroiczne zachowanie, żeby pójść za nich do więzienia w imię jakiejś sprawy.

- Więc nie jest nawet błędnym rycerzem? - Sabrina westchnęła z rezygnacją. - Jestem ogromnie rozczarowana, Perry - dodała, zerkając przez ramię.

Dryden raczej nie przejął się jej opinią. Siedział, gapiąc się stoicko przez okno.

W drodze do hotelu nie padło już ani jedno słowo. Jake był zamyślony, Perry nie miał ochoty na pogaduszki. Sabrina czekała z

rosnącym zniecierpliwieniem na koniec tej krótkiej podróży. Kiedy zatrzymali się na hotelowym parkingu, Jake kazał jej iść do pokoju.

- Muszę zadzwonić na policję i do Teague'a i pilnować Drydena, dopóki ktoś go nie zabierze. Idź do swojego pokoju. Przyjdę, jak tylko będę mógł.

Sabrina wzięła głęboki oddech.

- Nie - odparła po prostu. - Mam dosyć twoich rozkazów, Jake. Mam kilka pytań, a poza tym chciałabym być obecna, jak przyjedzie policja. Chyba rozumiesz. Nigdy w życiu nie przeżyłam tak ekscytującej przygody.

- Naprawdę? - Prowadził swojego więźnia przez hol. - Liczę, że nie zamierzasz więcej szukać podobnych podniet, skoro już je poznałaś. Osobiście wolę spokojniejszy styl życia.

Przypomniała sobie jego słowa wypowiedziane tego wieczoru. Oznajmił, że z nią zamieszka. Bez żadnego powodu uśmiechnęła się promiennie.

W końcu jednak, wkrótce po przyjeździe policji, wspięła się po schodach do swojego pokoju. Jake zatelefonował do Teague'a i poinformował Sabrinę, że jej matka się z nią skontaktuje.

- Idź do siebie i czekaj na jej telefon - rzekł.

- Chcesz się mnie pozbyć - poskarżyła się, widząc, że policja wchodzi do hotelu.

- Już dość tej zabawy. - Zasłonił jej widok.

- Ruszaj. Sam załatwię sprawę z policją.

Sabrina mocno się zirytowała, ale Jake mówił z taką stanowczością, że mu uległa. Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem, obróciła się na pięcie i ruszyła do schodów.

Po chwili szła korytarzem do swojego pokoju.

Nigdy więcej, obiecała sobie, nie będzie słuchała poleceń Jake'a Devlina. Miała dość wynajętych ochroniarzy. Powtarzała to sobie kilka razy, siedząc na łóżku, gdy zadzwonił telefon. Rzuciła się po słuchawkę.

- Cześć, mammo! - zawołała entuzjastycznie.

- Co u ciebie?

- Sabrino, nic ci nie jest? - spytała pani McAllaster zatroskanym głosem. - Pan Teague powiedział mi, że dzisiaj wieczorem, kiedy zaatakował cię ten Dryden, byłeś ze swoim ochroniarzem. Mówił, że Dryden przekupił recepcjonistę w hotelu, żeby go informował o waszych ruchach, więc wiedział, że Jake wypożyczył samochód. Musiał coś włożyć do silnika i jechał za wami.

- Jestem cała i zdrowa, mammo. Co jeszcze mówił Teague? Mam pewne problemy z wyciągnięciem czegoś od tego ochroniarza. Woli odgrywać silnego milczącego typa.

- Powiedział, że Dryden okazał się profesjonalnym zabójcą do wynajęcia. Kimś, kto robi to dla pieniędzy. Grupa, która wysyłała pogróżki do mojej firmy, wynajęła go, żeby cię porwał. Chcieli wyrzucić presję na mnie i na firmie, żebyśmy zrezygnowali z rządowego kontraktu.

- Ale co by im z tego przyszło? Nawet gdyby twoja firma uległa naciskom, ktoś inny przejąłby kontrakt - zauważyła logicznie Sabrina.

- Zyskaliby rozgłos. Akt terroryzmu zostałby nagłośniony.

Wiadomo, co takim ludziom chodzi po głowie? Bóg jeden wie, że nie

brakuje ich w dzisiejszym świecie. Teague twierdzi, że Dryden rozmawiał z twoim ochroniarzem i podał mu dość nazwisk, żeby FBI dotarła do prowodyrów. Wygląda na to, że wszystko zostanie szybko załatwione. Bardzo się o ciebie martwiłam. Tak się cieszę, że dałaś się w końcu przekonać i zgodziłaś się, żeby ktoś cię chronił - zakończyła pani McAllaster z westchnieniem ulgi.

- Właśnie miałam o tym z tobą porozmawiać - powiedziała z powagą Sabrina, kiedy w drzwiach stanął Jake. Spotkali się wzrokiem. - Ochroniarz, którego mi wynajęłaś, trochę zbyt poważnie potraktował swoje zadanie.

- I dzięki Bogu! - wykrzyknęła matka z radością.

Jake przeszedł przez pokój i siadł ciężko w nogach łóżka. W jego szarych oczach, gdy spojrzał na Sabrinę, była jakaś rezerwa.

- Nie rozumiesz, mamó - podjęła cierpliwie Sabrina. - On ma dość irytujący zwyczaj. Wydaje mi polecenia, rozkazuje, gdy tylko uważa, że to on ma rację. W moim mieszkaniu w Portlandzie uparł się, że będzie spał na mojej sofie. Tutaj na Hawajach załatwił dwa połączone ze sobą pokoje. Wstaje w środku nocy i... - urwała, gdy Jake zmrużył oczy.

- Wstaje w środku nocy i otwiera drzwi łączące pokoje - ciągnęła słodko Sabrina. - Nie podoba mu się, jak prowadzę samochód. Uważa mnie za lekkomyślną i postrzeloną, i tak mnie traktuje. Ciągłe mnie poucza, prawi mi kazania. A potem twierdzi, że ma do tego prawo, ponieważ go wynajęłaś.

- Rozumiem - odparła z rozwagą pani McAllaster. - Czego dokładnie oczekujesz ode mnie w tej kwestii?

- Żebyś mu jasno i wyraźnie powiedziała, że go zwalniasz.

Jake, jakby miał już dość tego słuchania, chwycił słuchawkę i zabrał ją Sabine. Poczowała mrowienie w palcach. Ściągnęła brwi i przebierała palcami, zastanawiając się, co Jake znów jej zrobił. Podczas rozmowy z matką zapomniała poskarżyć się na jeszcze jedną rzecz: że Jake bez skrupów stosował wobec niej bardziej subtelne techniki sztuk walki.

- Halo, pani McAllaster - odezwał się oficjalnym tonem. Kiedy Sabrina uniosła głowę, patrzył na nią bacznie. - Tak, rozumiem... Nie. Nie... Tak. Dziękuję... Tak, oczywiście. - Nastąpiła nieco dłuższa pauza, a potem powiedział ostrożnie: - Ja też czekam niecierpliwie na nasze spotkanie. I proszę się nie martwić o Sabrinę. Zaopiekuję się nią. Dobranoc, pani... Co takiego?... Och. - Uśmiechnął się krótko. - Tak, będę pracował bez wynagrodzenia. Do widzenia. - Przekazał słuchawkę Sabine.

- Co powiedziała? - spytała Sabrina, odkładając słuchawkę.

- Że mnie zwalnia - odparł powoli.

- Aha. - Oczy Sabriny zabłyśły z zadowolenia. - Więc teraz jesteśmy na równej stopie.

- Zauważyła także, że pokój w hotelu został opłacony do końca seminarium - ciągnął gładko.

- I prosiła, bym wykorzystał tę dziesięciodniową wycieczkę na Hawaje. To bonus za uratowanie jej uroczej córki.

Sabrina zastanowiła się nad jego słowami.

- Cóż, to chyba uczciwe. Podoba ci się seminarium, Jake?

- Och, nadzwyczajnie - odparł z powagą.

- Bardzo pouczające, prawda? - Dlaczego nagle się zdenerwowała?

- Dużo się dowiedziałem. Ale nie tyle, co na plaży dziś w nocy - powiedział otwarcie.

Sabrina zamrugła powiekami.

- Mówisz o Drydenie i jego kolegach? Potrząsnął głową.

- Mówię o tobie.

Przekrzywiła głowę, ogarnięta dziwną niepewnością. Rozbawienie znikło z jej orzechowych oczu.

- Czego się o mnie dowiedziałeś?

- Że mi ufasz. Byłaś zirytowana, zła i koniecznie chciałaś zarzucić mnie pytaniami, na które nie miałem czasu odpowiadać, a mimo to mi zaufałaś. Kiedy posłałaś mi całusa z jaskini...

- Ach, to - próbowała bagatelizować.

- To było serio? - spytał, nie ruszając się z miejsca.

- Oczywiście, że ci zaufałam - odparła, zeskakując z łóżka. Gnana jakimś niepokojem wyszła na balkon. Do czego on zmierza? Co znaczy to poważne, pytające spojrzenie? Dokładnie pamiętała ten moment, gdy przykucnęła w jaskini i słuchała Drydena, który krzyczał, że to Jake Devlin stanowi dla niej prawdziwe zagrożenie. Pomyślała wtedy o portfelu i o tym, że właściwie nic nie wie na temat Jake'a.

Potem przypomniała sobie, jak zagrzała mu mleko w środku nocy. Pamiętała jego namiętność i ciepło, kiedy się kochali. A także, jak uśmiechał się do dzieci i do niej.

Jednak przede wszystkim pomyślała, że bardzo go kocha. Wtedy właśnie się uśmiechnęła i posłała mu całusa, by dodać mu odwagi. Tylko to mogła mu wówczas ofiarować.

- To było jak symbol - powiedział łagodnie, stając obok niej.



- Ten całus? - szepnęła. Czuła się przy nim tak bezpiecznie. Tęskniła za jego dotykiem.

- Pamiętasz, jak Larissa tłumaczyła, że podczas bitwy rycerze zawsze nosili przy sobie jakiś symboliczny dar otrzymany od damy swojego serca? Twierdzili, że dodaje im waleczności i siły.

- Nie sądziłam, że przywiązujesz wagę do tych rycerskich historii - zauważyła bez tchu.

- Do dzisiejszej nocy nie przywiązywałem do nich wagi.

Usłyszała uśmiech w jego słowach.

- Ale dzisiaj je zrozumiałem. Przynajmniej tę część dotyczącą symboli i ratowania pani swego serca. Wiesz, dlaczego dziś wieczorem twoje zaufanie znaczy dla mnie tak wiele?

- Ponieważ powstrzymało mnie przed niefortunnym błędem i nie dałam się porwać - zgadywała.

- Nie - rzekł. - Ponieważ wydaje mi się, że dla ciebie zaufanie jest nierozzerwalnie powiązane z miłością.

Sabrina zamarła przy balustradzie. Jake położył dłoń na jej ramieniu i delikatnie odwrócił ją do siebie. Z niepokojem popatrzyła mu w oczy, wiedząc, że odgadł jej sekret, niepewna, co z nim zrobi. Czy Jake pragnie miłości?

- Kochasz mnie, Sabrino? Tak jak mi ufasz? - szepnął niemal szorstko. Światło księżyca srebrzyło jego szare oczy. Lśniły blaskiem roztopionego metalu.

- Tak. - To pojedyncze słowo pozostawiło ją nieznośnie bezbronną, jakby zrzuciła zbroję i stała przed nim naga.

Widziała, że wstrząsnął nim dreszcz. Wziął ją w ramiona, przytulił z całej siły, jakby nigdy już nie miał jej wypuścić.

- Mój Boże, Sabrino. Nawet sobie nie wyobrażasz, co to dla mnie znaczy. Niczego się nie bój, moje kochanie. Przysięgam, że się tobą zaopiekuję. Nigdy nie dam ci powodu, żebyś we mnie zważyła.

Sabrina pozostała przez chwilę w czułych objęciach, po czym spytała łagodnie:

- Próbujesz mi coś powiedzieć, Jake?

- Nie musisz się głowić, co do ciebie czuję - wyznał, chowając twarz w jej bujnych włosach.

- Zakochałem się w tobie chyba tamtej nocy, kiedy podgrzałaś mi mleko i siedziałaś ze mną, żebym mógł zasnąć. Kiedy się obudziłem, a ty wciąż byłaś w moich ramionach, miałem wrażenie, że to zupełnie normalna sytuacja. Że tak właśnie ma być. Tej nocy, kiedy kochaliśmy się na balkonie, wiedziałem już na pewno, co się ze mną dzieje, chociaż nigdy czegoś takiego nie doświadczyłem. Potem obiecałem sobie, że dam ci czas. Czułem, że tego potrzebujesz. Chciałem, żebyś mi w pełni zaufała. A teraz, dziś w nocy, wszystko zaczęło się rozpadać.

- Chodzi ci o ten portfel? - spytała, wtulona w jego koszulę.

- Mogę to wyjaśnić - odparł. - Ale to trochę skomplikowane.

- Tak podejrzewałam - mruknęła.

- To ma związek z moimi dawnymi przyzwyczajeniami i środkami ostrożności. Podróżowałem pod kilkoma różnymi nazwiskami, Jason Stone to tylko jedno z nich. Tak było wygodnie, przy pewnych okazjach odwracało uwagę różnych wścibskich typów. Pakując się, wrzuciłem ten portfel do torby. W zasadzie nie wiedziałem, czy mi się przyda, wziąłem

go na wszelki wypadek. Stary zwyczaj. Przypuszczam, że pomyślałem, że może się przydać, gdybyśmy na wyspie wpadli w jakieś tarapaty i musieli nagle wyjechać. Mógłbym się nim posłużyć, kupując bilety na samolot dzisiaj wieczorem, gdybyśmy dotarli do Hilo. W jakimś stopniu zatarlibyśmy ślady.

- To dlaczego byłeś taki wściekły, jak ujrzałeś mnie z tym portfelem w ręce?

- Byłem wściekły na Teague'a, po tej rozmowie przez telefon. Kiedy wszedłem do twojego pokoju i zrozumiałem, ile musiałbym ci wyjaśniać i jak mało mamy czasu, byłem naprawdę zły. Głównie na siebie.

- A dlaczego zdenerwowałeś się na Teague'a? - spytała zaciekawiona, unosząc nieco głowę i patrząc mu w oczy.

- Bo zasugerował, że skoro ktoś ewidentnie nas szuka, powinienem zostać w hotelu i wykorzystać cię jako przynętę, żeby ten ktoś się odkrył. Za taką praktyczną sugestią gotów byłem go słuc.

Sabrina uśmiechnęła się.

- Ale, jak się okazało, plan Teague'a i tak został zrealizowany. Więc chyba wszyscy są zadowoleni?

- Jeśli mnie kochasz, jestem szczęśliwy - rzekł. Jego spojrzenie złagodniało. - Mój słodki mały motyłu. Tak niewiele mogę ci ofiarować. Minie jeszcze rok albo i dwa lata, zanim szkoła zacznie przynosić przyzwoity dochód. Nie mam prawa prosić cię o rękę...

- Chcesz, żebym została twoją żoną? - przerwała mu natychmiast. - Zgadza się.

Twarz Jake'a rozpromienił pełen miłości uśmiech. Wplótł palce we włosy Sabriny.

- Nie zostawiasz mi wyboru, co? Skoro już się zgodziłaś, nie pozostaje mi nic innego, jak cię poślubić. Skoro mam zachować się po rycersku.

Sabrina zarzuciła mu ręce na szyję, patrząc na niego rozmarzonym wzrokiem.

- Będiesz najszczęśliwszym pantoflarzem pod słońcem - przyrzekła.

- Pantoflarzem! - zawołał. - Widziałem siebie raczej w roli szarmanckiego rycerza.

- To jedno i to samo - odparła uszczęśliwiona.

- Och, Jake, tak bardzo cię kocham! Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek tak pokocham jakiegoś mężczyznę. Nie myślałam, że będę jeszcze zdolna komuś zaufać.

- A poza tym - dodał pół żartem, pół serio - chyba nieźle się bawiłaś, nie angażując się emocjonalnie? Imprezowałaś, rozbijałaś się swoim sportowym samochodem, jeździłaś na różne szalone seminaria organizowane w egzotycznych miejscach, traktowałaś mężczyzn tak, jakby ich przydatność była bardzo ograniczona...

- Tylko mi nie mów, że to koniec mojego hulaszczego trybu życia.

- Hm. Myślę, że na początek pozbędziemy się twojego małego samochodu - oznajmił z powagą.

- Po moim trupie!

- Miejskie autobusy są teraz naprawdę znakomitym środkiem lokomocji. Nie potrzebujesz samochodu. Wystarczy mój samochód, kiedy będziemy chcieli wyjechać z miasta - oznajmił stanowczo.

Sabrina podniosła głowę i spojrzała na niego.

- A moje imprezy, seminaria i lekceważący stosunek do mężczyzn?

- Teraz będziesz miała ciekawsze zajęcia. Już ja się postaram, żeby ci nie zabrakło odpowiednich rozrywek - obiecał.

- Jake, pamiętasz może, że mama cię zwolniła? Już nie masz prawa wydawać mi poleceń - powiedziała, a jej oczy śmiały się do niego.

- Może straciłem swoje prawa jako płatny ochroniarz, ale nabyłem cały pakiet zupełnie nowych praw i przywilejów jako twój przyszły mąż

- zaśmiał się. Sabrina dostrzegła w jego szarych oczach wielką namiętność. - Tak cię kocham. I tak bardzo cię potrzebuję.

- Bo nie dopuszczam do ciebie nocnych koszmarów? - szepnęła.

- Niezupełnie. Potrzebuję cię, żeby znów cieszyć się życiem.

Potrzebuję twojego ciepła w nocy. Potrzebuję twojej namiętności, delikatności, twej serdecznej troski. Podaruj mi to wszystko, kochanie

- zakończył gwałtownie, biorąc ją na ręce. - Podaruj mi to wszystko, ponieważ pragnę cię całe. A w zamian obiecuję, że oddam ci się cały. Na zawsze.

Pochylił głowę, żeby ją pocałować, a był to pocałunek nabrzmiąły obietnicą, miłością, pożądaniem i czułością - wszystko to połączone w nierozdzielny całość, której Sabrina mogła zaufać bez zastrzeżeń.

Oderwał od niej usta i delikatnie ułożył ją na łóżku. Rozbierał ją, jakby była najcenniejszym klejnotem otulonym w aksamit. Gdy już została naga, szybko zrzucił swoje ubranie, po czym wrócił do niej.

- Polećmy razem, motylu. Chciałbym znaleźć się w pułapce twoich skrzydeł. - Obsypał ją pocałunkami, od smukłej szyi aż po drobne piersi. Sabriną wstrząsnął dreszcz zmysłowej rozkoszy.

- Och, kochanie, co ty ze mną robisz.

- A co robie? - spytał, pieszczotliwie szczypiąc ją zębami. - Powiedz mi, co robie.

- Coś takiego, że strasznie cię pragnę. - Wsunęła palce w jego włosy, przygarnęła go do siebie jeszcze mocniej. - Zawsze, jak się z tobą Kocham, czuję, że za chwilę oszaleję!

Zaśmiał się z satysfakcją.

- Budzi się w tobie dzika i wolna istota. Dotykali się i pieścili bez pośpiechu. Sabrina przesuwała palcami po jego klatce piersiowej, bawiła włoskami porastającymi jego tors, obsypywała go pocałunkami, zatracając się w coraz bardziej żarliwych pieszczotach. Czowała radość i ogromną satysfakcję, gdy jej dłonie i wargi sprawiły, że jego oczy lśniły, głos się zmieniał, brakowało mu powietrza. Wiedziała, że ma nad nim władzę, że on też jest jej, jak ona jego. Jej dłonie bawiły się nim, prowokowały, aż stało się jasne, że Jake dłużej tego nie wytrzyma.

- Dostyc - rzekł niskim głosem. - Teraz ja ciebie schwytam.

Był równocześnie gwałtowny i czuły, co tylko podnosiło gorączkę jej zmysłów.

- Jake, najdroższy! Och, mój Kochany! - wołała bez tchu, uszczęśliwiona, otulona jego ciepłem.

- Kocham cię - szepnął ochryple, zamykając jej usta pocałunkiem. Potem nastąpiły jeszcze inne słowa, mocne i namiętne, słowa, które padają w chwilach największego erotycznego napięcia. Sabrina reagowała na nie z żarem, całym ciałem, które wiło się i prężyło.

Razem wyśpiewali do końca tę piosenkę bez słów i melodii. Sabrina oplótła Jake'a nogami, a on trzymał ją mocno jedną ręką, drugą zaś kreślił

jakieś egzotyczne wzory na jej plecach, wokół najbardziej unerwionych miejsc, znanych tylko jemu.

Sabrina wykrzyknęła jego imię, raz i drugi, i przywarła do niego uradowana, że on także zakończył ten zmysłowy taniec.

Powoli, leniwie, bo przecież miała przed sobą całe życie, opuściła świat cudownego spełnienia. Jake leżał obok niej, z głową zwróconą tak, by na nią patrzeć. Ziewnęła.

- Już późno - zauważył Jake, nie spuszczać z niej wzroku.

Emanował zadowoleniem, typowo męskim zadowoleniem.

- Uhm - przyznała z uśmiechem, opuszczając powieki. - Jesteś senny?

- Tak. Chyba tak. W przeciwieństwie do ciebie, ja tej nocy pracowałem.

Przeciagnęła palcem po jego wargach.

- Myślisz, że będziesz dzisiaj cierpieć na tę swoją klaustrofobię?

- Nie, o ile będziesz przy mnie na wyciągnięcie ręki - odparł. -

Dajesz mi niewiarygodny komfort psychiczny. Kiedy za mnie wyjdiesz?

- Gdy tylko wrócimy z naszego miodowego pobytu na Hawajach - zaśmiała się radośnie.

- Nie jestem pewien, czy kolejność ci się nie pomyliła - zauważył. - Chyba najpierw jest ślub, a potem miesiąc miodowy? Rano zadzwonię do detektywa, z którym dzisiaj rozmawiałem, i spytam, czy nie mógłby nam pomóc, żebyśmy tu wzięli ślub.

- Nie wydaje ci się, że to może trochę za szybko? - spytała nagle.

- Nie - rzekł z przekonaniem. - A tobie?

- Nie - przyznała po namyśle. - Naprawdę jestem absolutnie pewna.

Jak to możliwe, Jake? Przecież znamy się tak krótko.

Uśmiechnął się i wziął ją za rękę, splótł palce z jej palcami.

- To proste. Jesteś motylem, a ja facetem z siatką na motyle.

Jesteśmy dla siebie stworzeni.

- Cóż, nie pasuje do ciebie rola błędnego rycerza, służącego damie swego serca, oddanego i kochającego ją z daleka - westchnęła. - Nie jesteś zbyt dobry w platonicznej miłości.

- Mówiłem ci, że kiedy mężczyzna czuje to, co ja czuję do ciebie, nie da rady długo romansować jak średniowieczny rycerz.

- Nie wiem, czy w ogóle próbowałeś - droczyła się z nim, podpierając się na łokciu i marszcząc groźnie brwi.

- Za bardzo cię pragnąłem, żeby się w to bawić. Sabrina opadła z powrotem na poduszkę i roześmiała się.

- Może nie jesteś mistrzem platonicznej miłości, za to po mistrzowsku wyratowałeś z opresji damę swojego serca.

- A ty po mistrzowsku odpędziłaś moje demony - szepnął, całując jej dłoń. - Stanowimy zgrany zespół.

- Tak, zapamiętaj tylko to słowo: zespół. Już nie kierujesz akcją. Obawiam się, że trudno będzie cię o tym przekonać - westchnęła.

- Kiedy już stracisz przeze mnie cierpliwość, przypomnij sobie, jak bardzo cię kocham - poradził jej.

- Skoro rozmawiamy o podstawowych zasadach naszego związku, powinnam wspomnieć o czymś jeszcze - dodała.

- Tak?



- Nie wolno ci stosować żadnych podstępnych technik sztuk walki, żeby osiągnąć swój cel - oświadczyła stanowczo.

- Podstępnych technik sztuk walki? - powtórzył, ściągając brwi. - Takich jak to? - Przesunął lekko palcami po jej udzie, znajdując wrażliwy punkt, o którego istnieniu nie miała pojęcia.

- Właśnie takich. - Chciała na niego burknąć, ale poczuła miły dreszcz.

- A może takich? - Przeniósł rękę na jej szyję.

- Och tak, Jake - szepnęła, sięgając po jego dłoń. - Dokładnie takich.

Wtedy Jake pocałował ją z czcią, galanterią i namiętnością współczesnego rycerza w lśniącej zbroi.

